

# IWONA MENZEL

... Ereignis; Wechsel auf kurze Sicht;  
eine kurze Zeit, Weile, Frist; die  
Freude war f.; f., kurze Zeit vor,  
nach einem Ereignis; f. vorher, nach-  
her, ... en, nach, vor,  
... Zeit; über f.  
... er reiste  
Sache,

mg



## Czas tarantul

# IWONA MENZEL

Czas tarantul

Przelotny deszczyk obmył z kurzu drzewa przy Kurfurstendamm i odświeżył kolory kwiatów. Spomiędzy liści wyjrzały plamy błękitu, ptaki przeczyściły sobie gardła i znowu wybuchnęły śpiewem. Na ulicy zaroiło się od nianiek z wózkami, gazeciarzy, sprzedawców fiołków, dziewcząt w letnich sukienkach i urzędników bankowych. Przechodnie spoglądali ku niebu, strzepywali krople z mankietów i zamykali z traskiem parasole. Kelnerzy rozstawiali przed kawiarniami krzesła i zarzucali zamasyście obrusy na stoliki.

Vera przytrzymała ręką kapelusz i lekko przeskoczyła kałużę, w której odbijały się chmury, pędzące po niebie jak spłoszone owce. Kapelusz był nowy, ostatni krzyk mody, miał długie, opadające na ucho skrzydło z jednej strony, a z drugiej podpięty był kokardą - *tres chic!* Zieleń w odcieniu morskich alg podkreślała kolor jej oczu i doskonale harmonizowała z paskiem i torebką w kształcie koper ty. Vera uważała, że jest zabójczy. Od przybycia do Berlina słowo „zabójczy” należało do jej ulubionych, określała nim sklepy, kina, teatry i jedwabną bieliznę, która pieszczotliwie muskała jej ciało przy każdym ruchu. Była to pierwsza jedwabna bielizna w życiu Very i jej opalizująca wytworność napawała ją niesłabnącym zachwytem. Czuła się bardzo elegancka i bardzo zepsuta. Osiemnaście lat, nowy kapelusz i sama w wielkim mieście - co by na to powiedziała mama? Zapewne zgorszyłaby się okropnie, ale mama była daleko, Klein Kruckow było daleko, a tu był Berlin, najbardziej podniecające miejsce na ziemi.

Na bulwarze Kurfurstendamm, gdzie wszystko było jeszcze większe, droższe i bardziej skandaliczne niż w starej części miasta, biło jego serce. Tu sklepy były wykwinniejsze, kina nowocześniejsze, rewie śmielsze, hotele bardziej luksusowe, kobiety piękniejsze, mężczyźni bogatsi. Po szerokich chodnikach pędził we wszystkich kierunkach różnobarwny tłum: bankierzy, radcy ministerialni, aktorzy, hochsztaplerzy, kokoty i damy. Ich rozmowy i śmiechy mieszały się

z rykiem klaksonów, dzwonekami rowerów, gwizdkami policjantów, nawoływaniem gazeciarzy. W uszach Very wszystkie te dźwięki łączyły się w porywającą uwerturę, zapowiadającą wciąż nowe niespodzianki. W ciągu jednego tylko tygodnia przeżyła w Berlinie więcej, niż przez osiemnaście lat w rodzinnym Klein Kruckow i była pewna, że już nie mogłaby oddychać innym powietrzem. O całe mile oddaliła się od nudnych popołudniowych herbaterek *maman*, dziadkowych tyrad o Bogu, honorze i ojczyźnie, obowiązkowych mszy niedzielnych, kopających lamp naftowych i zimnych jak katafalki łóżek. Dobry Boże, w tym domu nie było nawet bieżącej wody, cóż dopiero mówić o elektryczności! W Klein Kruckow czas zatrzymał się na epoce wilhelmińskiej i w ogóle nie zamierzał ruszyć się z miejsca. Vera nie mogła uwierzyć, że spędziła tam tyle lat, nie ponosząc szkody na umyśle. Udało jej się to chyba tylko dlatego, że nawet nie wiedziała, jak pasjonujące może być życie kobiety - w Berlinie, oczywiście. Tu kobiety pracowały jako lekarki, aktorki albo dziennikarki, prowadziły samochody, grały w tenisa, pilotowały samoloty i publicznie paliły papierosy. Coś takiego było w Klein Kruckow w ogóle nie do pomyslenia. W rodzinie von Rathenberg wciąż jeszcze panowało przekonanie, że miejsce niewiasty jest w domu, przy dzieciach i garach, wszystko inne uważane było za objaw dekadencji. Kobiety miały być bogobojne, cnotliwe i trzymać buzię na kłódkę. Pewnie dlatego prababki Very spoglądały tak ponuro z portretów, a ich wargi były szczelnie zaciśnięte jak muszle ostryg. Jeżeli nawet nosiły w sobie perłę talentu, to nie dane jej było wydobyć się na światło dzienne. Przeżyły życie jako kapłanki domowego ogniska i do takiej też roli miała Verę przygotować pensja dla szlachetnie urodzonych panien w Weimarze. Pobierała tam - dość powierzchownie - nauki teoretyczne, ale przede wszystkim kształcono ją w sztuce cerowania na grzybku, przyszywania guzików na nóżce i pielęgnowania niemowląt. W kuchni szkolnej poznawała tajniki marynowania, kiszenia, peklowania i przyrządzania sosów, w warzywniku studiowała przerywanie sadzonek i kopcowanie ziemniaków. Nie zakładano, co prawda, że w przyszłości sama będzie musiała czyścić srebra albo szorować posadzki, ale uważano za konieczne posiadanie przez nią tych umie-

jętności. Panienska wykształcona w Instytucie Anny Amalii miała sobie radzić śpiewając z prowadzeniem domu i odznaczając się nienagannymi manierami. Innymi słowy, miała dobrze wyjść za mąż.

By nabyć niezbędny w tym celu wdzięk, dziewczęta pilnie uczęszczały na lekcje tańca i śpiewu, których udzielał przystojny Jewgenij Aleksandrowicz Orłów. Kochały się w nim wszystkie, chociażby dlatego, że był jedynym wykładowcą płci męskiej poniżej siedemdziesiątki. Orłów uciekł z Rosji po wybuchu rewolucji, co czyniło go w oczach pańienek postacią niezwykle romantyczną i pozwalało na snucie najciekawszych spekulacji: prawdopodobnie był nieślubnym potomkiem jakiegoś Romanowa, utrzymywał przed rewolucją pół baletu, rozbijał się po Moskwie trojką i przegrywał całe wsie w Monte Carlo.

Wyłącznie na lekcjach Orłowa Vera przestawała czytać pod ławką Karola Maya i ani na chwilę nie spuszczała oczu z ust nauczyciela. Pięknie wykrojonych ust. Kochała muzykę, śpiewała od dziecka. Muzyka, rozrywka, której w rodzinie von Rathenberg nie uważano za frywolną, była jedyną dopuszczalną formą ucieczki. Vera już jako dziecko kojarzyła ją z wolnością: zamykała oczy i pozwalała jej się unieść. Wszyscy von Rathenbergowie byli muzykalni. Każdy grał na jakimś instrumencie, na urodziny i śluby komponowało się kantaty, kuplety i chorały. Śpiewanie przychodziło Verze równie łatwo jak oddychanie, matka twierdziła, że nawet jej niemowlęce gaworzenie było melodyjne. Od dziesiątego roku życia wykonywała partie solowe w kościelnym chórze i śpiewała na przyjęciach. Nie poczuła się więc ani trochę skrępowana, kiedy na pierwszej lekcji Orłów zaproponował, żeby każda uczennica wyszła na środek klasy i coś zanuciła. Inne dziewczęta krygowały się, czerwieniły jak piwonie, oblewały potem i umierały z zażenowania - Vera stanęła pod tablicą i z absolutną swobodą zaśpiewała „Ave Maria” Schuberta.

W klasie zapadła cisza jak makiem zasiał, nikt nie szeleścił pa-pierkami, nie kastał, nie szurał nogami. Nawet kiedy zamilkła i zwycięskim ruchem odrzuciła warkocz na plecy, koleżanki wpatrywały się w nią oniemiałe z wrażenia, aż Henrietta zaczęła klaskać, a do niej dołączyła się reszta.

- Brawo, panno von Rathenberg! - zawołał zachwycony Orłów. - Wspaniały głos, ogromna skala, jest pani olśniewająca! Chylę przed panią czoła. Któregoś dnia usłyszymy panią w Berlinie, a może nawet w Metropolitan Opera.

Na to się jednak nie zanosilo. Vera maturę jakoś tam zdała, ale była to tak zwana „matura budyniowa”. Wystarczała w zupełności do zarządzania spiżarnią i kuchnią, nie upoważniała jednak do podjęcia wyższych studiów. Droga do konserwatorium była dla niej zamknięta. Orłów postanowił ją otworzyć. Napisał list do swojej starej przyjaciółki, profesor Marii Filipownej Worońskiej, która prowadziła w berlińskim Stern'sches Konservatorium mistrzowską klasę śpiewu, z prośbą o przyjęcie Very. Odpowiedź nadeszła natychmiast: w imię dawnej przyjaźni profesor Worońska była skłonna zająć się utalentowaną uczennicą Jewgenija Aleksandrowicza.

Wiadomość ta rozprętała w domu Very straszliwą burzę. Pospiesznie zwołana rada rodzinna nie posiadała się z oburzenia: jeszcze żadna kobieta z rodu von Rathenberg nie śpiewała w tingel-tanglu! W dodatku w Berlinie, gdzie pieniała się amoralność, prostytutka, pederastia i komunizm. Vera stała na środku pokoju, tupąca nogami i hardo podnosiła podbródek - gest odziedziczony po pokoleniach von Rathenbergów. Jeżeli nie pozwolą jej pójść do konserwatorium - utopi się! Zachowywała się skandalicznie i zupełnie słusznie oberwała parę siarczystych policzków od ojca. Pan von Rathenberg, jak większość rodziców w tamtych czasach, głęboko wierzył w wychowawczą rolę kar cielesnych. Kierował się sentencją, że różeczką dziecięcy Duch Święty bić każe i lał je, ile wlało: syna pasem na gołe siedzenie, córkę linijką po łapach. Jako dziecko Vera spędziła całe godziny, klęcząc na grochu w rogu pokoju, gdyż nieposłuszeństwo uważane było za jedną z najpaskudniejszych wad u kobiety. Dlatego jej rodzice nie szczędzili wysiłków, żeby uczynić charakter córki łagodniejszym.

Co do tego, że Vera do Berlina nie pojedzie, rada rodzinna nie miała żadnych wątpliwości, istniały jednak duże rozbieżności na jaki rodzaj kary zasłużyła sobie tą samowolą. W momencie, kiedy gre-

mium było do reszty skłócone, weszła pokojówka i zameldowała panią Antonię von Klinck.

Vera odetchnęła z ulgą. Toni, najmłodsza siostra matki, była jej matką chrzestną i najukochańszą ciotką. Starsza od Very o zaledwie czternaście lat, potrafiła ją zrozumieć i w konfliktach z reguły brała jej stronę. W rodzinie cieszyła się dużym autorytetem, bo zrobiła doskonałą partię, wychodząc za mąż za pana von Klinck, dziedzica świetnego nazwiska i jeszcze świetniejszej fortuny. W dodatku okazało się, że pan von Klinck miał fenomenalną głowę do interesów, przypadek w lepszych sferach raczej rzadki, i umiejętnie pomnażał swój majątek. Ciotka Toni mieszkała w pięknej willi, w której nie brakowało żadnych technicznych udogodnień, z kranów leciała ciepła woda, żyrandole były na prąd, a gorące potrawy wjeżdżały z kuchni windą prosto na stół. O dom, dzieci i ogród troszczyła się cała armia pokojówek, nianiek i ogrodników. Mąż ciotki Toni był, co prawda, o ćwierć wieku od niej starszy, ale w obliczu tak oczywistych zalet tego związku, zupełnie to nikomu nie przeszkadzało.

- Katujecie moją chrześniaczkę, jak widzę - stwierdziła ciotka Toni wesoło, ściągając rękawiczki. - Co przeszkrobała?

- Wbiła sobie do głowy, że pojedzie do Berlina - wyjaśnił jej szwagier ze złością. - Uczyć się śpiewu. Akurat w Berlinie!

- W Berlinie panuje rozpusta i rozpasanie - poparł go dziadek.  
- Kompletna dekadencja.

- Mądra dziewczuszka - Toni pocałowała Verę w policzek, płonący jeszcze po uderzeniu ojcowskiej ręki. - Bardzo słusznie, Pan Bóg dał jej głos postawiony z natury i powinna ten dar wykorzystać. Co w tym dziwnego?

- W naszej rodzinie nie było do tej pory artystek, aktorek i śpiewaczek - sztywno oświadczył dziadek. - Nikt z nas nie występował na scenie za pieniądze i nie widzę najmniejszego powodu, żeby tę tradycję zmieniać. Nasze kobiety są bogobojnymi, pracowitymi żonami i matkami, co im całkowicie wystarcza. Verze też musi wystarczyć.

- Zapomniałeś o kuzynce Margot, mój drogi. Margot nie występuje za pieniądze na scenie, ale za pieniądze organizuje safari dla

turystów. Oryginalne zajęcie dla kobiety i niezupełnie odpowiadające tradycji von Rathenbergów.

Kuzynka Margot miała farmę w dawnej Niemieckiej Afryce Wschodniej<sup>1</sup>, którą od śmierci męża prowadziła zupełnie sama. Plantacja kawy nie przynosiła dużych dochodów, więc podreperowywała finanse, wyjeżdżając z turystami na safari. Zdjęcia, które czasami przysyłała, pokazywały dużą, żylastą kobietę koło pięćdziesiątki, siedzącą twardo na koniu w szortach z khaki, ze strzelbą na kolanach i twarzą spaloną słońcem jak kawałek starej skóry. Podobno potrafiła pić jak szewc, paliła cygara i jak szatan grała w pokera. W oczach Very uosabiała kobietę na wskroś wyzwoloną.

- No cóż, jest wdową i jakoś musi sobie radzić.

Wynikało z tego, że wystarczy pochować męża i człowiek jest wolny jak ptak. Vera postanowiła zapamiętać to sobie na przyszłość.

- Czasy się zmieniły. Coraz więcej kobiet z naszej sfery zdobywa wykształcenie zawodowe. Hrabina von Stauffenberg ma nawet doktorat z fizyki. W szkoleniu głosu nie ma niczego nieprzyzwoitego. Przecież ty też kochasz muzykę. Vera podziela tylko twoją własną pasję.

Dziadek von Rathenberg niezdecydowanie pocierał podbródek.

- Ale żeby akurat Berlin? Tyle się słyszy złego o Berlinie. Gołe baby w rewiach - ta czarna na przykład, co to tańczy tylko w spódnicy z bananów<sup>2</sup> - zboczeńcy obściskują się w klubach dla zboczeńców, lumpy włóczą się po nocach, a na ulicach wieczne burdy. Narodowcy tłuką socjałów, naziści komunistów, a wszyscy zgodnie biją Żydów. To nie jest miejsce dla porządnej niemieckiej kobiety.

- Ja też mieszkam w Berlinie, a uważam się za kobietę na wskroś porządną. - Toni przysiadła na poręczu fotela dziadka von Rathenberg i przycisnęła jego rękę do ust. Była jego ulubienicą i wiedziała, że stary pofuka, położy się, postraszy zjeżonym wąsem, ale niczego jej nie odmówi.

<sup>1</sup> Deutsch-Ostafrika (dziś Tanzania, Burundi, Ruanda), niemiecka kolonia w latach 1885-1918.

<sup>2</sup> Dziadek ma na myśli Josephine Baker.



- Czasy są wszędzie niespokojne. Ludzie nie mają pracy, to i pięści szybko idą w ruch. Najwyższy czas, żeby ktoś zrobił z tym porządek. A Verze nic się złego nie przytrafi, bo zamieszka, oczywiście, u nas i będziemy jej pilnowali jak oka w głowie.

- Ciociu Toni, naprawdę? - Vera przefrunęła przez pokój i zawiśla na szyi ciotki, która jak dobra matka chrzestna z bajki o Kopciuszku pojawiała się zawsze we właściwym momencie i spełniała jej najskrytsze marzenia.

- Nie mamy pieniędzy do wyrzucania za okno - rzucił sucho jej ojciec. - Nie będę finansował zachcianek mojej córki, które uważam za zupełnie niepotrzebne. Stern'sches Konservatorium jest uczelnią prywatną, nie korzysta z żadnych dotacji państwowych. Lekcje Very kosztowałyby majątek.

Vera zacisnęła pięści, żeby nie krzyżeć. Jak zwykle, ojciec uważał jej życzenia za fanaberie. Na nią szkoda mu było pieniędzy - tylko dlatego, że była dziewczyną. W przypadku jej brata mówiło się o „koniecznych zobowiązaniach”. Alex służył, zgodnie z tradycją, w pułku kirasjerów i miał tych zobowiązań mnóstwo: konie, mundury galowe, kasyno, bale, polowania. Na to pieniądze musiały się znaleźć, ale każda marka, wydana na nią, sprawiała ojcu fizyczny ból.

Toni rzuciła szwagrowi pełne niechęci spojrzenie. Pogardzała nim w głębi ducha. Nie miała żadnych wątpliwości, że ożenił się z Albertą tylko dla majątku. Dał nazwisko, zabrał Klein Kruckow. Von Rathenbergowie mieli, być może, drzewo genealogiczne rozgałęzione jak tysiącletni dąb, ale nie posiadali ani grosza. Zanim przenieśli się do Klein Kruckow, żyli, wstyd przyznać, z wynajmowania pokoi weteranom wojennym z dobrych rodzin. Zadzierali nosa, udawali, że przyjmują pod swój dach ubogich krewnych z prowincji, kierując się wyłącznie chrześcijańskim miłosierdziem, ale nie dało się ukryć, że byli biedni jak myszy kościelne i pracowali. Prowadzili po prostu pensjonat. Teściowa Alberty gotowała cienkie zupki, sprzątała pokoje, słała łóżka i od rana do nocy wysłuchiwała charczeń, pokastywań i pojękiwań przygarniętych przez siebie staruszków. Jej mąż niby to zajmował się gospodarstwem, ale głównie włóczył się po polach

z psem i dubeltówką. Po śmierci rodziców synowej zagnieździli się natychmiast w Klein Kruckow i udawali, że tamten przykry rozdział w ich życiu nigdy nie miał miejsca.

Nieszczęsna Alberta nie miała jednak żadnego innego wyjścia. Kompletnie brakowało jej jakiegokolwiek powabu, na balach z reguły smętnie siała pietruszkę. Nie mogła przebierać wśród kandydatów, więc kiedy pojawił się młody von Rathenberg, dziękowała Bogu, że nie spędzi reszty swoich dni w staropanieństwie.

- Mój drogi Bernhardzie - powiedziała łagodnie Toni - zechciej jednakże pomyśleć o oszczędnościach, jakie zrobisz, kiedy Vera zamieszka u nas. Dziewczyna w jej wieku obdarzona jest zdrowym apetytem i każdego dnia zużywa przy toalecie moc ciepłej wody.

Na ten argument panu von Rathenberg już nic więcej nie wpadło do głowy, wzruszył więc ramionami i burknął:

- A róbcie, jak chcecie. Ja tam umyвам ręce.

Otoczona murem, przez który przelewały się kiście ciemnego bzu, willa państwa von Klinck położona była przy ulicy Orzechowej, w eleganckiej dzielnicy Charlottenburg. Parę kroków dalej zaczynał się park, przez który można było dojść do pałacu Charlottenburg. Tuż obok szumiął i pachniał żywicą śliczny las Grunewald, ulubione miejsce wypoczynku berlińczyków. Na jego krańcu, w porcie jachtowym Brunów, cumowała żaglówka wuja. Kiedy tylko czas mu na to pozwalał, zabierał rodzinę na przejażdżki po rozlewiskach Haveli, aż do Pawiej Wyspy, gdzie stały romantyczne ruiny zameczku, który Fryderyk Wilhelm II kazał zbudować dla swojej kochanki. Wśród miłorzębów i drzew mamutowych Toni i Vera rozpościerały koce i wyciągały z koszy przygotowany przez kucharkę Marthę piknik: pieczone kurczęta, nadziewany mostek cielęcy, pomidory, wiejski chleb i wyśmienite reńskie wino, które pan von Klinck jako prawdziwy patriota przedkładał nad zagraniczne trunki. Ku wielkiej radości Very okazało się, że w Grunewaldzie stoją też dwa konie wuja, śmiertelnie znudzone i spragnione porządnego galopu trakeny. Jeździła konno od dziecka, pod tym względem ojciec wyjątkowo nie robił różnicy między nią i Alexem. Wolno jej było chodzić razem z bratem do ujeź-

dżalni krzywonogiego pana Pahlcke, którego nauki polegały głównie na wrzasku i okładaniu zwierząt batem. Dla Very konie były pasją, dla Alexa obowiązkiem. Jego przyszłość zdecydowała się w momencie przyjścia na świat, kiedy to akuszerka spostrzegła między udami niemowlęcia mały członek i triumfalnie zawołała „chłopiec!” Od tej chwili wiadomo było, że Alex poświęci się karierze oficerskiej, jak wszyscy mężczyźni w rodzinie von Rathenberg. Oficer bez konia był nie do pomyślenia, więc ojciec kupił mu wkrótce siwego wałacha, na którym jeździła głównie Vera. Latem spędzała całe dnie w siodle, aż jej siedzenie zaczynało przypominać krwisty befszytk.

Nowe życie w Berlinie wydawało się Verze niekończącym się pasmem przyjemności. Kładąc się do łóżka, każdego wieczoru umierała ze strachu na samą myśl, że ten nieprawdopodobnie bogaty i kolorowy świat mógłby zostać jej odebrany, jak tylko spuści go na chwilę z oka. Bała się zasnąć, żeby nie obudzić się znowu w swojej spartańskiej mansardzie w Klein Kruckow, szarpana bezceremonialnie za ramię przez Lenę, dziewczynę do wszystkiego. Czuła nabożne wzruszenie, ile razy wkraczała do przesklepionego kopułą z witrażowego szkła hallu, z którego prowadziły na piętro marmurowe schody, elegancko wygięte niczym łabędzia szyja. Wszystko w tym domu było wytworne i pełne smaku, a przy tym nowoczesne, na najnowszym poziomie techniki, na prąd albo na gaz, automatyczne, bezszelestne i dyskretne. Na podłogach leżały sprężyste jak mech dywany, w oknach falowały stonowane portiery, na ścianach wisały kosztowne obrazy, które pan von Klinck z dużym znanstwem kolekcjonował. Po zawarciu korzystnej umowy sprawiał sobie prezent w postaci nowego Bócklina, Waldmullera albo Menzla. Nad kominem w salonie wisił nawet prawdziwy, warty majątek, Vermeer: śliczny, zimowy pejzaż z wiejskim kościółkiem w tle.

Willę otaczał park, nad którym czuwało surowe oko ogrodnika Kropcke. Żeby sprawić przyjemność żonie, pan von Klinck zakupił sąsiednią posesję i kazał tam zrobić kort tenisowy. Tenis był bardzo modny i latem goście chętnie rozgrywali partyjkę przed obiadem. Vera przynajmniej raz poczuła głęboką wdzięczność do Instytutu Anny Amalii, w którym kształcono panienki według maksymy:

„w zdrowym ciele zdrowy duch”. Teraz, biegając za piłką po korcie, mogła pokazywać zgrabne łydki.

Toni prowadziła dom otwarty, nieomalże codziennie przez salon przewijały się tłumy gości. Była kobietą szalenie zajętą, bo jeżeli nie przyjmowała, to bywała. Pan von Klinck lwem salonowym nie był i obowiązki towarzyskie ogromnie go nużyły. Poza operą, do której chętnie chodził, nie posiadał właściwie żadnych innych zainteresowań kulturalnych. Przyjaciele jego młodej żony - poeci w wytartych swetrach, zakochani w sobie aktorzy, nieobecni duchem muzycy - przerażali go. Nazywał ich „cyganerią mojej żony”, a w przebłyskach złego humoru „menażerią”. Nie uważał się ani za błyskotliwego, ani za dowcipnego, czuł się niepewnie, kiedy goście Toni przerzucali się nad jego głową złośliwymi anegdotami i przycinkami jadowitymi jak kolec skorpiona. Podejrzewał, że wyśmiewają się z niego, jak tylko się odwraca, i nie mylił się. Dlatego odetchnął z ulgą, kiedy w jego domu pojawiła się Vera i żona nareszcie przestała go zabierać do kin czy kabaretów, w których połowy dialogów nie rozumiał i często przysypiał. Teraz Toni towarzyszyła z wielkim entuzjazmem jej chrześniaczka, a pan von Klinck mógł w spokoju ducha wyciągnąć się z gazetą w fotelu przed kominkiem albo rozegrać w Klubie Przemysłowym partyjkę szachów z doktorem Goldbergiem. Ubóstwiał żonę, ale czasami kiełkowało w nim podejrzenie, że jest, jak na kobietę, zbyt samodzielna, żeby nie powiedzieć: wyemancypowana. Wolałby, żeby była mniej światowa, a bardziej domatorska. Szalała na przykład za kinem - nie opuszczała żadnej premiery w Gloria Palast - i namiętnie lubiła tańczyć. Na szczęście wyszedł z mody charleston, taniec wymagający małpich wygibasów, którego pan von Klinck nawet nie próbował się nauczyć, bo nie miał zamiaru robić z siebie pośmiewiska. Tango i fokstrota tańczyło się jednak nadal i oba wydawały mu się nieprzyzwoite. Bardzo mu się nie podobało, że obcy faceci ocierają się brzuchami o jego żonę, a ona strzela oczami i wcale nie robi wrażenia zażenowanej.

Toni stworzyła mu jednak dom, w którym wszystko funkcjonowało jak w zegarku - to musiał przyznać. Służba była doskonała, wyszkolona, posiłki smaczne, koszule wykrochmalone, meble

i posadzki lśniły, choć von Klinck nigdy nie widział pokojówki ze ścierką w ręku. Zupełnie jakby dom zamieszkiwała armia uczynnych, aktywnych nocą, krasnoludków. Toni wstawiała o świcie, żeby osobiście zaparzyć mężowi herbatę, wydawała dyspozycje kucharce, pracze i pokojówkom, sporządzała listę zakupów, doglądała dzieci i nigdy nie snuła się po domu w szlafroku. O każdej porze dnia starannie ubrana i uczesana, co najwyżej pozwalała sobie od czasu do czasu na atak migreny. Zamykała się wtedy w swoim pokoju przy zasuniętych roletach, taktownie nie zwracając nikomu głowy swoją niedyspozycją. Pod tym względem była żoną wprost idealną.

No i urodziła mu troje wspaniałych dzieci. Kiedyją poznał, zbliżał się już do pięćdziesiątki i zaczynał powoli tracić nadzieję, że kiedykolwiek będzie miał spadkobiercę, któremu przekaże wybudowane z tak wielkim wysiłkiem i cudem uratowane w czasach wielkiego kryzysu imperium. Dzieci były w jego życiu największym darem, codziennie dziękował za nie Bogu. I dlatego przymykał oczy na menażerię Toni i ręce obcych mężczyzn na jej plecach, kiedy tańczyła fokstrota.

Joachim wybierał się w przyszłym roku do gimnazjum, Else miała cztery latka, Carola dwa i pół. Jego dzieci, które miały fiołkowe oczy Toni i uparty podbródek von Klincków. Po rycerskich przodkach Caro odziedziczyła niepohamowane wybuchy wściekłości i władczy sposób marszczenia brwi, kiedy czegoś żądała. Szkoda, że Joachim nie miał takiego stanowczego usposobienia. Zawsze pogrążony w marzeniach, zaczynał go martwić: był za miękki. Interesował się wierszami, ptakami i muzyką - to nienaturalne u chłopca. Nigdy nie bił się z kolegami, nie kopał piłki, wolał czytać niż szaleć na rowerze, bał się koni. Zapytany o coś przez ojca, nabierał koloru dojrzałej borówki i spuszczał głowę. Kiedyś pan von Klinck zabrał syna do fabryki, żeby mu pokazać, gdzie spędza całe dni. Joachim patrzył rozszerzonymi oczami na rozpędzone koła maszyn i przerażony wtulał głowę w barki niczym zółw.

- Ci wszyscy biedni ludzie.... tak ciężko muszą pracować dla ciebie - wyjąkał.

W drodze powrotnej długo milczał, w końcu zapytał:

- To wszystko twoje, papo?

- Tak.

- I będzie kiedyś moje?

- Tak.

- A l e jakbym się urodził w jakiejś innej rodzinie... to byłbym robotnikiem?

- Tak. Być może.

- I musiałbym też pracować dla ciebie?

- Dla mnie albo dla kogoś innego.

- Kto decyduje, gdzie się człowiek urodzi?

- Pan Bóg.

- Nie można tego zmienić?

- N i e .

- To niesprawiedliwe.

Pan von Klinck, który oczekiwał, że syn będzie olśniony potęgą jego imperium, poczuł rozczarowanie i przyptyw złęgo humoru. Dziwne myśli przychodziły do głowy temu chłopcu - czyżby zapowiadał się na socjała?

- Dziękuj Bogu, że jest tak, jak jest - rzucił szorstko. Miał szczerą nadzieję, że syn z tego wyrośnie. Musiał wyrosnąć, żeby udźwignąć odpowiedzialność, która spadnie na jego barki.

Wolałyby, żeby te barki nie były tak wątłe. Joachim powinien uprawiać męskie sporty, jeździć konno, boksować się, pływać. Solennie przyrzekł sobie, że będzie synowi poświęcał więcej czasu. Toni była aniołem, ale dzieci wychowywały niańki i guwernantki, ubogie, przywędłe panny z dobrych domów, których widoki na zamążpójście były niewielkie. Nocami wyptakiwały sobie oczy nad powieściami sióstr Bronte, w których biedne, ale szlachetne nauczycielki budziły burzę namiętności w sercach bogatych arystokratów, za dnia biegały do kina, żeby szlochając i gryząc chusteczki, przeżywać cudze romanse. Najśmielsze z nich nie ograniczały się do cudzych i wślizgiwały się na poddasze nad garażem, gdzie rezydował pociągająco arogancki szofer Kurt. Rzadko która Fraulein zagrzała miejsca dłużej niż rok i dzieciom brakowało silnej, konsekwentnej ręki. Szczególnie Joachimowi.

Na szczęście teraz mieszkała z nimi Vera, której pojawienie się pan von Klinck uważał za wyjątkowo szczęśliwe zrzączenie losu. Bezpretensjonalna, wychowana na wsi dziewczyna, tryskająca życiem i zdrowiem, na której widok człowiekowi przychodziły na myśl same miłe rzeczy, takie jak kosze pełne dojrzałych czereśni i świeżo wypieczony chleb. Pan von Klinck lubił jej szczerą, pogodną twarz, świetliste plamki uroczych piegów, które zawzięcie tępiła przy pomocy tajemniczych maści, oczy jak szmaragdy i promieniejące w nich niezłomne przekonanie, że każdy następny dzień przyniesie coś cudownego. Vera, chociaż za wszelką cenę usiłowała upodobnić się do umierających na suchoty filmowych wampów, była uosobieniem prostoty i tężyzny fizycznej. Nieustraszenie przesadzała na koniu wszystkie płoty, grała w tenisa do utraty tchu i pływała jak młoda foka. Była idealnym towarzystwem dla Joachima, całkowicie oczarowanego nową cicią, tak odmienną od wszystkich innych cioci. Pan von Klinck z wielkim zadowoleniem skonstatował, że syn coraz częściej pojawia się na korcie, widuje się go z piłką do siatkówki pod pachą albo na rowerze. Toni zdradziła mu nawet, że jej córka chrzestna w tajemnicy udziela Joachimowi lekcji jazdy konnej. Oboje stwierdzili zgodnie, że syn zmężniał i pogratulowali sobie decyzji przyjęcia Very pod swój dach.

Vera zanurkowała w swoje nowe życie z takim samym zapałem, z jakim w Klein Kruckow rzucała się z drewnianego pomostu do wioskowego stawu. Było to życie pulsujące, gorączkowe, pełne emocji i obietnic, podniecająco wielkowiejskie, ryczące klaksonami i pałające światłami neonów, krótko mówiąc: nowoczesne, a słowo „nowoczesne” stało się ulubionym słowem Very. Nowoczesne było wszystko, co jej nie przypominało Klein Kruckow i rodzinnego domu. Kiedy w towarzystwie jakiegoś młodego poety czy malarza, którego przedstawiła jej Toni, spieszyła na premierę do Gloria Palast, sama czuła się kobietą na wskroś nowoczesną. Cały świat stał przed nią otworem.

Nie był to świat spokojny. W oceanie zamętu willa przy Orzechowej trwała za swoim murem jak niewzruszona twierdza, nie docierali do niej nawet żebracy i omijały ją uliczne orkiestry, które

przewijały się przez podwórka czynszowych kamienic. Ale już na Kurfurstendamm, który Verę przyciągał z magnetyczną siłą, coraz częściej słychać było dźwięk rozbijanych szyb. Któregoś dnia siedziała z Toni w ogródku kawiarni, huczącym jak rój pszczoł śmiechem i niefrasobliwymi rozmowami, kiedy nagle paru mężczyzn w mundurach narodowych socjalistów przesadziło balustradę, roztrzaskało krzesła i zaatakowało nimi gości. Zamieszki były na porządku dziennym - ale czy nie oznaczało to, że coś się zmienia? I czy zmiany nie zwiastowały postępu?

Polityka Very nie interesowała. W domu wbito jej w głowę, że nie jest to sprawa kobiet. Słuchała jednym uchem, kiedy pan von Klinck zaczynał przy kolacji jeden ze swoich nudnych monologów. Dotyczyły one na ogół motłochu, szczególnie motłochu nazistowskiego, który podobno teraz zasiadał w Reichstagu.

- Co to za demokracja, która wpuszcza wilka do owczarni? - zwracał się pan von Klinck z pytaniem do wazy z zupą. - Fuhrer, też coś, śmiechu warte! Ten człowiek nie przepracował w swoim życiu ani jednego dnia w jakimś uczciwym zawodzie, a teraz każdy bezrobotny szmaciarz podnosi ku niemu oczy i woła: „Wodzu, prowadź!” Dokąd, nie pyta. Niby to tłuką się z komunistami, a tak samo jak komuniści destabilizują kraj. Przejęli nawet od nich tę całą uliczną szopkę ze sztandarami i bębnami, nawet czerwony kolor od nich zapożyczyli, tyle tylko, że przykleili swastykę. Plebs!

Od plebsu dzieliły pana von Klinck całe światy. Motłoch pozostawał w jego oczach motłochem, nawet jeżeli udało mu się wdrapać na ławki Reichstagu. Był szczerym patriotą, co wcale nie znaczyło, że byłby skłonny usiąść za tym samym stołem z każdym, kto sobie wycierał usta słowem „Niemcy”. Za miejsce najbardziej dla siebie odpowiednie uważał Związek Niemieckich Przemysłowców, głównie dlatego, że spotykał tam wyłącznie ludzi z dobrymi manierami.

- Masz niewątpliwie rację - zgadzała się z nim Toni, jak przystało na dobrą żonę. - Ale coś w tym Hitlerze musi być, skoro księżna Cantacuccene wprowadziła go do swojego salonu, a pani Bechstein podarowała mu luksusową limuzynę. Bywa też u Viktorii von Dirk-



sen, gdzie spotyka się, jak wiesz, cała śmietanka towarzyska Berlina. Podobno potrafi być czarujący. Ma przejmujące spojrzenie.

- Ach, kobiety! - wzdychał w duchu pan von Klinck. - Politykę rozumieją jako zbiór mniej lub bardziej interesujących plotek. Trochę austriackiego lepkiego wdzięku, całuję rączki, padam do nóżek i już głowę tracą.

Czasami pan von Klinck odnosił wrażenie, że jego piękna żona pozostała umysłowo na poziomie piętnastolatki - ale czyż nie dlatego właśnie ją poślubił? „Słodkie dziecko” - pomyślał, kiedy do pociągu, którym jechał, wsiadło w Konstancji dziewczę z oczami jak fiołki i grubym warkoczem, sięgającym pośladków. Nawet skromny mundurek internatu dla panien Holzhausen nie był w stanie ukryć jej urody i pysznych piersi. Na widok obcego mężczyzny w przedziale dziewczyna natychmiast spuściła oczy, usiadła pod oknem, cnotliwie obciągnęła spódnicę na kolanach i zatopiła się w lekturze „Buddenbrooków”, powieści, którą pan von Klinck pomimo swoich rozlicznych zobowiązań właśnie zdążył przeczytać. Pogratulował sobie w duchu z tego powodu, bo znajomość książki dawała mu możliwość nawiązania konwersacji z piękną nieznaną.

Po pół godzinie pan von Klinck z desperackim zdecydowaniem zapakował z powrotem do walizki nie cierpiącą zwłoki korespondencję handlową, którą studiował od wyjazdu z Zurichu. Była bardzo pilna, ale tu chodziło o życie - jego całe przyszłe życie. Po godzinie wyszedł na korytarz i dał w łapę konduktorowi, żeby nikogo nie wpuszczał do przedziału. Na wysokości Karlsruhe odważył się zaprosić pannę von Rathenberg na obiad do wagonu restauracyjnego. W trakcie posiłku zachwyciło go bezgranicznie jej szczere zainteresowanie przemysłem metalurgicznym, odlewniami żeliwa szarego oraz produkcją superfosfatów. Kto by pomyślał, że w tak ślicznej główce mieści się tak bystry umysł?

Zanim pociąg wtoczył się na berliński dworzec, pan von Klinck był już po czubki uszu zakochany, a termin jego wizyty w Klein Kruckow ustalony. Trzy miesiące później oświadczył się, drżąc ze zdenerwowania jak sztubak, i został przyjęty. Narzeczona nie miała jeszcze osiemnastu lat, narzeczony skończył czterdzieści pięć.

Dyskretne inwigilacje ojca Toni wykazały, że kandydat do ręki ciejszy się niekazitelną opinią, jest bogaty, pochodzi z dobrej, starej rodziny, nie ma nałogów, jedyny znany w towarzystwie skandal, romans z pewną znaną aktorką, został zakończony w porę i zupełnie bez łez, dzięki wspaniałomyślnemu odszkodowaniu. Ponieważ mąż Alberty zdążył już zrujnować jej majątek ryzykownymi operacjami na giełdzie i posag Toni topniał w oczach jak lody w upalny dzień, nie było co się dłużej zastanawiać. Jedyny warunek, jaki postawił narzeczony, przejście Toni na protestantyzm, został przyjęty z pokorą i bez szemrania.

Zgodnie z tradycją wesele odbyło się w Klein Kruckow. Ze względu na przegraną wojnę, było skromne. Wojna toczyła się co prawda gdzieś daleko i rodzina Toni odczuła ją w niewielkim stopniu - jakiś daleki kuzyn zginął pod Verdun, inny gdzieś na wschodzie, więcej ofiar pochłonęła dwa lata później epidemia influencji - ale pogrzebanie monarchii i haniebne warunki traktatu wersalskiego zobowiązywały ją do stosownej żałoby. Jakże to: wesele bez modlitwy za cesarza? Bez trzykrotnego „hura” na jego cześć? Na znak patriotycznego smutku liczbę gości ograniczono do pięćdziesięciu i zrezygnowano z przesadnych luksusów. Podano wyłącznie produkty rodzimych pól, lasów i wód, a więc comber sarni, faszzerowanego szczupaka, pasztet z dzika i na deser pieczone jabłka z własnego ogrodu z likierem łągowym. Pierwszy toast wzniesiono za ukochaną niemiecką ojczyznę, przy następnym dziadek von Rathenberg zacytował Schillera: „Upada stare, zmieniają się czasy i nowe życie zakwita na ruinach”<sup>1</sup>. Pan von Klinck był głęboko poruszony tą bezprzykładną manifestacją patriotyzmu i pełen podziwu dla budzącej respekt gniewnej grzywy srebrnych włosów starego pana von Rathenberg. On sam, niestety, miał już tylko wianuszek delikatnych, starannie przystrzyżonych kędziorków, okalający czaszkę nagą jak kolano.

Po ślubie zainteresowanie Toni superfosfatami opadło, ale wynagrodziła to mężowi stokrotnie, rozwijając młodzieńczy, żarliwy zapał przy spełnianiu powinności małżeńskich. W tamtych czasach

<sup>1</sup> „Wilhelm Tell”

panienki musiały obowiązkowo zachować dziewictwo aż do stopni ołtarza, materiał wybrakowany nie miał żadnych szans i kwaśniał w staropanieństwie. Noc poślubna łączyła się w ich wyobrazeniach ze spełnieniem najskrytszych marzeń, przeplatanych grozą, wynikającą głównie z kompletnego braku informacji. Jedyne, co matka Toni na ten temat wydusiła z siebie, brzmiało niepokojąco i sugerowało jakieś niemiłe przeżycia. Mąż starszy i doświadczony okazał się w tym przypadku błogosławieństwem losu, a utrata dziewictwa bardzo przyjemnym doświadczeniem. Toni wysłała do siostry entuzjastyczny telegram o treści: „Hura stop małżeństwo fantastyczne stop”. Biedna Alberta pomyślała sobie, że nic jej na ten temat nie wiadomo.

Pan von Klinck uważał swoje stadło za niezwykle udane, ubóstwiał żonę i wcale nie oczekiwał od niej, że wykaże jakiegokolwiek zaangażowanie w kwestiach dotyczących jego interesów. Czasami wolałby jednak, żeby chociaż trochę zdawała sobie sprawę z tego, jak wielkiego trudu wymagało zarządzanie wielkim przedsiębiorstwem w czasach, w których bankructwa były na porządku dziennym. Na Boga, do Toni, tak chętnie biegającej do teatrów i kin, nawet nie docierało, że tak wiele z nich nie było w stanie przetrwać kryzysu!

- Nie do pomyślenia - mówiła ze zdumieniem. - Zamknięto Odeon. Co też mogło się stać?

Tylko dzięki czujnej rozwadze pana von Klinck i nieocenionej pomocy doktora Goldberga, geniusza pod każdym względem, który był jego prawą ręką, udawało mu się lawirować w odmętach tych trudnych czasów, przetrwać czarny piątek<sup>1</sup>, zapewnić ludziom pracę, a Toni standard, do jakiego przywykła. W chwilach słabości zastanawiał się, czy nie należałoby otworzyć jej oczu, ale w końcu machał ręką i myślał, że stworzenie, które ma tak słodkie dołeczki w policzkach i jeszcze rozkoszniejsze na pupie, zasługuje na to, żeby odsuwać od niego wszystkie przykre sprawy tego świata.

<sup>1</sup> 13.11.1929, krach na giełdzie nowojorskiej, który zapoczątkował światowy kryzys gospodarczy.

Na przykład Hitlera, który okrzepł w siłę i odnosił coraz większe sukcesy. Hitler budził głęboką nieufność pana von Klinck, jako ktoś, kto nie pochodząc z jego klasy, zębami wczepiał się w jej przywileje i próbował przy pomocy krzyku wznieść się na wyżyny. Człowiek z ulicy, syn celnika! Pan von Klinck był głęboko przekonany, że synowie celników powinni znać swoje miejsce w społeczeństwie i pozostać tam, gdzie ich Pan Bóg postawił, czyli na samym dole. Ale ten Hitler wcale nie zamierzał pozostawać na dole. Pan von Klinck miał okazję skonstatować to z całą ostrością na imprezie w Pałacu Sportu, na którą poszedł z ciekawości, chcąc zrozumieć, czym, u Boga Ojca, porywa masy człowiek o gestach Cezara i fizjonomii kelnera. Zrozumiał tylko, że histerycznie wrzeszczący osobnik, ze ściągniętą skorupą nienawiści twarzą, zupełnie na serio uważa się za zbawcę Niemiec, a tysiące jego wyznawców, pijanych entuzjazmem, oblanych z podniecenia potem, rozkołtysanych wspólnym rykiem, podtrzymuje go w tym przekonaniu. W wypełnionej po brzegi brunatnymi koszulami hali, pośród lasu wyprężonych rąk, pan von Klinck poczuł się jak przybysz z obcej planety. Kiedy wzrok jego padł na podskakującego, z pianą uwielbienia na ustach, małego kuternogę Goebbelsa, opuścił pospiesznie budynek.

Do kogo jednak mieli wznosić oczy maluczy? Wojna była przegrana, cesarz opuścił Niemcy, Bógje opuścił. Czy należało się dziwić, że rozpaczliwie pragnęli kogoś, kto by im przyniósł nową ewangelię? Ale żeby tym kimś miał być akurat niedoszły malarz z austriackiej prowincji... Przy całej swojej pasji dla dzieł sztuki, pan von Klinck w głębi ducha uważał artystów za darmozjadów. Chyba, że zdążyli umrzeć, a ich obrazy stały się dobrą lokatą kapitału. Hitlera nawet nie przyjęto do Akademii i nigdy nie wyszedł poza malowanie pocztówek, żaden jego obraz nie miał najmniejszych szans na zawiśnięcie nad kominkiem w willi na Orzechowej. W swojej firmie też by go nie zatrudnił, ani trochę nie budził jego zaufania. Fryzjerski wąsik, spocony kosmyk spadający na oko, posępne spojrzenie, ręka dumnie wsparta na biodrze - komediant, nic więcej.

Za to ten mały, Goebbels, ten miał prawdziwy talent. Pan von Klinck bez wahania powierzyłby mu dział reklamy. Gdyby sprzeda-

wał jego maszyny i superfosfaty z takim samym zapałem, z jakim sprzedawał tego swojego Hitlera, podbiliby razem cały świat. Na przykład plakaty: były bezkonkurencyjne. Przy każdym nowym pan von Klinck przystawał zaciekawiony i z uznaniem kiwał głową. Doskonała kolorystyka, mocne, krótkie hasła: „Hitler buduje”, „Hitler nadzieją”, „Praca i chleb” - świetne, naprawdę świetne! Wpadały w oko i pozostawały w pamięci. A jaki sprytny był pomysł, żeby wiece przypominały atmosferą festyn ludowy! Werble, fanfary i marsze nadawały im uroczysty, świąteczny charakter i podnosiły ludzi na duchu. Interesujące też były rekwizyty nazistów, szczególnie zwieńczone orłami chorągwie, przypominające *signa* rzymskich legionów. Bardzo to było pomysłowe i nowoczesne, tyle tylko, że akurat w polityce pan von Klinck nie cenił sobie nowoczesności. Jeszcze mniej podobało mu się wychodzenie z nią na ulicę. Niewątpliwie nie było to w porządku, że Żydzi zajmowali większość kluczowych pozycji w bankach, radach nadzorczych i na uniwersytetach, ale naród Goethego i Schillera nie musiał z tego powodu wybijać im szyb. W każdym razie z kochanego doktora Goldberga pan von Klinck nie miał zamiaru rezygnować. Od narodowych socjalistów postanowił trzymać się z daleka. Zupełnie słusznie przypuszczał, że jak się woła: „Niemcy, zbudźcie się!”, mogą obudzić się ci niewłaściwi.

- *Odi profanum vulgus et arceo* - podsumował przy kolacji swoje rozważania na tematy polityczne. - Przetłumacz, Joachimie.

- Nienawidzę wulgarnego plebsu i unikam go - pospieszył syn z odpowiedzią.

- Doskonale - pochwalił pan von Klinck i Joachim zarumienił się z dumy. - Przede wszystkim to nie są ludzie z naszej sfery i nie należy o tym zapominać. Bardzo możliwe, że Hitler fascynuje panie z towarzystwa, bo jest taki tajemniczy. Nie jest żonaty, nie pije, nie pali i podobno nie jada mięsa. Zakładam też, że do pani von Dirksen jeszcze nie dotarło, że szminkę do ust uznał za antyniemiecką. O ile wiem, ideałem Hitlera jest kobieta na płaskich obcasach, najchętniej pochylona nad kołowrotkiem. Byłbym zachwycony, gdybyś znowu nosiła warkocze i upinała je w koronę, ale wątpię, czy byłabyś skłon-

na zamienić *haute couture* na ludowy strój bawarski, choć jestem przekonany, że wyglądałabyś w nim czarująco.

Vera parsknęła śmiechem. Obraz Toni, zawsze ubranej wedle najnowszej mody, w sznurowanym staniczku i chłopskiej bluzce z bufkami, był absurdalny. Czy jakakolwiek partia mogła na serio zajmować się damskimi fryzurami i wysokością obcasów?

- Żartujesz sobie z nas, Johannesie, prawda?

- Ani trochę, moja droga. I nie sądzę, żeby Hitler w tych kwestiach żartował. W ogóle nie zauważyłem, żeby się kiedykolwiek uśmiechał. Jego zdaniem niemiecka kobieta powinna zejść z wysokich obcasów, wytrzeć szminkę i zająć się mężem, dziećmi i kuchnią. Akurat w tym punkcie wydają mi się narodowi socjaliści wręcz sympatyczni.

- Jestem oddana mojemu mężowi i moim dzieciom całą duszą, pozwolę też sobie zauważyć, że nie chodzą głodni, chociaż nie stoję osobiście przy garnkach - Toni poczuła się lekko urażona. - Mężczyzna z twoją pozycją musi mieć żonę, która go przede wszystkim dobrze reprezentuje. Poglądy pana Hitlera na kobiety uważam za zaściankowe. Nic dziwnego, że na zdjęciach żadna mu nie towarzyszy. Fotografuje się głównie z psami. Będę musiała dokładniej o niego wypytać Victorię von Dirksen.

Vera nie słuchała dalej. Pan Hitler zupełnie jej nie interesował. Nie po to wyrwała się z Klein Kruckow, żeby ugrzęznąć w kuchni. Nikt nie był w stanie zapędzić jej znowu do garów i pieluch. Nikt nie mógł cofnąć biegu historii.

Podniosła rękę i z dumą przesunęła ukradkiem po krótkich, starannie ufrizowanych loczkach, promieniejących wokół jej głowy złotą aureolą. Od czasu, kiedy wsunęła na samo dno szafy warkocze, starannie zapakowane przez fryzjera w bibułkę, przestała być gęsią z prowincji i poczuła się prawdziwą berlinianką. Fryzjer wyskubał jej też brwi i zastąpił je dwoma cieniutkimi czarnymi znakami zapytania, nadającymi jej twarzy wyraz permanentnego zdziwienia. Szminkę do ust dostała od Toni w prezencie. Wyglądała teraz jak Marlena Dietrich i w Klein Kruckow uznano ją niewątpliwie za kotkę. Opuściła podbródek na piersi, wyobraziła sobie, że jej powieki

ważą tonę i spojrzała na Johannaesa spod ledwie uchylonych rzęs. Pogrążony w lekturze gazety, nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. No cóż, był stary, starszy nawet od papy. Spróbowała wyobrazić sobie jego starcze ciało w łóżku z Toni i jej policzki oblał rumieniem zażenowania. Czy mężczyzna w wieku Johannaesa wciąż jeszcze...? Tak, pewnie tak, Caro miała zaledwie dwa lata. Dziecko, które było ulubienicą ojca, dziedziczką cholerycznego temperamentu rycerzy rabusiów i postrachem wszystkich nianiek. Jak na swój wiek, miała nieprawdopodobnie bogate słownictwo i bezlitośnie robiła z niego użytek. Nie dalej jak wczoraj powiedziała do swojej Fraulein: „Dobra kobieto, jeżeli będziesz mnie zmuszała do jedzenia szpinaku, każę cię wychłostać!” Spiorunowała ją przy tym wzrokiem i stanęła w rozkroku, wypinając brzusek i pochylając głowę jak szykujący się do szarży byk. Toni uciekła z pokoju, żeby nie parsknąć śmiechem. Z reguły unikała konfliktów, co najwyżej groziła: „Poczekaj, powiem papie!” Odnosiło to natychmiastowy skutek, autorytet pana von Klinck był niepodważalny. Od jego małżonki nikt nie oczekiwał podejmowania decyzji trudniejszych od wyboru pieczeni na obiad. Wystarczyło, że rysy jej twarzy były pełne harmonii, cera świetlista, oczy lśniące jak granatowe jezioro, suknie eleganckie, uśmiech ujmujący. Uważano ją za zachwycającą i więcej od niej nie wymagano. Jak piękny kwiat stanowiła ozdobę najwykwintniejszych przyjęć i łóż operowych. Cieszyła się opinią osoby interesującej i troszeczkę ekscentrycznej, gdyż chętnie otaczała się artystami. Zaproszenie do jej salonu traktowano jako wyróżnienie i dla młodych talentów mogło ono istotnie stać się przełomem w karierze. Była ogólnie podziwiana i uwielbiana. Zawsze otoczona była gromadką zakochanych w niej po uszy młodzieńców - utalentowanych malarzy, początkujących poetów i świetnie zapowiadających się aktorów. Pisali dla niej wiersze, śpiewali serenady i chcieli się strzelać. Kobiety nie znieawidziły jej tylko dlatego, że znana była jako wzorowa żona o niezłomnych zasadach. W rzeczywistości była zaledwie dyskretna.

Od kilku lat Toni darzyła swoimi pachnącymi łaskami Hassa von Harburg, ambitnego młodego człowieka o doskonałych manierach, wyśmienitych koneksjach i podejrzanych źródłach utrzymania. Po

trzech spędzonych w Anglii latach, mówił po niemiecku z wytwornym angielskim akcentem, w każdym calu przypominał londyńskiego dżentelmena i nigdy nie rozstawał się z melonikiem oraz parasolem. Otwierające wszystkie drzwi „von” przed nazwiskiem zdobył stosunkowo niedawno, odkrywając daleką ciotkę, która wcale sobie nie przypominała, żeby była z nim spokrewniona, ale, za dożywotnią rentę w wysokości czterystu marek, ochoczo zgodziła się go zaadoptować. Niestety, była już osobą wiekową, przekroczyła dziewięćdziesiątkę, i wciąż zapominała o dokonanej transakcji: pytana o dzieci, odpowiadała z oburzeniem, że jest panną. Na szczęście mieszkała w zapadłej wsi w Prusach Wschodnich, dokąd nie docierali goście, toteż nie zdołała wywołać żadnego towarzyskiego skandalu, zanim zmarła w błogosławionym wieku lat dziewięćdziesięciu pięciu. Mimo jej długowieczności, interes opłacił się Hassowi kolosalnie. Zamówił wizytówki z herbem i zaczął bywać w najświetniejszych salonach oraz, zamkniętych dla zwykłych śmiertelników jak muszla ostrygi, klubach, gdzie sugerował delikatnie, że jest spokrewniony z okrutnie zamordowaną carycą Aleksandrą, z domu księżniczką von Hessen-Darmstadt. Nazywał ją z czułością „naszą Alix”. Zdaniem Marthy, kucharki państwa von Klinck, która spędziła młodość w księżęcej kuchni na stanowisku pierwszej podkuchennej i z tego powodu uważana była za autorytet w kwestiach genealogicznych domu heskiego, wykazywał istotnie pewne podobieństwo do młodego Ludwiga IV. Zdanie Marthy było święte. Kiedy, na przykład, stwierdzała kategorycznie, że w domu von Hessen und zu Rhein nigdy, ale to nigdy, nie podano by do przepiórek sosu cumberland, Toni kładła natychmiast uszy po sobie i bez słowa skargi zmieniała menu.

Hasso zastąpił wkrótce jako wybitny tancerz, wyborny tenisista i wytrwały gracz w brydża. W rzadkich chwilach, kiedy nie uganiał się na korcie za piłką, nie miał kart w ręku i nie wirował po parkiecie, rozprawiał z cygarem w zębach o polityce. Rozumiało się samo przez się, że, ze względu na tragedię w rzekomej rodzinie, podawał się za żarliwego antykomunistę i nie ustawał w przestrzeganiu przed zarazą bolszewicką.



Z czego żył, nie bardzo było wiadomo. W szwajcarskich, angielskich i francuskich internatach, z których go po krótkim czasie wyrzucano z powodu bezczelności i braku zapału do nauki, zdobył doskonałą znajomość języków, ale nie zdobył matury. Podobno czymś tam handlował, przebąkiwano też, że regularnie objeżdża samotne, stare ciotki i wyłudza od nich pieniądze. Zabawia je miłą konwersacją, towarzyszy im na zakupach i wyprowadza na spacer ich pekińczyki w nadziei na zastrzyk finansowy i zapis w testamencie. Uważano, że poluje na posażne panny i któregoś dnia wżeni się w jakiś bajeczny majątek. Na razie jednak z oddaniem asystował Toni.

Vera szybko zorientowała się, że ciotka ma kochanka. Być może była prowincjonalną gęsią, ale nie była gęsią głupią. W Instytucie Anny Amalii wszystkie myśli pańienek krążyły wokół miłości, była tematem większości rozmów. Instytut wychowywał surowo i cnotliwie, ale nie zabraniał czytania wieszczów, a wieszczom nic innego nie chodziło po głowie. Kopalnią najczystszej erotyki był sam książę poetów Goethe, którego w wieku lat siedemdziesięciu trzech spalało pożądanie na widok młodziutkiej Ulryki von Levetzov:

*Jedno spojrzenie, miły, twoich oczu  
I na mych ustach jeden pocałunek -  
Czyż może znaleźć upojniejszy trunek,  
Kto choć raz w życiu tę słodycz poczuł?*<sup>1</sup>

Jak wielką potęgą musiała być namiętność, skoro nawet zgrzybiały wieszcz ślinił się i pisał wiersze, umierając z miłości! Vera była absolutnie zdecydowana poznać wszystkie jej odcienie - legalne i nielegalne. To, co pokrywało słodką mgłą oczy Toni, kiedy spoglądała na Hassa, wyglądało na mocno nielegalne. Wymieniali spojrzenia, jakby wymieniali pocałunki, jakby ich łączył niewidoczny przewód wysokiego napięcia. Obserwowanie ich było ogromnie podniecające.

<sup>1</sup> „Kochająca pisze”, J. W. Goethe

W oczach swojej matki Vera takiej mgiełki nigdy nie zauważyła. Alberta patrzyła na męża z jawnym znudzeniem, najczęściej z pogardą. A że w Klein Kruckow jedynym kochankiem, który wchodził w grę, był Jezus Chrystus, wybrała go sobie na oblubieńca i już za życia zamieszkała w rodzinnej kruchcie. Wyglądało na to, że ostateczna przeprowadzka nie sprawi jej żadnej różnicy.

W przesypanej światłem witraży kościelnej ciszy Alberta znajdowała ukojenie, układając artystyczne bukiety na ołtarzach, budując bożonarodzeniowe żłobki i wielkanocne groby. Dobrotliwy ojciec Norbert stał się jej oddanym przyjacielem i powiernikiem. Z cierpliwością męczennika wysłuchiwał jej codziennej spowiedzi, z trudem opanowując ziewanie i przysypiając w mroku konfesjonału, gdyż grzechom tej świętej kobiety brak było jakiegokolwiek pieprzu.

Vera nie mogła zrozumieć łagodnej rezygnacji matki. Jak można było tak dać się pogrzebać żywcem? Ona sama była głodna życia, złakniona wrażeń, przygód i flirtów. Wbijiała zęby w każdy nowy dzień, jakby to było dojrzałe jabłko. Byle dalej, szybciej, mocniej! Jeśli tańczyła, to do upadłego, jeśli galopowała, to aż koń spłynął pianą i tak też wyobrażała sobie miłość: do utraty zmysłów. Czy Toni traciła zmysły w ramionach Hassa? Vera miała wielką ochotę ją o to zapytać. Umierała wprost z ciekawości, jak to jest, kiedy przeżywa się to coś, czego szukają poeci, a znalazłszy popadają w bezdenną, ale inspirującą rozpacz.

*Z dała od ciebie żyjąc na uboczu,  
Tobie poświęcam mą myśl i frasunek,  
Serce potrąca wciąż tę samą strunę,  
Jedną, jedyną... i tży płyną z oczu'.*

Na zafrasowaną Toni jednak nie wyglądała, wprost przeciwnie. Jej twarz rozjaśniała się tajemniczym blaskiem, kiedy z roztargnieniem pociągała usta szminką i rzucała mimochodem w stronę Very:

' „Kochająca pisze” J.W. Goethe

- Umówiłam się na czwartą z krawcową. Powiedziałam Johannesowi, że idę z tobą do parku na spacer, bo po co ma się niepotrzebnie denerwować, biedaczek. Nie skąpi mi, uchowaj Boże, ale mężczyźni po prostu nie są w stanie zrozumieć, że nie można się pokazać na przyjęciu dwa razy w tej samej toalecie. Niewinne kłamstwo, żeby go nie drażnić. Mąż nie o każdej nowej sukni musi wiedzieć.

- Oczywiście, Toni, masz rację - zapewniała ochoczo Vera, podskakując wokół ciotki jak gorliwy spaniel. Dla Toni była skłonna łągać od rana do nocy. Zawdzięczała jej swoje nowe, fascynujące życie w Berlinie, a poza tym - czyż nie było to szalenie romantyczne? Wiarołomne żony widywała do tej pory wyłącznie w kinie. W Klein Kruckow romanse były absolutnie wykluczone, chociażby dlatego, że wszyscy ani na chwilę nie spuszczaali się z oczu. Toni wydawała się jej powieściową heroiną, folgującą namiętnościom jak madame Bovary, chociaż Vera nie życzyła jej, oczywiście, żeby skończyła równie smutnie. Z zainteresowaniem przyglądała się, jak Toni oblewa się na widok Hassa promienistą jasnością, jakby skąpana była w radosnym deszczu, obserwowała ukradkowe muśnięcia palców, wymieniane za plecami gości spojrzenia i szeptane bez tchu słowa. Wszystko to miała zamiar kiedyś wypróbować - jak tylko nadarzy się okazja.

Zakochana z wzajemnością, Toni odmłodziła i rozkwitła. W poczuciu winy i z nadmiaru miłości do całego świata nie szczędziła mężowi czułości, obsypywała dzieci pieścizotami i obdarowywała służbę ślicznymi, choć nikomu nieprzydatnymi drobiazgami.

- Pani to prawdziwy anioł - mówiły zgodnie pokojówki, a pan von Klinck dziękował Bogu za żonę tak zachwycającą i pełną słydczy. Vera poważnie zastanawiała się, czy grzech pozostaje grzechem także i wtedy, kiedy wszyscy są szczęśliwi, szczęśliwsi nawet niż byliby bez grzechu. Wolałaby, żeby jej matka była mniej cnotliwa, a bardziej radosna. Bez odrobiny lekkomyślności całe życie niewarte było funta kłaków. Fakt, że przychodzą jej do głowy myśli tak rewolucyjne, Vera uznała za niezbity dowód, że w Berlinie stała się kobietą absolutnie wyzwoloną.

Podczas gdy państwo von Klinck roztrząsali przy kolacji kwestie polityczne, na dole w kuchni personel zgromadził się wokół zdenerwowanej Marthy. Była tak roztrzęsiona, że po raz pierwszy w życiu opadł jej suflet i Kathi, pierwsza pokojówka, musiała z pomocą pomywaczki Emmi na gwałt bić pudding karmelowy, żeby było co podać do mokki. Kathi nazywała się w rzeczywistości Caroline, ale nie wypadało, żeby pokojówka nosiła to samo imię, co córeczka państwa - byłoby to wręcz nietaktowne. Zresztą w domu państwa von Klinck tradycyjnie każdą pierwszą pokojówkę nazywano Kathi. Służące zgadzały się na nowe imię bez protestu. „Kathi” oznaczało zajmowane stanowisko, było więc niejako tytułem, a tytuły były zawsze mile widziane. Kiedy odchodziły bądź były oddalane i stawały się znowu Lizą, Marią czy Anną, odczuwały to jako degradację.

Przy stole siedział rozparty na krześle Anton, syn Marthy, tęgawy trzydziestolatek z zaciętą twarzą. Nogi w oficerkach wysunął daleko przed siebie, ręce splótł na brzuchu i palcami kręcił niecierpliwie młynka. Widocznie wybierał się na jakieś wieczorne spotkanie partyjne, bo jego szeroką pierś opinała brunatna koszula SA, przecięta na skos cienkim, skórzanym pasem. Na lewym ramieniu nosił czerwoną opaskę ze swastyką. Rozpięty kołnierz ukazywał cień rudawego zarostu na szyi, o ton ciemniejszego od najeżonej szczoteczki wąsa. Był wyraźnie rozdrażniony i opryskliwie wzruszał ramionami, słuchając lamentów Marthy.

- Taki wstyd, taki straszny wstyd! Jak ja teraz spojrzę państwu w oczy? I jak zamierzasz znaleźć nową pracę - przy tym okropnym kryzysie? Miałeś przecież u pana von Klinck jak u Pana Boga za piecem, zarobki były niezłe, jak na te czasy - musiały cię ręce zaświerzbic? Ojciec by się w grobie przewrócił, gdyby wiedział, że jego jedyny syn ma lepkie łapy!

- Zamknij się, matka - przerwał jej Anton ze złością. - Gadasz, jakbym był złodziejem. Wziąłem, co było przeznaczone do wzięcia, raptem parę cygar. Po to tam były: żeby się goście częstowali.

- Goście, ale nie ty!

- A co, ja gorszy jestem? Gorszy od tych żydowskich bankierów, których Goldberg przyjmuje? Co to ludziom nie cygara, tylko

ostatnie grosze kradną? Poczekaj trochę, czas takich Goldbergów już się kończy. Niedługo będzie żałował, że mnie sam cygarem nie poczęstował. W pas będzie się giął i przymilał: Cygarko może, panie Fronk? A ja mu wtedy, Żydłakowi, kopa w tyłek dam. Nie jęcz, matka: poczekaj, to zobaczysz. Odżydzimy ten kraj. Wszystko się zmieni.

Martha załamała ręce z rozpaczą. Same kłopoty z tym chłopakiem! Od czasu, kiedy Fritz zginął na tej przeklętej wojnie, wszystko było tylko na jej głowie. Fritz dał się zabić w ostatnich dniach wojny, już po kapitulacji, wycofując się z Francji ze swoim regimentem. Nawet nie wiadomo było, czy padł z ręki nieprzyjacielskiego żołnierza, czy też zwykłego rabusia. Martha nigdy nie dowiedziała się, gdzie go pochowano.

Musiała pójść do pracy, a Antonowi zawiesić klucz na szyi i wysłać na ulicę. Tam też pobierał edukację. Nie miała czasu, żeby się nim zająć. Z rezygnacją patrzyła, jak ulega coraz to innym wpływom, wodzi się a to z bezrobotnymi lumpami, a to ze zdemobilizowanymi żołnierzami. Cóż mogła na to poradzić? Ale raz rzuciła się na niego z pięściami i sprąta na kwaśne jabłko: kiedy znalazła w jego pokoju bolszewicką bibułę. Bolszewicy! Po tym wszystkim, co zrobili panience Alix i jej słodkim dzieciom!

- Załukę, a nie pozwolę, żeby mój syn zadawał się z komuchami! - wrzeszczała, młóćąc jego plecy pięściami. - Wara ci od tej bolszewickiej zarazy, zrozumiałeś?

Anton zrozumiał. Kilka lat później spadał z koleżkami z SA jak sęp na bojówki Czerwonego Frontu, rozpędzał wiece na cztery strony świata i obcasami oficerów miał na kryształowy proch szyby komunistycznych lokali. Do książek wykazywał mniej zapału. Ledwo, ledwo ukończył szkołę podstawową, choć górował w sportach i całkiem ładnie rysował. Największą jego pasją były jednak mundury, order, odznaki i naszywki - na tym się naprawdę znał. Bardzo dumny z tego, że ojciec był żołnierzem i poległ jak bohater na polu chwały, najchętniej poszedłby w jego ślady i został oficerem. Na to nie miał jednak żadnych szans. Z marnym wykształceniem nie mógł znaleźć żadnej roboty, łapał się słabo płatnych dorywczych zajęć, aż matka wyprosiła dla niego pracę u doktora Goldberga. Promie-

niała cała z dumy, kiedy mówiła o „stanowisku” syna w firmie pana von Klinck, zupełnie jakby Anton był tam kierownikiem, a choćby majstrem. W rzeczywistości był zaledwie gońcem. Popychał przez labirynty korytarzy wózeczek z aktami i segregatorami, przenosił z pokoju do pokoju dokumenty i latał po butki dla urzędników. Ale była to prawdziwa posada i Martha odetchnęła z ulgą.

Do dzisiaj.

Dziś dowiedziała się, że doktor Goldberg przytapał Antona na podkradaniu cygar ze srebrnej szkatułki, stojącej na jego biurku, i wyrzucił go na zbity pysk.

- Nie istnieją błahostki, jeżeli chodzi o uczciwość - powiedział.  
- Nawet drobna kradzież pozostaje kradzieżą. Dziś cygaro, jutro cygarnica, pojutrze papiery z mojej szuflady. Nie ma u nas miejsca dla ludzi, którym klei się do rąk. Firma istnieje od 1850 roku i od 1850 roku uczciwość jest naszą dewizą. Uczciwy produkt za uczciwą cenę. Nasza klientela obdarza nas zaufaniem, a my darzymy nim naszych pracowników. Papiery może pan odebrać w personalnym. Nie ma pan żadnej adnotacji w aktach, napisałem, że odchodzi pan na własne żądanie. Bardzo mi przykro, panie Fronk, ale to wszystko, co mogę dla pana zrobić.

Dobroczyńca, psiakrew.

Antonowi oczy nabiegały krwią, kiedy przypominał sobie, jak stał, niczym skarcony uczeń, przed biurkiem doktora Goldberga, a przed nim rozpięta była fotel to utuczona na niemieckiej krwi Żydzisko, w szytej na miarę koszuli, ze złotą dewizką zegarka na piersi. Ale z tym będzie teraz koniec.

- Ale z tym będzie teraz koniec, matka - powtórzył na głos.  
- Nadchodzą nowe czasy i Goldberg będzie mi czyścił buty, zobaczysz. Jeszcze pożałuje, że mnie wyrzucił. A teraz zamknij dziób i daj mi coś do jedzenia. Głodny jestem.

Vera przystanęła przed księgarnią Margi Schoeller, żeby przejrzeć się w szybie wystawowej. Przeciągnęła szminką po ustach, przypudrowała nos, skarciła niesforny kosmyk włosów i przygięła rondo kapelusza. Marszcząc brwi, przyjrzała się krytycznie swojemu odbiciu. Chwalić Boga, można znowu było mieć talię. W ubiegłych latach nosiło się workowate suknie przepasane na biodrach, przypominała w nich kolosalną parówkę. Jej nowy kostiumik z cieniutkiej, czarnej wełenki uszyty był według ostatniej mody: dopasowany w pasie, spódnica rozkloszowana, żakiecik głęboko wycięty, rękawy trzy czwarte, wykończone futerkiem. Uśmiechnęła się zadowolona do swojego odbicia. Wyglądała szykownie, a przede wszystkim nowocześnie i właśnie za taką pragnęła być uważana: za kobietę na wskroś nowoczesną.

Całe życie fascynowało ją wszystko, co przynosił ze sobą postęp. Miała zainteresowania całkowicie nieodpowiednie dla młodej panienki: wynalazki techniczne, samochody, samoloty, maszyny, lornetki, gramofony i aparaty fotograficzne przyciągały ją jak magnes. Obdarowywano ją tomikami poezji, pamiętnikami i tamburkami do robótek ręcznych, ale bardziej pasjonowało ją oglądanie nogi pająka pod mikroskopem Alexa. Alexa technika nudziła. Verze bez trudu udawało się wycyganić jego męskie zabawki i to ona czatowała nad stawem z lornetką na czaple, fotografowała wioskowe dzieciaki i dłubała przy rowerze. Najbardziej zachwycały ją automobile - w Klein Kruckow wciąż jeszcze rzadkość, do kościoła i na stację jeździło się krytą bryczką. Jako dziecko natychmiast pędziła na drogę, jak tylko usłyszała ryk studebakera, którym rozbijał się po wsi aptekarz Molier, znany z postępowych poglądów i ekscentrycznych zamiłowań. Auto pędziło w obłokach kurzu z zawrotną prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę, siejąc śmierć wśród kur i gęsi. Baby wylatywały pomstując za opłotki, płoszyły się konie, kundle ujadły, a aptekarz w skórzanych lotniczych okularach przyciskał klakson, szczyrzył zęby i krzyczał:

- Cicho tam, baby! Taki już jest kurzy los, i tak wylądowałyby w garnku!

Na Orzechowej Vera wciąż kręciła się koło garażu i przekupywała cygarami Kurta, szofera pana von Klinck, żeby pozwolił jej usiąść za kierownicą. Na widok błyszczących cylindrów, tłoków i zaworów robiło jej się słabo ze szczęścia a jej oddech przyspieszał. Wyobrażała sobie, jak mknie, wijącą się wśród pól szosą, własnym autem, najlepiej kabrioletem, a pęd powietrza rozwiewa jej włosy.

Zanim zakochała się w Maxie Finnie, zakochała się najpierw w jego samochodzie. Stał na podjeździe przed domem, sportowy Adler Primus o barwie kości słoniowej, z dachem zsuniętym jak akordeon w harmonijkę i błotnikami obtymi niczym grzbiety delfinów.

- Piękna zabawka, panno Vero - zauważył za jej plecami Kurt i czule przesunął irchową ściereczką po skrzydłach, rozpiętego na srebrnych kratkach chłodnicy, orła. - Karoseria od Karmanna, wyciąga co najmniej sto dziesięć na godzinę. Cukiereczek! W sam raz samochód dla panienki.

Vera poczuła się zaszczycona. Panujący nad flotą samochodową pana von Klinck, Kurt znany był z małomówności i pogardy dla niewiast. Kiedy musiał wozić po mieście Toni i jej rozcwierkane przyjaciółki, twarz kamieniata mu w wyrazie urazy. Wśród personelu zajmował szczególną pozycję, miał swoje własne mieszkanie nad garażem i samotnie jadał w nim posiłki. Kolejne niańki małych von Klincków brały jego mrukliwość za tajemniczość i traciły dla niego głowę. Mundur, czapka z błyszczącym daszkiem i opięte skórzanymi rękawiczkami dłonie na kierownicy potężnej maszyny, pod której maską ukrywało się stado koni, czyniły je drżącymi i bezwolnymi. Pan von Klinck, który lubił rozprawiać z Kurtem o polityce, żeby sondować nastroje klas niższych, wołał udawać, że nie widzi, jak przekradają się nocą do garażu. Zanim dochodziło do skandalu, odwoziło się zapłakane biedule na stację. Pozbawionych środków do życia wychowawczyń nie brakowało, a o dobrego szofera było trudno.

- Jeszcze nie wszedł do seryjnej produkcji, panno Vero. To model specjalny, zrobiony dla pana Finna.



Vera nadstawiła uszu. Max Finn był znanym śpiewakiem, może nawet najślawniejszym w Berlinie. Miał cudowny, ciepły głos, kobiety za nim szalały. Słuchając go odnosiły wrażenie, że zna ich najtajniejsze myśli i marzenia. Spalało je pragnienie, żeby zechciał im te marzenia jak najszybciej spełnić.

- Max Finn? Jest tutaj? - zapytała, starając się, żeby zabrzmiało to obojętnie.

- On i kupa innych gości - odparł Kurt krótko. Przyłożył dwa palce do daszka czapki na znak, że rozmowa go wyczerpała i oddalił się.

Vera była tak przejęta spotkaniem z Maxem Finnem, że niewiele z tego wieczoru pozostało jej w pamięci. Kładąc się do łóżka, usiłowała sobie przypomnieć, jak Finn właściwie wyglądał i co do niej mówił, ale stwierdziła, że nawet nie wie, czy jest wysoki, czy niski. Tylko ten głos wciąż brzmiał żywo w jej uszach - miękki jak aksamit, głęboki jak ocean pełen gwiazd. Cały czas nie opuszczało jej ponure przeświadczenie, że jest niezgrabna i zachowuje się jak gęś, ale zegnając się, przytrzymał jej rękę w swojej i powiedział:

- Jestem przekonany, że będzie pani wybitną śpiewaczką. Jest pani taka naturalna. Jak koszyk wyłożonych słońcem jabłek. Jak pole słoneczników.

- Pachnę na kilometr wiochą - pomyślała smętnie Vera.

W rzeczywistości rozczuliła go. Obudziła w nim instynkt opiekuńczy. Nie uszło jego uwagi łakome spojrzenie, jakim taksował ją Hasso, ten ryży snob. Uznał, że Vera potrzebuje opieki. Wśród tych wszystkich wyrafinowanych bywalców salonów wydała mu się cudownie niewinna. Widział, jak bardzo starała się im dorównać, biorąc arogancję za inteligencję, złośliwość za dowcip, brak zasad za szerokie horyzonty. Będą tak długo z niej kpili, aż uwierzy, że ziemia jest płaska i kończy się za granicami Berlina urwiskiem. Aż przestanie przypominać koszyk wyłożonych słońcem jabłek.

- Niech pani uważa na siebie w Berlinie.

Biedna Vera była przekonana, że uważa ją za prowincjonalną idiotkę i jak prowincjonalna idiotka oblała się rumieńcem. Załamana spuściła głowę. Ale następnego dnia przysłał jej kwiaty i bilecik

z zaproszeniem do teatru. Od tego czasu spotykali się prawie codziennie i Vera zaczęła rozumieć, co wieszcz miał na myśli, mówiąc o strunach w sercu i upojnych trunkach. A teraz spieszyła do Romańskiej, żeby go znowu zobaczyć i rzeczywiście miała wrażenie, że w jej piersi coś się iskrzy i wibruje.

Vera zamknęła puderniczkę i schowała ją do torebki. Jej wzrok zatrzymał się na leżącej na wystawie książce: „Na zachodzie bez zmian”. Panowie rozmawiali o niej na wczorajszym przyjęciu. Johannes był nią oburzony, twierdził, że obraża pamięć żołnierzy, którzy oddali życie za ojczyznę. On sam brał udział w wojnie, został ciężko ranny i nie życzył sobie, żeby traktowano to jako dowód głupoty. Max Finn z nim się nie zgadzał. Uważał, że po raz pierwszy ukazano wojnę taką, jaką była naprawdę: bezsensowne marnotrawstwo ludzkiego życia. Starzy mężczyźni kazali młodym mężczyznom umierać za cudze ideały, wszyscy wpadali w szal, zabijali się nawzajem i dostawali za to medale. Vera odniosła wrażenie, że te poglądy Johannesowi nie spodobały się.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie kupić powieści, żeby wyrobić sobie własne zdanie i mieć o czym rozmawiać z Finnem, ale spojrzała na zegarek i szybko się rozgrzeszyła. Zrobiło się już późno, a dzień był zbyt piękny, żeby myśleć o umieraniu.

Romańska była miejscem legendarnym. Spotykała się w niej cała artystyczna *creme de la creme* Berlina. Można tam było spotkać Ernsta Lubitscha, Fritza Langa, Bertolta Brechta i Carla Zuckmayera, a także całe mnóstwo nikomu nieznanym talentów, które rozpaczliwie domagały się odkrycia. Wydawało się, że cierpliwe wysiadywanie w Romańskiej było podstawowym krokiem do zrobienia kariery. Vera otworzyła drzwi i weszła do huczącej życiem kawiarni. W pierwszej chwili poczuła się rozczarowana: lokal przypominał halę dworcową. Ale w kącie zobaczyła aktora Heinza Ruhmanna z Lilian Harvey, której fryzurę po obejrzeniu „Trzech ze stacji benzynowej” próbowała skopiować i humor od razu jej się poprawił.

Max siedział w towarzystwie czterech młodych mężczyzn o gładko przylizanych włosach, które rozdzielały idealnie równe przedział-

ki. Zsunęli dwa marmurowe stoliki i zatopieni byli w rozmowie. Na widok Very Max rozpromienił się i wstał.

- Vera! Jak to miło, że pani przyszła. Proszę pozwolić, że przedstawię pani moich starych przyjaciół: Harry Frommermann, Roman Cycowski, Robert Biberti, Ari Leschnikoff. Właściwie jest ich sześciu, bo to sekstet, ale Erich i Erwin wyklócają się z impresariem o gaże.

Vera omal nie zemdląta z wrażenia. Comedian Harmonists! Ich przeboje śpiewał cały Berlin.

Cztery przedziatki zerwały się z krzesel, ukłoniły i z brawurą huknęły na melodię swojej najpopularniejszej piosenki<sup>1</sup>:

I/era,  
*Gdy cię widzę, serce mi zamiera,*  
*W piersiach dech mi zapiera,*  
*Gdy widzę cię, Vera!*

Dalej był już zwykły tekst o Veronice, dziewczętach, które śpiewają tralala, zbliżającej się wiosnie i rosnącym szparagu, ale każdy refren przeznaczony był tylko dla Very i śpiewając, pochylali się w jej stronę z szarmanckim ukłonem. Kiedy skończyli, sala wybuchnęła oklaskami, jedynie Ruhmann się skrzywił, bo uważał, że aplauz tylko jemu się należy i bardzo nie lubił, kiedy ktoś inny grał pierwsze skrzypce. Vera ślicznie spiekła raczka, z czym wyglądała uroczo. Była zachwycona. To właśnie było takie cudowne u Maxa: jak się z nim było, od razu działy się różne niezwykłe rzeczy. Na przykład człowiek wchodził do kawiarni i najślawniejszy zespół wokalny padał mu do nóg. Jak w bajce.

- Znamy się z Romanem od lat - wyjaśnił Max, kładąc rękę na ramieniu mężczyzny o pociągłej, przystojnej twarzy i ujmującym uśmiechu. - Chodziliśmy razem do szkoły. W Łodzi. To teraz Polska.

Vera w popłochu zaczęła szukać w pamięci, gorzko żałując, że na lekcjach geografii czytała pod ławką Karola Maya. Polska! Państwo,

<sup>1</sup> „Veronika, der Lenz ist da” - „Weroniko, już wiosna”

które bardzo długo w ogóle nie istniało i odrodziło się po układzie wersalskim, na który dziadek von Rathenberg nie przestawał kląć. Malutki kawałek tej Polski sięgał teraz do morza i oddzielał od Rzeszy ciotkę Minnę, która mieszkała w Prusach Wschodnich. Ciotka wysiadała z pociągu w przekrzywionym kapeluszu, wymięta jak zwiędła jarzyna i narzekała na okropne uciążliwości, związane z przekraczaniem „korytarza gdańskiego”. Kiedy Vera była mała, wyobrażała sobie, że gruba Minna musiała się przepychać przez coś w rodzaju wąskiego tunelu i bardzo jej współczuła. O Polsce wiedziała jeszcze, że dwaj królowie pochodzili z saskiej dynastii Wettinów, a jakaś arystokratka była kochanką Napoleona - i to mniej więcej wszystko. Szkoda, że Max nie chodził do szkoły w Wiedniu, tam była już parę razy i mogłaby rzucić kilka inteligentnych uwag o katedrze Świętego Szczepana.

- Czy to ładne miasto? - zapytała uprzejmie tego Romana o niemożliwym do wymówienia nazwisku.

- Ładne? Nie, chyba nie. Przynajmniej nie w porównaniu z Berlinem. Raczej dziwne niż ładne. Wie pani, wyrosło nagle jak spod ziemi. Duże, przemysłowe miasto, kiedyś można tam było w ciągu kilku lat dorobić się fortuny na bawełnie. Ludzie przyjeżdżali do Łodzi jak do Ziemi Obiecanej i robili amerykańskie kariery - Niemcy, Rosjanie, Polacy, Żydzi. Nie uwierzy pani, jakie pałace tam stoją! Oranżerie, ogrody zimowe, sale balowe, gabinety myśliwskie, biblioteki, boazerie, marmury. Nieprawdopodobny wprost luksus.

- Był taki fabrykant, nazywał się Poznański - wtrącił Max. - Kiedy architekt go zapytał, w jakim stylu ma być pałac, odpowiedział: „Mnie stać na wszystkie style”. Ale to wszystko przeszłość, po zamknięciu rosyjskiego rynku w dwudziestym roku podupadli nawet Poznańscy.

- Max mówi tak, jakby jego rodzina musiała palić w kominkach boazerią, jeść fabędzie i hodować w oranżerii kapustę - roześmiał się Roman. - Tak źle nie jest, dzięki hojności szanownego tatusia mogliśmy udawać słowiki w Berlinie.

Wszystko to brzmiało intrygująco i szalenie zachęcająco. Gdyby Max pochodził z jakiejś zamożnej ziemiańskiej albo fabrykanckiej

rodziny, zrobiłoby to bardzo dobre wrażenie na dziadku von Rathenberg, który był paskudnym snobem i uznawał tylko ludzi ze sfer. W jego oczach wszyscy artyści byli jedynie „komediantami”.

- Jakie to interesujące! - zawołała. - Nigdy pan nie wspomniał, że pochodzi pan z Polski.

- Moja rodzina żyje w Łodzi od stu lat. Mówimy po polsku równie dobrze jak po niemiecku.

- Są podporą życia kulturalnego w Łodzi - zaznaczył Roman. - Wielcy miłośnicy muzyki, koneserzy sztuki. Papa Maxa jest prezesem Towarzystwa Krzewienia Pieśni Niemieckiej i członkiem Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego, pod jego dachem koncertował sam Paderewski.

Vera była olśniona. Bogata rodzina, w dodatku z klasą - bajecznie! Ale czy ona się Maxowi w ogóle podoba? Bo do tej pory jakoś się na ten temat w ogóle nie wypowiedział. Był nienagannie poprawny - zbyt poprawny, niestety - i ich rozmowy krążyły wyłącznie wokół tematów tak niewinnych, jak zabytki Berlina i najnowsza premiera. Zupełnie nie wiedziała, jak go zachęcić. Może miał kochankę? Nawet na pewno, mężczyzna tak sławny musiał być otoczony mnóstwem pięknych kobiet, które tylko marzyły o tym, żeby paść w jego ramiona. A jak już padły, to co? Tego w Instytucie Anny Amalii nie uczyli, ale wychowana na wsi miała pewne podejrzenia. Jego liczne kochanki były niewątpliwie zmysłowe, zepsute, paliły papierosy w długich cygarniczkach i miały rzęsy tak ciężkie od tuszu, że ledwie mogły unieść powieki. Vera bardzo chciała wyglądać demonicznie, ale jest to niezwykle trudne, kiedy się wprost nieprzyzwoicie tryska zdrowiem i ma na nosie piegi. W kwestiach erotyki czuła się beznadziejnie niedoświadczona. Czterej Comedian Harmonists dokończyli kawę i pożegnali się, chyląc kolejno nad jej dłońią swoje nieskazitelnie równe przedziałki. Miała serdeczną nadzieję, że w tej chwili widział ją ktoś ze znajomych, kto rozplotkuje to po mieście, co bardzo podniesie jej kwalifikacje towarzyskie.

- A teraz Gloria Palast - powiedział Max, podając jej ramię.  
- Musi pani koniecznie zobaczyć nowy film z Marleną Dietrich.

Podejrzanie, że matka nie pochwaliłaby tego filmu, zakiełkowało w Verze już w momencie, kiedy surowy profesor Rath, niepokojąco przypominający dziadka von Rathenberg, przekroczył próg Błękitnego Anioła, i jego cnotliwe oko padło na Lolę-Lolę. Marlena Dietrich, przyodziana głównie w srebrzysty cylinder i czarne siatkowe pończochy, podtykała mu pod nos prawie gołe nogi i zapewniała lekko ochrypłym głosem, że istnieje tylko po to, żeby być kochaną. Och! Vera nie wiedziała, gdzie ma podziak oczy i ogarnęło ją okropne zażenowanie, szczególnie, że tuż obok siedział Max, tak blisko, że czuła ciepło jego ciała. Ale potem historia nieszczęsnego pedagoga wciągnęła ją i zapomniała o całym świecie. Jej oczy zrobiły się z przejścia wielkie jak spodki, kiedy zakochany profesor zrezygnował z pracy i pozycji społecznej, żeby ruszyć za trupą Loli-Loli, a potem staczał się coraz niżej i niżej. Cierpiał straszliwe męki, widząc jak pozwala się upokarzać, występując jako clown w rodzinnym mieście. Kiedy rozbito mu na głowie jajko, przesunęła bezwiednie ręką po włosach, mając wrażenie, że są zlepione żółtkiem. Z całego serca życzyła mu, żeby udało mu się udusić wiarołomną Lolę-Lolę i poczuła wielkie rozgoryczenie, kiedy go w końcu od niej odciągnięto: to nie było sprawiedliwe. Miała wielki żal do tych, którzy go wyrzucili na ulicę i pozwolili mu umrzeć samotnie w jego dawnej szkole - mogłaby ich za to zamordować. W tym momencie płakała już jak bóbr i zupełnie zapomniała, że jest kobietą na wskroś nowoczesną, która siedzi obok sławnego tenora. Na szczęście w kinie było ciemno.

- Przykro mi, że film tak panią przygnębił - powiedział Max, dyskretnie podając jej chusteczkę. W potrzebie Vera nigdy nie miała jej pod ręką. - Ale tak to już jest: ludzie są okrutni i surowo karzą każdego, kto nie trzyma się obowiązujących norm.

- Kiedy on tylko poszedł za głosem serca - chlিপnęła Vera. - Wszystko z miłości.

- Nie wszystko wolno, nawet z miłości.

Czy chciał jej coś przez to powiedzieć?

- Vero, proszę wytrzeć nos i uśmiechnąć się. To tylko film. Ale wie pani co? W tej scenie Jannings rzeczywiście prawie udusił Marlenę Dietrich. Był na nią wściekły, bo go całkowicie przyćmiła. Nie można go było od niej odciągnąć.

## CZAS TARANTUL

Vera roześmiała się, a Max pomyślał z rozczuleniem, że jest jednak bardzo młoda. Mocno wszystko przeżywała, a potem, jak dziecko, bez trudu przechodziła od łez do radości.

- A jednak wołałabym, żeby się dobrze skończyło. Biedny profesor Rath.

W samochodzie Vera oparła głowę o poduszki fotela i zamknęła oczy. Przez uchylone okno wpadało chłodne, nocne powietrze, które czuła na rzęsach. Cudownie było tak pędzić u boku Maxa przez miasto, które nigdy nie spało i starała się jak najdokładniej zapamiętać każdą minutę. „Gdy będę stara, wyjmę te chwile z pamięci i będę je przepuszczała przez palce jak drogie kamienie” - pomyślała, prawie tracąc przytomność ze szczęścia i ze zmęczenia.

Do zawieszanej w nicości muszli auta wdarł się nagle huk rozbijanych szyb i brzęk sypiącego się na trotuar kryształowego deszczu. Vera szeroko otworzyła oczy i wyjrzała na ulicę. Grupka uzbrojonych w łomy mężczyzn metodycznie, jak drwale, tłukła okna wystawowe jakiegoś sklepu z konfekcją. Inni przyklejali na murze plakaty z napisem: *Niemcy! Nie kupujcie u Żydów!* Verze wydawało się, że w jednym z nich rozpoznała grubego syna kucharki Marthy, ale nie była tego całkiem pewna. Wychyliła się, żeby mu się lepiej przyjrzeć, jednak w tym momencie Max dodał gazu i mężczyźni zniknęli jej z oczu.

- Niech pan się zatrzyma! - zawołała wzburzona.

- Vero, ich jest co najmniej sześciu.

- No to podjedźmy chociaż na posterunek policji, przecież do rana sklep będzie splądrowany.

- Policja nie przyjedzie. A nawet gdyby - dawno ich tu nie będzie. Tak jest noc w noc.

Vera wcisnęła się głębiej w fotel. Poczuła, że cała drży. Wspomnienie uniesionych w górę łomów wyparło z jej pamięci starannie zbierane perełki chwil tego wieczoru. Miała wrażenie, że dotknęło ją coś zimnego i śliskiego niczym skóra węża.

Na podjeździe przed domem państwa von Klinck Max położył ręce na jej ramionach i przyciągnął ją do siebie. Jego pocałunek był delikatny jak dotknięcie skrzydła motyla i później Vera wcale nie była pewna, czy to przydarzyło się naprawdę.

w trzydziestym drugim roku nadal nosiło się spódnice ze skosu do pół łydki, ale już zaczynały wchodzić w modę wypchane poduszkami ramiona i zabawne maciupęńkie toczki. Absolutną sensacją były pidżamy z lejących się, opalizujących materiałów - Toni sprawiła sobie od razu trzy, jako jedna z pierwszych w Berlinie. Pan von Klinck był kompletnie niewrażliwy na wymogi mody i z żelazną konsekwencją sypiał nadal w nocnej koszuli i szlafmycy. Vera nie miała komu pokazywać się w pidżamie, więc z rezygnacją, co wieczór, przeciągała przez głowę cnotliwe, długie do kostek, giezła ze sztywnego płótna, które nosiła jeszcze w Instytucie Anny Amalii.

Joachim zdał pomyślnie egzaminy wstępne i został przyjęty do tego samego gimnazjum, do którego niegdyś uczęszczał jego ojciec. Rodzina uczciła ten sukces uroczystym obiadem w hotelu Adlon. Przed zakąskami pan von Klinck wygłosił błyskotliwą, najeżoną łacińskimi cytatami, mowę o dyscyplinie, pilności i obowiązkach wobec narodu i ojczyzny, co potwierdziło najczarniejsze obawy Joachima, że życie w gimnazjum będzie jednym pasmem okropności. Bez apetytu grzebał widelcem w talerzu i nawet nowiuteńka czapka z paskiem w barwach szkoły nie była w stanie rozproszyć jego posępnego nastroju. Nie musiał patrzeć na ojca, żeby wiedzieć, jak marszczy brwi z niezadowoleniem. Caro i Elbę wystarczyło przytulić się, zaćwierkać, zatrzepotać rżęsami i już twarz pana von Klinck rozjaśniała się w uśmiechu, Joachim musiał na każdy objaw miłości ciężko zapracować. Tak mu się przynajmniej wydawało. Zdecydował się nawet na lekcje jazdy konnej, żeby się ojcu przypodobać, chociaż konie miały wielkie żółte zęby, rozszalałe oczy, łyskające białkami, i śmierdziały potem. Od czasu, jak pojawiła się u nich Vera, nawet polubił poranne przejażdżki po lesie, lśniąca na pajęczynach kropelki rosy, zaaferowane ptaki i śmigające w koronach drzew wiewiórki, ale nigdy nie zapominał, że ma pod sobą nieobliczalne pół tony muskułów, które w każdej chwili może rzucić się przed siebie na łeb na szyję i rozwalić go o jakiś pień.



Nauczył się też grać w tenisa, chociaż uganianie się po korcie za piłką uważał za zajęcie niepoważne i nie mógł zrozumieć, dlaczego oddają mu się z zapałem dorośli ludzie. Dorobił się tego lata prawdziwie chłopięcych kolan, pełnych strupów i blizn, ale nadal wolał książki od sportu. Czytał wszystko, co mu wpadło w ręce: Dickens, Coopera i Karola Maya, którego bohaterowie byli szlachetni i odważni. Z Verą można było rozmawiać o książkach - „Winnetou” i „Old Surehanda” znała na pamięć.

Vera przeżyła chwilę tryumfu. Dostała w Metropolu małą rolę w operetce „Wiktoria i jej huzar” i przez kilka tygodni występowała na prawdziwej scenie. Zawdzięczała rolę wyłącznie protekcji Maxa Finna, ale zawsze było to *engagement* i wyptacono jej nawet gażę. Pękała z dumy, choć gaża była mikroskopijna i wystarczyła za ledwie na kupno nowego kapelusza, przyozdobionego czarnym łabędzim puszkciem. Niestety, bracia Rotter zbankrutowali i kariera Very skończyła się, zanim się na dobre zaczęła. Żaden bogaty producent nie zdążył jej odkryć. Wróciła więc do lekcji z profesor Woronia, która może i była największym żyjącym pedagogiem, ale też i jednym z najbardziej wiekowych. Duchem przebywała głównie w ubiegłym stuleciu, wciąż mówiła o utraczonych majątkach pod Carycynem i roztrząsała swoje koligacje z domami książęcymi. Na dłuższą metę było to okropnie nudne. Koligacje były pasją dziadka von Rathenberg, co wystarczyło, żeby zniechęcić Verę do tego tematu i uczynić ją podatną na idee socjalistyczne.

Kiedy krótka kariera sceniczna Very dobiegła końca, Johannes zachował się niezwykle taktownie. Próbował ją pocieszyć, zapewniając, że w rewiach i operetkach marnowałaby tylko swój talent. Do Toni powiedział jednak:

- No i chwala Bogu. Nie ma nic gorszego od krewnych z ambicjami artystycznymi. Prędzej czy później siedzą człowiekowi w kieszeni. Vera powinna wyjść za mąż, albo wyuczyć się jakiegoś pożytecznego zawodu - stenotypistki, na przykład.

Toni okropnie się na niego obraziła i przez całe dwie noce musiał zrezygnować z rozkosznego zapachu jej opalizującej pidzamy.

Bankructwo Metropolu otworzyło nareszcie Verze oczy. Nagle do niej dotarło, że kraj coraz bardziej pogrąża się w kryzysie. Zaczęła

dostrzegać otaczającą nędzę, rosnącą armię bezrobotnych i bezdomnych, zobaczyła rozpacz w ich oczach. Johannes obwinił za ten stan rzeczy nieudolny rząd. Jego zdaniem, demokracja zawiodła na całej linii: Niemcy pilnie potrzebowały silnej ręki. Gdyby to od niego zależało, przywróciłby monarchię.

Ale zamiast cesarza spadł z nieba Hitler.

W skórzanej czapce lotniczej wysiadał z samolotu z marsem na czole, niedbałym ruchem odginał rękę w łokciu, jakby musiał nią podeprzeć chmury, i zaczynał krzyczeć. Krzyczał rzeczy dość oczywiste, dajmy na to: „Rządy przychodzą i odchodzą, ale naród pozostaje”, ale robił to tak przekonywująco i z taką mocą, że ludzie szaleli z zachwytu. Mówił im, że jest jednym z nich, że wszystko teraz będzie inaczej, a właśnie to chcieli usłyszeć. Był zdecydowany, energiczny, pełen wiary i optymizmu, nowocześniejszy od innych, oryginalniejszy i miał lepsze pomysły. Był nadludzki. Docierał wszędzie, na skrzydłach samolotu, pociągami, samochodem i statkiem. W jego obecności budziła się iskra nadziei, bo wiadomo było, że jeśli nędza zedrze człowiekowi z grzbietu ostatnią koszulę, zawsze jeszcze może założyć tę brunatną. Hitler przywracał otuchę, bo coś się działo, można było wspólnie maszerować, śpiewać, podjąć grochówki, popić. Sam byłeś niczym, drobiną, rzucaną przypływem, ale z nim to ty byłeś przypływem. Trzeba go było tylko wybrać, więc go wybierano. W połowie roku zdobył w wyborach do Reichstagu prawie czterdzieści procent mandatów.

- Coś w tym jest - przyznawał Johannes. - W tym, że jednostka jest niczym, a naród wszystkim. Weźmy na przykład taką galaretę - może istnieć tylko w całości. Ale czy naród powinien dążyć do tego, żeby być galaretą?

Na początku roku Toni chodziła z czerwonym nosem i zapuchniętymi oczami. Przewlekłe przeziębienie - twierdziła. - Nic dziwnego przy tak paskudnej pogodzie. Vera domyślała się, że przyczyną tej uporczywej infekcji był Hasso. Majątek podejrzanego pochodzenia stracił w jeszcze bardziej podejrzanym interesach i znajdował się w tak rozpaczliwej sytuacji, że tylko natychmiastowy ożenek z bogatą panną mógł go uratować. Zaprzyjaźniona z nim Lally Horstmann,

## CZAS TARANTUL

Iwica salonów berlińskich, miała już coś odpowiedniego na oku: Lucy Endelmann, z tych Endelmannów, którzy należeli do najpotężniejszych dynastii przemysłowych Niemiec. Pradziadek ojca Lucy posiadał zaledwie skromniutki handelek z artykułami żelaznymi, ale jego potomkowie, dzięki świetnym partiom, przypominającym raczej fuzje gospodarcze niż małżeństwa, stworzyli podstawy prawdziwego imperium. Lucy dorastała w nieprawdopodobnym wprost luksusie, mimo to była miłą, skromną dziewczyną, która miała po kolei w głowie. Krótko mówiąc: była idealną kandydatką na żonę dla Hassa.

Lally Horstmann zaaranżowała szybko i zupełnie przypadkowe spotkanie w domu Ribbentropów. Ribbentrop, jak wszyscy wiedzieli, sam wżenił się w majątek, więc nie gorszyło go, że Hasso w ten sam sposób zamierzał zapewnić sobie wygodne życie. Panna okazała się niebrzydka, młodzi przypadli sobie do gustu i po trzech miesiącach odbyły się zaręczyny.

Toni była *notamused*. Kochanek zapewniał ją, co prawda, że nic się między nimi nie zmieni, ale wiadomo było, że zmieni się wszystko. Ona sama bez trudu ukrywała swój romans przed pocziwym Johannesem, kobiety były jednak pod tym względem inteligentniejsze. Nie wątpiła, że Lucy wyczuje zdradę, i wiedziała, że jej czas minął.

Do Very docierały strzępy ukradkowych scen, które Toni robiła Hassowi. Obrzucała go skąpanymi w łzach wyrzutami jak kawałkami mokrej waty, a on nie przestawał jej zaklinać:

- Aniele, przecież cię kocham, nigdy nie przestanę cię kochać. Zrozum moją sytuację... bez grosza przy duszy... Lucy nic dla mnie nie znaczy... nie mam wyjścia... tylko ciebie... na zawsze.

- Jak mogłeś, nie zniosę, nie przeżyję, cierpię, obiecywałeś, nie-szczęśliwa, porzucona, samotna.

Widowała też Toni ze smętnie opuszczonymi ramionami przed lustrem, tropiącą z samobójczym okrucieństwem każdy ślad więdnienia. Brała z obrzydzeniem w dwa palce zwiotczałą skórę podbródka i mówiła:

- Och Vero, jestem taka stara. To takie niesprawiedliwe, że z biegiem lat człowiek robi się coraz paskudniejszy. Powinno być na od-

wrót. W nagrodę za to, że tyle przeżyliśmy, powinniśmy stawać się coraz piękniejsi i pokrywać kwiatami na krótko przed śmiercią.

- Wtedy nikt nie chciałby umierać, Toni - odpowiadała przytomnie Vera. - Skąd te myśli? Jesteś młoda, jesteś piękna i mężczyźni leżą u twoich stóp.

- Bardzo jesteś dla mnie łaskawa, ale w niczym nie zmienia to smutnej prawdy, że dla kobiet czas jest bezlitosny. Jak mężczyzna się starzeje, dodaje mu to nawet uroku, bo razem z brzuchem rośnie mu konto w banku. Dla nas starość oznacza wyłącznie zmarszczki.

Johannes poważnie niepokoił się melancholią żony, poprosił więc doktora Hirschfelda, żeby wpadł na kolację i przy okazji ją osłuchał. Chciał także, aby ten zechciał naukowo, lecz delikatnie, wtajemniczyć Joachima w tajniki ludzkiej natury. Tradycyjnie w domu von Klincków trudne zadanie uświadamiania dzieci powierzano fachowcom spoza rodziny.

Doktor Hirschfeld stwierdził u Toni lekką anemię, zalecił spożywanie krwawych wątróbek, picie tranu i zmianę klimatu. Toni odmówiła kategorycznie jedzenia wątróbek, obiecała pić tran i zapaliła się do wyjazdu nad morze. Bałtyk, zdaniem lekarza, byłby idealny, a nad Bałtykiem leżały takie ciekawe kurorty jak, na przykład, Zoppot, w którym spotykał się *tout le monde*.

Na wiosnę stan zdrowia pani von Klinck wydatnie się poprawił, co zawdzięczała głównie rozwojowi sytuacji politycznej, chociaż polityką nie interesowała się ani trochę i nawet nie była w stanie zapamiętać, jaki rząd akurat upadł. Interesował się nią jednak żywo Hasso, zażarty przeciwnik Republiki Weimarskiej, którą uważał za produkt wrogich Niemcom sił, takich jak żydokomuna, masoneria i zawistni sąsiedzi. Było oczywiste, że ich celem jest doprowadzenie Rzeszy do anarchii. Najbardziej przekonująco potrafił tę teorię naświetlić Hitler, więc Hasso poprosił stojącego wysoko w partyjnej hierarchii znajomego, żeby załatwił mu osobistą audiencję u Fihrera. Wrócił z Obersalzbergu całkowicie zafascynowany i przekonany, że poznał człowieka żelaznej woli i wielkich możliwości. Jednym słowem: męża opatrznociowego.

- Mówię ci, ten Hitler jest w stanie uratować nasz biedny kraj - powiedział do Johannesesa.

- Doprawdy? A może to nasz biedny kraj powinien się przed nim ratować? - odparł pan von Klinck, który nie wątpił, że Opatrzność podzielała jego przesady klasowe i nigdy nie złożyłaby losu narodu w ręce jakiegoś kaprała. Hasso nosił jednak „von” przed nazwiskiem zbyt krótko, żeby myśl taka wydawała mu się absurdalna. Rozumował logicznie: partia Hitlera odnosiła kolosalne sukcesy, a kolosalne sukcesy otwierały kolosalne szanse dla tych, którzy się w porę przyłączyli, więc się przyłączył. Przyjęto go z szeroko otwartymi ramionami i od razu obiecano gwiazdkę z nieba. Trochę cierpliwości, trochę szkoleń, a jak partia dojdzie do władzy, to dla człowieka z jego kwalifikacjami na pewno znajdzie się odpowiednie stanowisko. W końcu cały wschód czeka na to, żeby wrócić do macierzystej Rzeszy - iluż to ludzi będzie trzeba!

- Hasso, bój się Boga! - wykrzyknął pan von Klinck, kiedy po raz pierwszy zobaczył go w brunatnym mundurze. - Człowiek z twoją kulturą i pozycją w jednym szeregu z kramarzami? Z pro-le-ta-ria-tem?

- Z księciem Augustem Pruskim - odrzekł Hasso skromnie. - To chyba nie jest najgorsze towarzystwo?

Partia wymagała jednak od niego także wyrzeczeń. Któregoś dnia Kreisleiter wziął go na stronę i powiedział poufnym tonem:

- No więc tak... po pierwsze: monokl. To nie robi dobrego wrażenia. Po drugie: twoje plany matrymonialne. Wiesz przecież, jaką wagę partia przywiązuje do czystości rasowej. Jest wykluczone, żeby porządny Niemiec, w dodatku członek partii, mieszał swoją dobrą, niemiecką krew z obcą krwią. Bardzo mi przykro, ale małżeństwo z panną Endelmann nie wchodzi w grę.

- Ależ Lucy nie jest Żydówką! - zaprotestował Hasso. - Jest ewangeliczką i...

- Chrzest to chrzest, a Żyd to Żyd, mój drogi. Tatele dziadka miał jeszcze handele. Ja cię do niczego, oczywiście, nie namawiam, ale przemyśl to sobie.

- Paul, muszę się ożenić. Jestem goły jak święty turecki. Nie mam innego wyjścia.

Kreisleiter poklepał Hassa jowialnie po ramieniu.

- Partia nigdy nie zapomina o towarzyszach, którzy są w potrzebie. Na nas możesz zawsze liczyć. Coś się dla ciebie znajdzie. Z twoją inteligencją i twoimi stosunkami... bywasz w najlepszych salonach. Szepnę o tobie słówko Goebbelsowi.

Oczami duszy Hasso zobaczył, jak pałac Endelmannów odpyływa w dal, a wraz z nim fabryki, samochody, dzieła sztuki i zagraniczne podróże. A wszystko było już w zasięgu ręki! Przeszył go straszliwy ból i potrzebował całej siły woli, żeby nie zaskowyczeć.

- Partia też może na mnie liczyć - wyszeptał.

Lucy rozpaczała, nawet się truła, ale Hasso był twardy jak stal.

- Najukochańsza, pozwól mi odejść. Nie na zawsze, tylko na trochę. Zrozum, *tout le monde* byłby przekonany, że żenię się z tobą tylko dla pieniędzy. Honor mi na to nie pozwala. Jak się dorobię majątku, to wrócę i zaprowadzę cię do ołtarza.

Był z siebie bardzo dumny, bo brzmiało to bardzo delikatnie i wręcz szlachetnie.

Starego Endelmana zerwanie zaręczyn wcale nie zmartwiło. W międzyczasie przeprowadził dyskretny wywiad i nie miał co do niedosłego zięcia żadnych złudzeń: bez grosza przy duszy, tytuł kupiony, romans z mężatką. Nie wątpił, że Hasso ostrzy sobie zęby na majątek jego jedynej córki. Nie ma co rozpaczać. Lucy kupi się jakiegoś innego narzeczonego, a teraz wyśle sięją na Riwierę, żeby się rozerwała.

Nowinę Hasso przekazał Toni w następujących słowach:

- O mój aniele, wolę umrzeć z głodu, niż cię utracić. Na myśl, że musielibyśmy się rozstać, otworzyła się przede mną przepaść i wszystko inne stało się nieistotne. Kocham cię Toni, tak rozpaczliwie cię kocham, miłości moja, szczęście ty moje, całuję ziemię, po której chodzisz. Nigdy nie mógłbym cię opuścić, bez ciebie moje życie straciłoby cały sens.

Także i to wyznanie wypadło bardzo ładnie.

Toni szalała z radości. Z okazji szczęśliwego pojednania podarowała Johannesowi spinki do mankietów, dzieciom bilety do cyrku, Verze lisa na szyję, a sobie nowe futro. Nawet służba została

obdarowana. Kobiety otrzymały słicznie pachnące mydełka, a szofer Kurt i ogrodnik kremy do golenia.

- Pani Toni to samo dobro! - zakrzyknęły zachwycone służące. Wszyscy domownicy ucieszyli się z powrotu Toni do zdrowia i wzięli żywy udział w przygotowaniach do wyjazdu. W Zoppot wynajęto godną pani von Klinck drewnianą, położoną tuż nad morzem, willę, zarezerwowano przedział sypialny, zwleczono ze strychu kufrы i zaczęto pakować najlepszą pościel, bieliznę i suknie.

Toni znała Zoppot jeszcze z panieńskich czasów. Zapamiętała go sobie jako szalenie elegancki kurort z nieprawdopodobnie długim mołem i pełnym przepychu Domem Zdrojowym. Tym ważniejszy był staranny dobór odpowiednich strojów dla niej samej i dla wszystkich, którzy mieli jej w podróży towarzyszyć: Very, dziewczynek, niańki i pokojówki. Wiadomo było, że druga pokojówka śmiertelnie się obrazi, ale co było zrobić - ktoś musiał się zająć panem von Klinck i Joachimem. Obaj nie mogli opuścić Berlina, jeden ze względu na interesy, drugi z powodu szkoły. W tej sytuacji uznano za wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności, że Hasso dysponował mnóstwem czasu i mógł paniom dotrzymywać w Zoppot towarzystwa. Szczerze mówiąc, żywił w głębi serca cichą nadzieję, że uda mu się trochę odkuć w kasynie. Zoppot należał do Wolnego Miasta Gdańska i dlatego gry hazardowe nie były tam zabronione.

Vera jeszcze nigdy nie była nad morzem i po raz pierwszy w życiu znajdowała się w kurorcie. Wszystko ją zachwycało: drewniany domek z przestronną werandą, na której można było jadać posiłki i grywać w brydża, pachnący żywicą sosnowy las, liżące piasek plaży fale, Opera Leśna, kapiący luksusem Grand Hotel i kasyno w Domu Zdrojowym.

Dzięki ruletce Zoppot był szalenie modny i zjeżdżała tu śmietanka towarzyska z całej Europy. Na moło, w parku, czy w operze Toni bez przerwy spotykała znajomych. Na szczęście obie panie zdążyły przed wyjazdem uzupełnić garderobę i zadawały teraz szyku w długich spodniach z białej flaneli, które w tym sezonie robiły prawdziwą furorę, i w wielkich jak młyńskie koła kapeluszach plażowych. Zgodnie z przykazaniem doktora Hirschfelda, sumiennie chodziły

na długie spacery, grały w tenisa, żeglowały i jeździły konno. Vera ofiarne pozostawała z dziećmi, żeby Toni mogła jak najwięcej czasu spędzić na świeżym powietrzu, galopując brzegiem morza w towarzystwie Hassa. Plaża, wydawało się, nie miała końca, można było godzinami nie spotkać ani jednego człowieka, wieczory były ciepłe, a piasek rozgrzany. Zachodzące słońce spryskiwało ciała kochanków plamami w kształcie rosnących na wydmach kęp traw, włosy Hassa nabierały w jego świetle zielonkawego odcienia, a jego usta stawały się szorstkie i słone. Toni myślała rozmarzona, jak wielki dowód miłości jej złożył, rezygnując - jakże szlachetnie! jakże wielkodusznie! - z Lucy Endelmann oraz jej majątku i że nigdy mu tego nie zapomni. Nie zapomni też rytmicznego szeptu fal, krzyku mew, przenikliwego zapachu wodorostów i ostrych muszelek, wpijających się boleśnie w jej plecy. Było cudownie, przeżywali w Zoppot prawdziwy miesiąc miodowy.

Wakacje były wypełnione doznaniem wszelkiego rodzaju i okazały się dla wszystkich głęboko zadawalające. Vera z zachwytu traciła zmysły w operze, gdzie na zmianę dawano „Tristana i Izoldę” oraz „Lohengrina” w najświetniejszej obsadzie, niania poznała szofera sąsiadów, który nosił zabójczy czarny wąsik i białe rękawiczki nawet w upał, a pokojówka Kathi zawarła znajomość z polskim kadetem z podchorążówki. Kadet nosił mundur kolorowy jak skrzydła kolibra i całował Kathi w rękę jak prawdziwą damę, co spowodowało, że wszystkie inne pokojówki z miejsca ją znienawidziły.

Pod koniec lipca przyjechał z Berlina Johannes. Zawiadomione depezą panie wyjechały po niego na dworzec dorożką. Kiedy wysiadł z pociągu, Vera poczuła się odrobinę rozczarowana, bo gdzieś w głębi ducha miała nadzieję, że będzie mu towarzyszył Max Finn. Max jednak, choć chętnie jej asystował, nigdy nie przekroczył granic nieobowiązującej przyjaźni - niestety. Podczas gdy Vera płonęła, marząc o tym, że wreszcie wpije się ustami w jej usta, on tylko uśmiechał się jak Sfinks i całował lekko koniuszki jej palców. Widocznie miał jednak kochankę, a może nawet, nie daj Bóg, skłonności, których istnienia Vera przedtem nawet nie podejrzewała i o których dowiedziała się dopiero w Berlinie, gdzie istniały specjalne lokale



dla homoseksualistów, a nawet dla lesbijek. Zachodziła w głowę, w jaki sposób tym skłonnościom folgowali i chętnie by kogoś o to zapytała, ale nie wiedziała kogo.

Zamiast Maxa spadła jak grom z jasnego nieba ciotka Gertruda, siostra pana von Klinck. Mieszkała niedaleko Gdańska w Deutsch-Eylau<sup>1</sup>, była osobą słabego zdrowia i potężnej tuszy, co bardzo utrudniało jej dalekie podróże, postanowiła więc odwiedzić brata, korzystając z jego pobytu w pobliskim Zoppot. Toni nie było to w smak, nie lubiła szwagierki, która była wyjątkowo wścibską osobą i choć niedomagała, akurat wzrok miała sokoli.

- Kochana Trudę, jakże się cieszę! - zawołała Toni, rzucając się na szyję ciotce Gertrudzie. - J a k a przemiła niespodzianka! Kathi, leć do Leśnej Cisy i zamów dla pani pokój. To bardzo sympatyczny pensjonat, czyściutki, elegancki i wszystkie okna wychodzą na morze.

- Mowy nie ma, mój skarbie - zaprotestowała ciotka Gertruda. - Przyjechałam, żeby się wami nacieszyć, do żadnego pensjonatu nie pójdę. Tyle czasu was nie widziałam, nie mam zamiaru ani na chwilę od was się oddalać. Doskonale się tu wszyscy razem pomieścimy.

- A niech to wszyscy diabli, tego się właśnie obawiałam - pomyślała pośpiesznie Toni. Caro ustawiła się przed ciotką, wypięła brzuszek i kołysząc się na piętach, jak to czynił chętnie jej ojciec, zapytała:

- Przywiozłaś mi prezent?

- Fe, to nieładnie tak pytać - zgorszyła się Gertruda.

- J a k nie masz prezentu, to idź sobie do Leśnej Cisy.

Zrobiło się zamieszanie, dziecko karcono, ciotkę przepraszano i, dla odwrócenia uwagi, szybko zaczęto podawać obiad. Jedzenie było pasją Gertrudy, więc dała się udobruchać, bo trudno było żuć, zachowując obrażone minę. Ze smakiem zmiatała potrawy z talerza i w przerwach opowiadała plotki z Deutsch-Eylau. Johannes słuchał uprzejmie z wyrazem znudzenia na twarzy, ale kiedy padło nazwisko Hindenburga, nadstawił uszu. Był gorącym zwolennikiem sędziwego marszałka, obecnego prezydenta Rzeszy, symbolu pruskich cnót i dawnych, dobrych czasów.

Rodzina von Hindenburg posiadała od stuleci w pobliżu Deutsch-Eylau majątek Neudeck<sup>1</sup>. Marszałek kochał to miejsce, jako dziecko spędzał tam pod okiem dziadka każdą wolną chwilę. Z czasem dobra podupadły i były tak rozpaczliwie zadłużone, że ówczesna właścicielka, wdowa po bracie marszałka, zdecydowała się je sprzedać. Aby do tego nie dopuścić, przyjaciel von Hindenburga, Elard von Oldenburg-Januschau, zainicjował zbiórkę narodową. Dzięki wspólnym datkom członków Niemieckiego Związku Przemysłowców oraz Związku Ziemiaków i Towarzystwa Weteranów Wojennych Neudeck został wykupiony i подарowany Hindenburgowi na jego osiemdziesiąte urodziny.

W następnych latach rząd uchylał coraz to nowe ustawy, mające na celu pomoc gospodarczą dla Prus Wschodnich. Już rok temu ciotka Gertruda słyszała pogłoski, że odpowiedzialny za przyznawanie dotacji komisarz von Dewitz szczerze nimi obdarzył przede wszystkim swoją własną rodzinę i krewnych Hindenburga. Mówiło się też, że pieniądze poszły wcale nie na ratowanie zadłużonych majątków, tylko na luksusowe samochody, konie wyścigowe i pobyty na Riwierze - i to w tych trudnych czasach, kiedy człowiek każdy grosz musiał trzy razy obrócić w palcach! Niebieskie oczy ciotki Gertrudy robiły się przy tych słowach okrągłe jak spodki i wypełniały po brzegi goryczą, bo nic nie było jej tak dobrze znane, jak obracanie w palcach każdego grosza. Ledwie wiązała koniec z końcem i trwonienie pieniędzy na zbytki uważała za osobisty afront. Widok Toni z jej futrami, biżuterią, toaletami i armią służących sprawiał jej wręcz fizyczny ból.

Gertruda wyszła za skromnego nauczyciela gimnazjalnego, cichego, łagodnego człowieka, który miał głowę w chmurach i pozbawiony był całkowicie wszelkiego zmysłu praktycznego. Duchem przebywał wśród wielkich filozofów osiemnastego wieku, teraźniejszość nie interesowała go ani trochę. Roztrwonił jej posag, słuchając rad nieuczciwych przyjaciół i inwestując w przesiębiorstwa, które znajdowały się na progu ruiny. Kiedy Gertruda ciosała mu kołki

<sup>1</sup> Ogrodzeniec

na głowie, odpowiadał łagodnie słowami Hegla: „Co jest rozumne, jest rzeczywiste, a co jest rzeczywiste, jest rozumne”. Rzeczywista była bieda, do niczego nieprzydatny mąż i trzy dorastające córki. Jediną nadzieją Gertrudy był bogaty brat, który być może je wypoasaży. Z tego punktu widzenia staranie się o jego względy było bez wątpienia rozumne.

- Konie, samochody i podróże - powtórzyła z goryczą. - A Rosel, Gundel i Fritzi nie mają nawet porządnych sukni wieczorowych! A *propos* dziewcząt, kochany Johannesie: serdecznie cię pozdrawiają i pytają, kiedy zechcesz nas odwiedzić. Ogromnie za tobą tęsknią. Były niepokieszone, że nie zabrałam ich ze sobą, ale nie stać mnie na bilety dla nich, sami wiecie, jak to u nas jest - splotła ręce na brzuchu i zapadła w posępne milczenie, a jej oczy stały się puste i twarde jak dwa wypolerowane niklowe guziki.

- Przyślij mi ich wymiary, każę mojej krawcowej coś ładnego dla nich uszyć - pospieszyła z propozycją Toni.

- Dziękuję ci, złociutka, jesteś aniołem - powiedziała z jadowitą uprzejmością ciotka Gertruda. Nie mogłaby to Toni zaprosić dziewcząt na chociaż jeden sezon do Berlina, żeby miały trochę rozrywki i poznały odpowiednich ludzi? Tę rozwydrzoną Verę z ufryzowanym łbem i sztywnymi od tuszu rzęsami wlokła wszędzie ze sobą.

- Ani mi się śni - odparła jej w myślach Toni. - Trzy prowincjonalne gęsi, trzy niezgrabne, głupio chichoczące kopie Gertrudy. Nie w moim domu. Nigdy.

- Nie mogę w to uwierzyć, Gertrudo - pan von Klinck obudził się ze swojego zamyślenia, które nie pozwoliło mu zauważyć subtelnej potyczki pań.

- W co? W to, że jesteśmy bez pieniędzy?

- Nie, oczywiście nie. W to, że marszałek von Hindenburg, bohater bitwy pod Tannenbergiem, mógłby mieć jakąkolwiek szansę na honorze. To jedyny uczciwy mąż stanu w tym kraju. Człowiek ze spiżu.

Hindenburg, żywy relikwiarz przeszłości, zjawisko niejako przedpocpowe, cieszył się niesfąbną sympatią pana von Klinck. Johannes, w odróżnieniu od Very, traktował wszelkie zmiany z dużą rezerwą

i używał słowa „nowoczesny”, żeby dać wyraz swojemu sceptycyzmowi.

\_ Powtarzam tylko to, co wszyscy mówią - Gertruda poczuła się urażona.

- Naturalnie, moja droga. Nadstawię ucha. W przyszłym tygodniu będę widział sekretarza stanu Meisnera, to go wypytam, czy w tych pogłoskach jest ziarno prawdy. Co za czasy, Gertrudo, co za czasy!

Po przyjeździe ciotki Gertrudy w daczce zrobiło się ciasno i Vera musiała przenieść się do pokoju dziewczynek. Mimo ich błagań Toni nie pozwoliła im spać na werandzie: zamierzała po kolacji zasiąść na niej z Verą, Johannesem i Hassem do brydża, głównie dlatego, że Gertruda z zasady potępiała wszelkie gry. Z brydża nic jednak nie wyszło, bo zaledwie Hasso rozdał karty, na podjeździe zaszeleścił żwir i w promieniach nisko już stojącego słońca błysnęły obłe błotniki kabrioletu Maxa Finna. Max wysiadł i z kapeluszem w rękę, przyciskając pod pachą snop ostróżek, ruszył w stronę werandy. Na jego widok Vera rzuciła karty, sfrunęła ze schodków i zawisła mu na szyi.

- Och Max, cudownie! - zawołała, podskakując z emocji jak mała dziewczynka. A więc jednak przyjechał! Taki kawał drogi! Dla niej! Czyż to nie znaczyło, że mu na niej naprawdę zależy?

Państwo von Klinck wymienili znaczące spojrzenia.

- Kathi, poleć jednak do tej Leśnej Ciszy i zamów dla pana Finna pokój - zarządziła Toni z uśmiechem. Goście, z wyjątkiem ciotki Gertrudy, byli zawsze mile widziani.

Max ucałował rękę pań i ucisnął dłonie panów.

- Proszę wybaczyć tak nagły najazd, ale w Berlinie zrobiło się bez pań okropnie nudno. W salonach mówi się wyłącznie o polityce. Przywożem paniom kilka książek i nowe francuskie żurnale.

Verę interesowało tylko jedno - na jak długo przyjechał? Czy zdąży go olśnić, oczarować, oszołomić? Zwabić na żaglówkę, gdzie wiatr zalotnie burzyłby jej włosy i oblepiał sukienką figurę? Zaciągnąć do pachnącego żywicą lasu, opaść z nim na rozgrzany piasek wydmy? Wycisnąć w końcu z niego jakieś wyznanie? Jak długo jeszcze ma, u licha, czekać?

## CZAS TARANTUL

- We wtorek muszę, niestety, znów być w Berlinie - powiedział Max, jakby usłyszał jej myśli.

Trzy dni! Trzy dni wydały się Verze oszałamiającą perspektywą. Morze, słońce, piasek, krzyk mew, tylko ich dwoje, samotni na plaży, długie rozmowy, intymny śmiech wtajemniczonych. Teraz albo nigdy.

- Jutro - pomyślała - już jutro poczuję jego usta na mojej szyi.

Pocałunek w szyję wychowanki Instytutu Anny Amalii uważały za szczyt namiętności.

- Musi pan koniecznie spróbować poziomek z naszego zagajnika - Toni pochyliła się nad Maxem z salaterką w jednej ręce i talerzykiem w drugiej. - Nazbierałyśmy je rano z Verą. Nie wyobraża pan sobie, jakie są słodkie. Pachną lasem.

- Nie wątpię - zapewnił Max, patrząc na usta Very.

Kathi wniosła lampę naftową i postawiła ją na środku stołu. Oświetlona weranda unosiła się jak statek w nadciągającej od plaży błękitnej mgiełce. Pod ciemniejącym powoli niebem morze falowało czernią i migotało grzywami piany, w smugach księżycowej poświaty mieniło się srebrzyście. Wiejący od wody wiatr przynosił zapach soli, ryb i morskich alg, w ogrodzie umierał z miłości samotny świerszcz.

- Pięknie - westchnęła Toni. - Słysząc tylko kroki aniołów. Vera, Max, zaśpiewajcie coś.

- *Es ist so still geworden* - zaczął posłusznie Max, a Vera przyłączyła się do niego. Ich głosy niosły się nad pustą plażą, na której księżyc porzrzucał świetliste plamy. Na sąsiednich werandach umilkły rozmowy, letnicy cicho przysunęli się do dachy von Klincków i stanęli na podjeździe, żeby lepiej słyszeć. Ich ciemne sylwetki odcinały się na tle nieba jak wycinanki z papieru, które na molo szybkimi ruchami nożyc wycinał stary inwalida wojenny.

- Max Finn - szeptali. - Podobno to sam Max Finn.

*Es ist so still geworden* - śpiewał Max.

*Verrauscht des Abends Wehn.*

*Nun hört man in aller Orten*

*Der Engel Fufie gehen.*

*Rings in die Tiefe senket  
Sich Finsternis mit Nacht,  
Wirft ab, Herz, was dich kränket  
Und was dich bange macht'*

- odpowiadała mu Vera. - *Odrzuć, serce, co cię trapi i co cię trwoży*  
- ale jak mam się nie trapić i nie trwożyć, skoro wciąż jesteś taki daleki?

- Vera chyba jest zakochana - powiedział pan von Klinck, rozsuwając w sypialni węzeł krawata. - Na widok Finna cała się rozjaśniła, jakby w jej wnętrzu ktoś zapalił lampę. Finn też robi wrażenie zainteresowanego.

- Ale się nie deklaruje - przytomnie zauważyła Toni. - Zawraca jej tylko głowę. Taki wieczny, ale niezobowiązujący adorator może dziewczynie skomplikować życie. Vera ma oczy wyłącznie dla niego i nie spotyka się z nikim innym.

- Masz rację, mój aniele. O ile sobie dobrze przypominam, oświadczyłem się tobie po trzech miesiącach. Jak cię zobaczyłem w tym pociągu z Konstancji do Berlina, od razu wiedziałem, że się z tobą ożenię.

- Podjąłeś słuszną decyzję - pani von Klinck czule pocałowała męża w łysinę. - Ale my jesteśmy stworzeni dla siebie. Może Max potrzebuje więcej czasu? Prawdopodobnie ma jakąś flamę, której musi się pozbyć. Mężczyzna tak przystojny i do tego sławny nie żyje chyba w celibacie?

- Pewnie masz rację, kochanie. Uważaj jednak na Verę, żeby nie zrobiła jakiegoś głupstwa.

- Będę uważała, naturalnie. Ale z góry uprzedzam, że nie istnieje nic, co byłoby w stanie zatrzymać zakochaną kobietę. Żadne zamki, żadne kraty.

- Czegoś takiego właśnie się obawiałem - westchnął pan von Klinck, wsuwając się pod chłodne prześcieradła.

<sup>1</sup> Tekst: Gottfried Keller, muzyka: Robert Schumann.

Sprawa majątku Neudeck nie dawała panu von Klinck spokoju. U licha, czyżby w dzisiejszych czasach nawet mężom ze spiżu nie można było dowierzać? Niestety, dyskretnie inwigilacje, przeprowadzone przez niego w dobrze poinformowanych kręgach, wskazywały na to, że spiż ma rysy. Z pomocą gospodarczą dla Prus Wschodnich stanowczo coś było nie tak. Na początku 1933 roku utworzono komisję, która miała sprawę zbadać, ale zanim zdążyła na dobre podjąć pracę, w domu Ribbentropów odbyło się tajne spotkanie członków rządu z Hitlerem. Uczestniczył w nim także syn prezydenta, Oskar von Hindenburg, z którym Hitler zamknął się sam na sam na dwie godziny. Co mu powiedział, czy mu czymś groził, nie wiadomo, ale w tydzień później sędziwy prezydent mianował kanclerzem Rzeszy człowieka, którego do tej pory nazywał pogardliwie czeskim ge-freiterem. Przez Wilhelminenstralse popłynął jak niekończący się strumień lawy tłum brunatnych koszul, oświetlony płomieniami pochodni. Z okna Pałacu Prezydenckiego pozdrowiał go Hitler w swojej ulubionej pozie Cezara, Hindenburg spoglądał na ulicę wyraźnie zdezorientowany. Skąpany w czerwonej łunie pochód wił się przez miasto jak przedpotopowy potwór w konwulsyjnych splotach. Panu von Klinck, który wdrapał się na ławkę, żeby nie zostać rozdeptanym, scena ta wydała się infernalna. Jakaś niebezpieczna moc została uwolniona z puszkii Pandory i wypełzała teraz na świat.

- Kto mieczem walczy, ten od miecza zginie, kto z ogniem igra, ten w ogniu spłonie - pomyślał. A może po prostu starzał się i nie rozumiał tego nowego, co się teraz budziło?

Ale następnego dnia wszystko wróciło do normy. Teatry i kawiarnie były pełne, w Alhambrze dawano „Blond Wenus” z Marleną Dietrich, a w hotelu Eden nową rewię „Coś dla państwa”. Pan von Klinck zjadł w klubie wyśmienity obiad w towarzystwie panów z Izby Przemysłowej i z przyjemnością przysłuchiwał się ich wywodom. Panowie byli w szampańskich humorach: żaden powód do niepoko-

ju, Hitlera weźmie się w Reichstagu w kleszcze, będzie pożyteczną marionetką, uspokoi masę. Ulicę przytrzyma się za pysk, skończą się nareszcie te burdy, zaprowadzi się porządek i wszyscy będą robili fantastyczne interesy. *Prost*, drogi von Klinck!

Zaledwie trzy tygodnie później ci sami panowie zostali zaproszeni do Pałacu Prezydenckiego na tajne spotkanie z Hitlerem. Przedstawił im swój program gospodarczy, a perspektywy, jakie przed nimi roztoczył, były tak olśniewające, że w mgnieniu oka zorganizowali trzy miliony marek na jego kampanię wyborczą. Pan von Klinck trochę się wahał, ale w końcu też coś tam dał, nigdy nie wiadomo, kiedyjakaś inwestycja się opłaci. Po raz drugi udał się na wiec z Fuhrerem i uważnie studiował jego gesty. Hitler wydał mu się teatralny, histerycznie potrząsał ręką, żeby podkreślić wagę swoich słów, głos mu się załamywał, kiedy wpadał w patos. Gdy krzyknął: „Miliony pójdą z nami powitać wspólnie stworzoną, wywalczoną w mękach, z trudem zdobytą, nową niemiecką Rzeszę: królestwo potęgi, chwały i sprawiedliwości. Amen!” - pan von Klinck skrzywił się z niesmakiem. Był człowiekiem głęboko wierzącym i oburzyło go, że jakiś tam Hitler obiecuje nadejście Królestwa Chrystusowego na ziemi. Postanowił, że głos odda jednak na Narodowców<sup>1</sup>. Przywrócenie monarchii bardzo by mu odpowiadało.

Nieszczęśliwa decyzja, jak się później okazało. Popierana przez niego partia weszła w koalicję z narodowymi socjalistami i pozwoliła Hitlerowi wygodnie umościć się w Reichstagu, a raczej w Operze Krolla, dokąd po pożarze Reichstagu przeniesiono obrady. W końcu marca nowy parlament sam siebie zlikwidował, oddając całą władzę w ręce Hitlera. W kwietniu ukazała się ustawa<sup>2</sup>, wykluczająca z urzędów publicznych Żydów i przeciwników narodowego socjalizmu. Powstały pierwsze obozy koncentracyjne w Dachau i Sachsenhausen. Przez kraj przetoczyła się bezprzykładna fala terroru, co dało zasłużonym członkom Ruchu możliwość pozałatwiania przy okazji różnych starych porachunków. Izba Przemysłowa, która usunęła ze

<sup>1</sup> DNVP - Deutschnationale Volkspartei, Niemiecka Narodowa Partia Ludowa

<sup>2</sup> Ustawa o Odnowieniu Stanu Urzędniczego z 7 kwietnia 1933.



swoich szeregów członków pochodzenia żydowskiego, wysłała do pana von Klinck delegację. Uprzejmie, ale stanowczo zażądano od niego, żeby zwolnił Żyda Goldberga. Zatrudnianie go na tak wysokim stanowisku rzucało cień na całą Izbę. Pan von Klinck równie uprzejmie i stanowczo wyprosił delegatów za drzwi.

- Kto pracuje w moich zakładach, decyduję ja i nikt inny, moi panowie. Niech sobie każdy zamiata na swoim podwórku.

Bardzo się mylił. Wkrótce całe Niemcy miały stać się jednym wielkim podwórkiem, na którym szalała jedna tylko miotła: partia. Jej wpływ okaże się wszechobecny i sięgnie aż do jego własnej kuchni, gdzie Martha będzie musiała się głowić nad obowiązującą w każdą pierwszą niedzielę miesiąca potrawą jednogarnkową. Partia zadecyduje, jakie książki wolno mu czytać, jakie filmy oglądać, ubierze jego dzieci w mundurki i spróbuje zetrzeć szminkę z ust jego żony - co się jej, rzecz jasna, nie uda. Mały kuternoga Goebbels, którego pan von Klinck tak chętnie zatrudniłby w dziale reklamy, był teraz ministrem propagandy i z jeszcze większym zapętem promował swojego Fuhrera. Odbiornik ludowy, popularne taniutkie radio, nazywane też szczekaczką Goebbelsa, pozwalało mu trafić pod wszystkie strzechy. Niezwykłe czasy umożliwiały niezwykłe kariery. Nowy minister, syn buchaltera, rezydował przy Placu Wilhelma w Leopold-Palais, otoczył się dziełami sztuki z państwowych muzeów i ożenił z piękną Magdą Quandt, którą Toni podziwiała za paryski szyk i umiejętność wysysania z każdego mężczyzny ostatniej kropli krwi. Goebbels kontrolował praktycznie całe życie kulturalne. Niewinna z nazwy „Ustawa o odbudowaniu stanu urzędniczego” dała mu szerokie możliwości kształtowania go w duchu narodowego socjalizmu. Wszyscy, którzy mieli do czynienia ze sztuką, poczynając od reżyserów, a kończąc na suflerach, musieli przedstawić dowód aryjskiego pochodzenia. Niewłaściwy dziadek wystarczał, żeby stracić źródło utrzymania. Szeregi aktorów i muzyków wydatnie się dzięki temu przerzedziły - jaka szansa dla Very! Umierała z nudów na przymusowych wakacjach w Schlangenbadzie, gdzie Toni leczyła jakieś kobiece dolegliwości, kiedy otrzymała depezę od Maxa. Do obsadzenia

była partia Mimi w „Cyganerii”, on sam śpiewał Rudolfa - dyrektor skłonny był posłuchać jej w poniedziałek. Co się stało z poprzednią Mimi, Lotte Schön, Max jej nie napisał. Lotte była Żydówką i znajdowała się już w drodze do Szwajcarii: krytycy zauważyli u niej nagle typowo semickie zabarwienie głosu, które obrażało czyste rasowo ucho.

Vera spakowała się w mgnieniu oka i jeszcze tego samego wieczoru wsiadła do pociągu, pozostawiając na peronie Toni z nosem smętnie zwieszonym na kwintę. Schlangenbad to nie był Zoppot, ani na lekarstwo szykownych oficerów i interesujących partnerów do brydża. Zaludniały go nieforemne, stare baby, cierpiące na ohydne schorzenia jajników, macic i pęcherzy, jedynym tematem rozmów były cysty. Hasso, który odkrył, że w czarnym mundurze SS jest mu szalenie do twarzy, siedział gdzieś na końcu świata na jakimś szkoleniu partyjnym. Ribbentrop, sam od maja w SS, wkręcił go jakoś do sztabu Himmlera. Oznaczało to jednak, że Hasso przeniesie się do Monachium i prawie nie będą się widywali. Pocieszał, co prawda, Toni, że Himmlera na pewno wkrótce ściągną do Berlina, ona obawiała się jednak, że jej kochanek do tej pory zdąży sobie znaleźć jakąś krzepką Bawarkę, która mu będzie pośladkami tłukła orzechy i jodłowała w łóżku. O ile już nie znalazł.

W każdym razie, podczas gdy ona konała z nudów w tym okropnym Schlangenbadzie, Hasso z zapałem bawił się w samuraja. Mężczyźni byli jak dzieci, nigdy nie dorastali. Ten cały hokus pokus z Czarnym Zakonem, krzyżackimi rytuałami, ogniem świętojańskim - śmiechu warte. Pewna znajoma Toni, która poznała Himmlera na przyjęciu, powiedziała, że to kompletne zero. Bezbarwny, pedantyczny, miał w sobie coś z nauczyciela gimnazjalnego albo kaznodziei: usta mu się nie zamykały. Do swojego SS przyjmował tylko nordycko wyglądających, rosnących mężczyzn, takich jak Hasso, tymczasem sam był cherlawy, miał kurzą klatkę piersiową, i uciekający podbródek. Nigdy nie przeszedłby przez własną selekcję. Podobno miał starszą od siebie żonę, która trzymała go pod pantoflem. Tacy faceci z kompleksami zawsze byli najgorsi.

## CZAS TARANTUL

Max oczekiwał Very na dworcu z bukietem róż. W panamie i białym letnim garniturze wyglądał bardzo elegancko. Vera rzuciła mu się z rozpędem w ramiona.

- Max! Brakowało mi Ciebie. Nie masz pojęcia, jak w tym Schlangenbadzie było nudno. Naprawdę będę mogła śpiewać razem z tobą? Nie mogę w to uwierzyć. Ale czy mnie przyjmą?

- Zaśpiewasz jak anioł, dostaniesz angaż z całą pewnością. Masz całe trzy dni czasu, będziemy razem ćwiczyli. Zaczniemy od jutra.

- Cudownie! - Vera klasnęła w ręce i zawirowała wokół Maxa. Będzie z nią śpiewała, otuli ją swoim głosem. Życie bywało nieprawdopodobnie hojne.

- Nie moglibyśmy zacząć już dzisiaj?

- Dziś mam występ. Przyjdź do teatru, zjemy razem kolację.

- Och, tak! Kocham cię, Max!

Właściwie nie chciała tego powiedzieć, przynajmniej nie pierwsza, ale stało się i teraz te słowa zawisły między nimi jak znak zapytania. Z przerażenia, że mogłaby zostać odtrącona, serce zamarło jej w piersi, a ręce opadły bezwładnie wzdłuż bioder, jakby była nakręcaną kluczykiem lalką, w której pękła sprężyna. Max patrzył na nią w milczeniu. W Schlangenbadzie opaliła się, na jej nosie pojawiły się nowe piegi, fryzurę zrujnowała sobie w podróży, była prawie nieumalowana i miała w oczach wyraz popłochu. Wyglądała na czternaście lat. Schylił się po jej walizkę.

- Ja też cię kocham, Vera. Ale...

A więc było jakieś „ale”. Tylko co? Vera poczuła się okropnie upokorzona. Nie tak to sobie wyobrażała. W filmach, które pochłaniała wraz z Toni w nieprawdopodobnych wprost ilościach, nie było żadnych „ale”. Dobrze jej tak, niepisany kodeks nie pozwalał kobiecie na przejęcie inicjatywy. Toni wielokrotnie jej powtarzała, że nawet najtępszy mężczyzna jest w stanie zrozumieć delikatne sygnały zachęty - cień uśmiechu, trzepot rzęs - trzeba tylko umieć cierpliwie czekać.

- W głębi ducha każdy z nich czuje się łowcą i chce zdobywać. To tak jak na polowaniu: najważniejsza jest sama gra, tropienie, podchodzenie, czerwone spencerki, piękne konie, granie na rogu.

Pozbawiłabyś ich całej przyjemności. Wyobraź sobie lisa, który na widok myśliwego staje z łapami do góry! Całą kulturę angielską diabli by wzięli.

- Kiedy to nieuczciwe. W miłości ludzie powinni być w stosunku do siebie absolutnie szczerzy.

- Boże uchronaj. Szczególnie w miłości należy zachować czujność. Miłość jest wielkim wyzwaniem taktycznym. Tylko kobiety potrafią mu stawić czoła, bo to nasze jedyne pole bitwy. Dla mężczyzn stanowi zaledwie jedno z wielu.

Vera buntowała się. Nie chciała sięgać po odwieczne rekwizyty kokieterii, trzepotać rękami, omdlewać. A teraz gorzko żałowała.

Najmądrzej byłoby przejść nad tą nieszczęsną wymianą zdań do porządku dziennego, udać, że nic się nie stało, ot, zwykłe prekomarzania między przyjaciółmi. Przede wszystkim zaś za nic na świecie nie próbować zgłębić, co oznaczało owo „ale”. Nie pytać, nie dociekać, trzymać język za zębami. Tylko to mogło ją jeszcze uratować.

- A leco? - jęknęła.

- Porozmawiamy o tym po teatrze - odparł zdecydowanie Max. Poderwał walizkę i ruszył energicznie w stronę wyjścia. Vera pociągnęła nosem i pobiegła za nim nieszczęśliwym truchcikiem.

Osteria delia Lirica położona była tuż koło Opery i chociażby już z tego powodu stała się ulubionym miejscem spotkań śpiewaków, muzyków i chórzystek. Zapełniała się zaraz po zapadnięciu kurtyny, w dobrym tonie było zakończenie w niej wieczoru lampką wina. Właściciel, Vittorio Rossi, pochodził z Florencji i kontynuował w Berlinie rodzinną tradycję: pierwszą Osteria delia Lirica założył jego dziadek, wielki miłośnik *belcanto* i zupełnie niezły tenor. Podając gościom swoje doskonałe *spaghetti aWinferno*, śpiewał arie operowe i to się podobało. Restauracja pękała w szwach, wkrótce stoliki trzeba było zamawiać przynajmniej dzień wcześniej. Ojciec Vittorio wybitnego głosu nie miał, za to wpadł na pomysł przeplatania potraw występami młodych śpiewaków, którzy jeszcze nie wyrobili sobie nazwiska. Nazywało się to *pasta e opera*. Dla debiutantów było szansą poznania jakiegoś impresaria, dla gości atrakcją, a dla ojca

Vittorio świetnym interesem. Vittorio propagował włoską kuchnię i muzykę operową już w trzecim pokoleniu. Nadal podawał czarne, zabarwione wywarem z kałamarnic *spaghetti aWinferno* i trzymał się Rossiniego, Verdiego oraz Belliniego, chociaż stali bywalcy sympatyzujący z Ruchem namawiali go na Wagnera.

- Wagner jest wielki - mówił - ale zupełnie nie pasuje do mojego *spaghetti*.

Vera i Max często przychodzili do Osterii po teatrze, byli więc traktowani jak przyjaciele domu i witani osobiście przez Vittorio trzema pocałunkami w policzki.

- Signorina Vera coraz piękniejsza z każdym dniem - zauważył kurtuazyjnie Włoch. Strzepnął serwetką nieistniejące pyłki z obrusa i zanucił:

- *Celeste Vera, del miopensiero tu sei regina...*

- *Tu di mia vita sei lo splendor*' - zakończył Max, a goście przy sąsiednich stolikach zaczęli bić brawo.

- Nareszcie powiedział mi coś miłego - pomyślała ponuro Vera. Podczas gdy Max półgłosem wiódł z Vittorio poważną dyskusję na temat przystawek i win, rozglądała się po sali, szukając znajomych twarzy. Zastanawiała się, czy Max przyprowadził ją tutaj, żeby uniknąć rozmowy. W Osterii jadło się wyśmienicie i słuchało dobrej muzyki, ale konwersacja była bez wątpienia utrudniona. Zdążyła się już wykąpać i przebrać po podróży, miała na sobie długą, jedwabną wieczorową suknię i kapelusz, była starannie uczesana i umalowana, czuła się trochę pewniej niż na dworcu, ale obawiała się tego, co Max mógłby jej powiedzieć. Na razie mówił błahostki.

- Lubię „Cyganerię”, jest taka sceniczna. Gdyby Puccini żył w naszych czasach, robiłby doskonałe filmy. Jego muzyka ma werwę i humor, świetnie oddaje bez troskę kawalerskiego życia i nastrój Quartier Latin.

- Na dworcu powiedziałaś „ale” - przerwała mu Vera. - Co mia-

<sup>1</sup> Boska Vero (właściwie Aido), królowo moich myśli, nadajesz mojemu życiu blask - aria Radamesa z Aidy.

łeś na myśli?

Max spowaźniał. Ujął jej rękę i przytulił ją do ust.

- Dla ciebie życie jest tylko pasmem radości, Vero. Nie chcesz widzieć tego, co jest straszne. A czasy są straszne.

Oczy Vero napełniły się łzami. Nie wiedziała, o co mu chodzi, pojęła tylko, że nie spełniła jego oczekiwań i została łagodnie odsunięta. Ale czego właściwie od niej oczekiwał?

- O czym ty właściwie mówisz, Max? O nas? O polityce? O życiu? Moje życie to muzyka, chcę tylko śpiewać, co w tym złego?

Maxowi zrobiło się jej żal. W długiej sukni, z perłami na szyi, wyglądała jak mała dziewczynka, przebrana w wieczorowy strój. Alicja w krainie czarów. Niedotykalna dla zła. Jak można było od niej wymagać, żeby rozumiała, jak rodzi się zło? Akurat od niej?

- Śpiewaj, kochanie, śpiewaj. Będziesz cudowną Mimi. Z radością będę cię trzymał co wieczór w moich ramionach, choć wcale mi się nie będzie podobało, że co wieczór będziesz w nich umierała.

- Umrę natychmiast, jeżeli mi nie wytłumaczysz, dlaczego nie możemy być razem. Jeżeli jestem dla ciebie za głupia, przeczytam wszystkie książki, które mi każesz przeczytać. Nawet tego okropnie nudnego Prousta.

- Prousta nie możesz przeczytać. Był pół-Żydem i homoseksualistą, jego powieści na pewno już dawno spalono. Co sądzić o narodzie, którego elita pali książki? Jaki pożar jeszcze roznieci? Czy wiesz, ilu wspaniałych, światłych ludzi już opuściło ten kraj?

- Wyjeżdżają? Dlaczego? Tylko dlatego, że trochę motłochu wbiło się w mundur i maszeruje po ulicach? Cieszą się, że mają na grzbiecie porządną koszulę i wolno im bawić się w wojsko, nic wiecej. Tak przynajmniej mówi dziadek.

Dziadek von Rathenberg, weteran armii cesarskiej, nie ukrywał swojej sympatii dla czasów, w których fanfary i werble pozwalały mu znowu śnić o świetności Niemiec. Oburzało go jednak, że byle towarzysz partyjny udawał oficera i nosił strój, przysługujący do tej pory tylko tym, którzy ginęli na polu chwały. Nieomal dostał apopleksji, kiedy zobaczył na środku swojego salonu oborowego Schwalbe i stelmacha Kumpfa w pełnym rynsztunku bojowym, w oficerkach,

## CZAS TARANTUL

bryczesach i z przepaskami ze swastyką na ramieniu.

- Panowie, jak widzę, w uniformach - warknął. - Czyżbyśmy mieli wojnę? I tak wam na nią spieszno, że nie zdążyliście dobiec do kuchennych drzwi?

Do tej pory jeszcze żaden oborowy nie odważył się wejść do dworu głównym wejściem od strony ganku. Kumpfsię spieszył i ściągnął czako z głowy, ale Schwalbe wycelował wyprężone ramię w lewe ucho dziadka Rathenberga i ryknął:

- Heil Hitler, panie pułkowniku! Jesteśmy porządkowymi przy wyborach i mamy zaprowadzić pana do lokalu wyborczego.

- Spocznij, sam dojdę. Tylko założę mundur - ten prawdziwy.

Dziadek von Rathenberg pokuśtykał w głąb domu i za chwilę pojawił się w stroju galowym swojego regimentu, obwieszony orderami i z szablą przy boku. Schwalbe chciał go podtrzymać pod łokcie, ale starzec trzepnął go po łapie, jakby dotknięcie jego czerwonych rąk było obrazą barw pułku.

- Teraz wszyscy są równi, panie pułkowniku - mruknął urażony Schwalbe.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Może w oborze, ale nie w moim domu.

Max wciąż milczał, Vera dodała więc niepewnie:

- Johannes twierdzi, że to się rozejdzie po kościołach. Dwa, trzy lata i śladu po hitlerowcach nie pozostanie. Trzeba przyznać, że przynajmniej zaprowadzili porządek.

- Vero, na miłość Boską! To nie jest porządek, to jest co najwyżej symetria. Ustawili naród w kolumny, szeregi i bloki, ułożyli w geometryczny wzór. Człowiek jako część ornamentu - jaki tryumf ducha w kraju filozofów i myślicieli! A co nie pasowało, to do kacetu albo za granicę.

Vera spojrzała na niego spłoszona. W domu państwa von Klinck odnoszono się do emigrantów z dużą rezerwą. Opuszczanie kraju było niepatriotyczne i antyniemieckie. Emigranci kalali własne gniazdo, stawiając ojczyznę w złym świetle. Co do obozów pracy... czyż nie zrobiło się spokojniej na ulicach od czasu, kiedy zamknięto w nich komunistów i przeciwników Hitlera?

- Może to i lepiej, żeby ci, którzy są krytycznie nastawieni do

tego kraju, wyjechali - zaprotestowała nieśmiało.

- Ci ludzie nie byli krytycznie nastawieni do kraju, tylko do panującego w nim reżimu. Byli szczerymi patriotami, kochali niemiecką kulturę, muzykę, poezję, byli równie dobrymi Niemcami jak ty czy ja. Wyjechali, bo ich do tego zmuszono.

- Zmuszono?

Max przyjrzał się jej z konsternacją i rozumiała, że znowu palnęła coś głupiego. Cała ta rozmowa sprawiała jej przykrość i nie prowadziła do niczego. Chciała tylko śpiewać, kochać i być kochaną, cieszyć się życiem, a on uporczywie roztrząsał problemy, na które nie miała najmniejszego wpływu.

- Dziecko drogie, zanim zaśpiewasz Mimi, będziesz musiała wstąpić do Izby Kultury Rzeszy, trzeba być jej członkiem, żeby występować. A członkiem możesz zostać tylko wtedy, jeżeli udowodnisz, że jesteś pochodzenia aryjskiego i żaden twój przodek nie był Żydem. Jeżeli zaplątał się wśród nich jakiś żydowski dziadek, nie wolno ci śpiewać, choćbyś miała głos jak Adelina Patti, nie wolno ci grać w filmie, występować w teatrze czy pisać artykułów do gazet. Niczego ci nie wolno.

- No to co? - Vera wzruszyła ramionami. - Dziadek von Rathenberg uporządkował naszych przodków do XVII wieku, drzewo genealogiczne mam jak dąb. Nie pozostawia nic do życzenia.

- A inni? Ci bez drzewa? Ci, którzy też mają talent, kochają Mozarta i Verdiego, ale los pokarał ich niewłaściwym dziadkiem? Dla tych nie ma miejsca ani w teatrze, ani w filmie i ci musieli opuścić kraj. Ernst Lubitsch, Max Reinhardt, Billy Wilder, Albert Einstein, Thomas Mann i tysiące innych. Twoja poprzedniczka, Lotti Schön, też musiała z tego powodu spakować walizki.

- Zrobiła miejsce dla mnie - pomyślała Vera. - Dała mi szansę, no i bardzo dobrze. Żydzi. Co o nich wiedziała? Nic. Doktor Goldberg był Żydem, Johannes bardzo go cenił. Szalenie elegancki, nobliwy pan. Doktora Hirschfelda wzywało się, kiedy ktoś zachorował. Toni zaklinała się, że samo dotknięcie jego rąk leczy. Dziadek von Rathenberg żołądkował się, że Żydzi mają pieniądze oraz wpływy, zarządzają bankami i koncernami przemysłowymi. Uważał, że po-



pierają bolszewicką prasę. U Liebschera na Kurfurstendamm Toni kupowała futra. Kiedy Hitler zarządził bojkot żydowskich sklepów, demonstracyjnie pomaszzerowała pod jego dom towarowy, odsunęła bezceremonialnie parasolką dwóch zbirów w mundurach SA, którzy jej zastawili drogę i spokojnie kazała pokazać sobie pelisy z ocelotów. „Nie będziecie mi mówili, gdzie mam kupować moje futra, bo pojęcia nie macie o modzie” - powiedziała dumnie do szturmowców, opuszczając sklep ze stosem pudeł w ramionach. Poza tym Żydzi byli Verze kompletnie obojętni.

Siedziała w gorącej, sierpniową noc z mężczyzną, w którym była zakochana, w romantycznych pluszach Osterii delia Lirica, wdychała zapach jego drogiej wody toaletowej, patrzyła w jego szeroko rozstawione, ciemne oczy i chciała mówić o muzyce i miłości, nie o Żydach. *Żyłam sztuką, żyłam miłością!* Poczowała się zmęczona i okropnie rozczarowana. Na jej długich rękach zawisły tży, odwieczna broń kobieca. Maxa, który zupełnie błędnie interpretował jej przygnębienie, ogarnęło wzruszenie. Zapragnął spleść ręce na jej kruchych plecach, zamknąć w ramionach tę istotę tak niewinną, że bliższą motylom niż kobietom z krwi i kości, ochronić ją przed grozą otaczającego ją świata.

- Vero, wybac mi, że mówię ci rzeczy, które cię zasmucają. Tak bardzo chciałbym odsunąć od ciebie wszelkie przykrości. Boję się jednak, że została wprawiona w ruch jakaś straszliwa, nieubłagana machina, która postawi na głowie dotychczasowy porządek świata. Ze jesteśmy świadkami, jak rodzi się zło w swojej apokaliptycznej, najprymitywniejszej formie. Żyjemy w czasach, w których tolerancja jest uważana za brak patriotyzmu, a współczucie za dowód słabości, czasach, w których moralność została zastąpiona przez skuteczność. Dla wszystkich, którzy myślą inaczej, a nawet tylko wyglądają inaczej, nie będzie miejsca w tym kraju. Zastanawiam się, czy będzie w nim miejsce dla mnie.

- Dla ciebie? Dla Maxa Finna? Jesteś u szczytu sławy, wszystkie sceny o ciebie walczą.

- Dziecino, ci, którzy wyjechali, też byli sławni. Znacznie bardziej

<sup>1</sup> Aria Tosci z opery Pucciniego.

niż ja. Najślawniejsi. Najlepsi.

- Ależ... to byli przecież tylko Żydzi, prawda?

Max popatrzył na nią ze smutkiem.

- No tak. To byli tylko Żydzi.

Z mgły wspomnień wyłonił się przed nim w szeleście tafty i jedwabii łagodny owal twarzy babki Salomei. Babka, nazywana przez męża z angielska Sally, była w każdym calu damą i nigdy nie wyszłaby na ulicę bez rękawiczek. Nosiła wielkie kapelusze z piórami, koronkowe żaboty, owijała szyję sznurami tajemniczo opalizujących pereł i wpinała w uszy długie kolczyki. Lśniące, wciąż jeszcze czarne włosy, rozdzielała na czubku głowy równym przedziałkiem i upinała w ciężki węzeł, żadne pasemko nie ośmielało się wysunąć z jego splotów. Piersi opancerzała gorsetem, który nadawał jej majestatyczny wygląd. Nikt nie widywał jej nieuczեսanej, nigdy nie urywały się jej guziki, nie gubiła szpilek do włosów. Od siebie i od tych, których kochała, wymagała przede wszystkim dyscypliny. Dzieciom nie wolno było usiąść do stołu, dopóki nie umyły rąk, nie wyszorowały do połysku paznokci i nie przygładziły czuprynek. Była kobietą całkowicie niezdolną do podstępów i oszustw, dobrą, wspaniałomyślną i hojną.

W młodości babka Salomeą ukończyła pensję dla panien w Berlinie i wyniosła z niej uwielbienie dla kultury niemieckiej. Niemcy to był Brahms, Beethoven i Mozart, czystość, pracowitość i porządek. Wśród łagodnych pagórków Nadrenii czuła się lepiej niż na płaskich polskich równinach. Odżywała, kiedy wyjeżdżała do wód, do Wiesbaden albo do Baden-Baden, gdzie cały elegancki świat spotykał się na koncertach w zdrojowych parkach i w teatrach, podobnych do wybitych czerwonym pluszem bombonierek. Ach, jakże tam było stylowo, jak wytwornie, jakie interesujące rozmowy prowadziło się na deptaku przed pijalnią wód! A przede wszystkim - jakże inaczej niż w robotniczej Łodzi, gdzie lśniące wyspy bogactwa tonęły w morzu biedy i błota. Ale to właśnie Łodzi zawdzięczał jej ojciec majątek, Łódź pozwoliła mu przemienić się ze skromnego producenta perkalu w króla bawełny, który siadywał za jednym stołem z Poznańskimi, Heinzlami i Scheiblerami. Dzięki niej mógł kształcić

dzieci za granicą, wybudować pałac z parkiem, w którym krzyczały pawie, wybić gabinet złożonym kurdybanem, zawiesić na ścianach ciemne holenderskie pejzaże i po królewsku wyposażyć Salomee, jedyną córkę. Wdzięczny był jej za to i mówił o sobie, że jest Lodzermenschem. Nie Niemcem, nie Polakiem, nawet nie Żydem, tylko właśnie Lodzermenschem. Sprawiedliwie dzielił datki między synagogę, katolicką ochronkę i ewangelickie Towarzystwo Muzyczne, bowiem, jak mówił, szczęście tak się do niego w tym mieście uśmiechnęło, że musiał go wspierać więcej niż jeden Bóg.

Dziadek Maxa był jedynie ambitnym młodym inżynierem, którego Salomeą poznała w Baden-Baden na reunionie w Kurhausie. Właśnie w tym celu matka wyjechała z nią za granicę: żeby poznała odpowiedniego kandydata na męża, młodego, majątnego człowieka z dobrych sfer. Dziadek majątny nie był, dochody, które przynosiła położona nad łagodnymi zakolami Neckaru rodzinna firma „Finn und Sohn”, produkująca narzędzia rolnicze i materiały siewne, były bardzo skromne. Miał jednak maniery bez zarzutu, wąsiki ostre jak brzytwa i zgrabnie pobrzękiwał na fortepianie *Ich weijl nicht, was soli das bedeuten*. Wystarczyło to w zupełności, żeby Salomeą zakochała się w nim po uszy. Zaalarmowany listem matki ojciec Salomei zasięgnął języka. Dowiedział się, że młody człowiek jest niezamożny, ale doskonale wykształcony - studia w Heidelbergu, cztery lata praktyki w firmie „Fischer und Fischer” w Bremie, hospitacje u zaprzyjaźnionych partnerów handlowych w Londynie i Paryżu, wyśmienita znajomość angielskiego i francuskiego. Partia może nie świetna, ale solidna. Z przyszłością. Pieniądze to ja mam sam - zdecydował kochający ojciec. - A Salomeą potrzebuje męża.

Salomeą potrzebowała jednak jeszcze i chrztu. Pod tym względem rodzina Finnów okazała się twarda jak gład. Pawie w parku i kurdybany rzecz piękna, pieniądze też zawsze mile widziane, nawet żydowskie, ale ślub musiał być przyzwoity, kościelny. Rodzice panny nie wahali się długo: nie byli szczególnie religijni. Dzieci nawet nie znały jidisz, w domu mówiło się po niemiecku i po polsku. Owszem, chłopcy obchodzili bar micwę i w szabat zapalało się świece, ale najważniejsze było, żeby nie różnić się od innych. Jeżeli jedyna córka zapragnęła

wyjść za mąż z miłości, to niech będzie z miłości, a jeśli musi się w tym celu ochrzcić, to może być i chrzest. Panu Bogu było najprawdopodobniej wszystko jedno, czy chwalono go w synagogach, w cerkwiach, czy też w kościołach. Zbór ewangelicki wydawał się w tym celu najlepszy, bo najbardziej zbliżony do urzędu, a tu chodziło właściwie o sprawę urzędową, dopełnienie niezbędnych formalności. Przynajmniej w ich oczach. Przyjęli zięcia z otwartymi ramionami i ufundowali miastu z okazji ślubu córki dwadzieścia nowych latarni gazowych, które miały uczynić jej przyszłość jeszcze bardziej świetlaną.

To babka pierwsza zauważyła talent Maxa. Była bardzo muzyczna, każdy dzień zaczynała od fortepianowych etud, po południu śpiewała ulubione arie operowe, sama sobie akompaniując. Któregoś dnia przyłączył się do niej anielski dziecięcy głosik i bez trudu jej zawtórował.

- Ten chłopiec ma słuch doskonały! - zawołała Salomeą. - Trzeba go kształcić!

Sprowadziła aż z Drezna znakomitego tenora z Semperoper, żeby zajął się cudownym dzieckiem. Był to młody, nieśmiały człowiek, którego długie włosy piętrzyły się za uszami jak kask, co nadawało mu wygląd zawsze zdumionego. W istocie nie mógł się nadziwić temu miastu z jego kolosalnymi fabrykami, zafarbowanymi barwnikami ściekami, skleconymi z desek bieda-domkami i niebrukowanymi ulicami. Pośród tego śmietnika wyrastały zdobione wieżyczkami, kariatydami i pilastrami pałace o niespotykanym wprost przepychu, okolone parkami, tonące w kwiatkach, przeglądające się w stawach, po których pływały łabędzie. W salonie państwa Finnów koncertowali wybitni muzycy z Berlina, na wieczorkach autorskich znani poeci czytali swoje wiersze, a pani Sally sunęła od gościa do gościa w obłokach koronek i jedwabiu, delikatnie pobrzękując brylantami. Piękna, mądra i czarująca kobieta - choć Żydówka.

- Tylko Żydzi - powtórzył Max. Ile czasu potrwa, aż doszukają się babki Salomei? Aż usłyszą i w jego głosie semicką nutę? Jak długo jeszcze będzie go chroniło uwielbienie publiczności, która, podnosząc się z foteli na jego cześć, wyprężyła ramię w hitlerowskim pozdrowieniu?

Vera spuściła powieki i jej rzęsy rzuciły na policzki długie półksiężycy cieni. W głowie miała zamęt, w sercu rozterkę. Odnosiła wrażenie, że Max oddala się od niej coraz bardziej. Rozbijała się o mur jego milczenia, jak oszalała z miłości do światła ćma rozbija się o szybę. Rozejrzała się po opustoszałej sali. Vittorio, oparty o bar, rozmawiał cicho z barmanem, orkiestra pakowała instrumenty, sopranistka pożerała łapczywie ostrygi w towarzystwie znużonego barytona. Zdążyła się już przebrać, jej wieczorowa suknia wisiała przerzucona niedbale przez poręcz krzesła jak zdechły ptak. Na stolikach zastygały w skrzepłym tłuszczu puste skorupy homarów, szkielety ryb i kostki przepiórek, wśród okruszków chleba wędły liście sałaty. Unosił się nad nimi kwaśny odór wina i zatęchły zapach zimnego dymu cygar. Vera poczuła mdłości.

- To był długi, męczący dzień - powiedziała. - Chyba muszę się położyć. Odwieź mnie, proszę, do domu. Porozmawiamy jutro. Albo nie, nie rozmawiajmy, pośpiewajmy raczej.

Przynajmniej w muzyce będzie mogła się z nim połączyć. Muzyka dawała ukojenie i niczego nie trzeba było rozumieć. Wielkie uczucia, miłość i śmierć, można było przeżywać wciąż na nowo i zawsze miało się szansę zacząć wszystko od początku.

Max zaparkował samochód na idealnie wygracowanym podjeździe przed domem państwa von Klinck. Wysiadł, otworzył Verze drzwiczki i ucałował koniuszki jej palców. Podziękowała mu skinieniem głowy. Nie śmiała na niego spojrzeć, gdyż lękała się tego, co mogłaby odkryć w głębi jego oczu. Otworzyła drzwi swoim własnym kluczem, żeby nie budzić służby, zdjęła pantofle i bezszelestnie przebiegła przez przykryty kopułą rozgwieżdżonego nieba hall. Pragnęła tylko wsunąć się pod chłodny adamaszek kołdry, schronić się w sen i obudzić następnego dnia wyzwolona z poczucia klęski, które sznurowało jej gardło tak bardzo, że wątpiła, czy kiedykolwiek wydobędzie z niego jakikolwiek ton.

Niepotrzebnie się skradała. Mimo późnej pory w wymarłym na pozór domu nikt jeszcze nie spał. Na piętrze pan von Klinck przewracał się w łóżku z boku na bok, tęskniąc za opalizującą pidżamą Toni i jej zapachem francuskich perfum. Przerzucał kartki angielskiej

powieści, nawet nie próbując zrozumieć sensu słów i sięgał od czasu do czasu po kieliszek, żeby pociągnąć łyk wytrawnego porto.

W kuchni personel zgromadził się przy stole, obficie zastawionym najdelikatniejszymi smakołykami z piwnicy pana von Klinck. Na półmiskach leżały dobrze skruszone bażanty, szpikowany słoniną comber sarni i lin w wybornym sosie estragonowym. Najlepszym winem mozelskim wznoszono toasty na cześć Antona, a właściwie na cześć jego nowiutkiego czarnego munduru SS ze srebrnym szewronem w kształcie litery „V” na prawym rękawie i kokardą Orderu Krwi na piersi. Szewron oznaczał, że Anton zaliczał się do starych bojowników Ruchu, kokardę dostał za udział w puczu monachijskim<sup>1</sup>.

- No, matka, a nie chciałaś wierzyć - powtórzył po raz któryś Anton, z zadowoleniem krzyżując wyciągnięte nogi w lśniących oficerkach. - Teraz nadszedł nasz czas. Mój czas.

Martha, zaróżowiona z emocji i nadmiaru wina, nie spuszczała z niego rozkochanych oczu. Gdybyż to Fritz mógł doczekać tej chwili! Jakże byłby teraz dumny z ich syna! Anton, ladaco, nieudacznik, robił karierę i nosił ten wspaniały, czarny mundur, o którym marzył każdy młody Niemiec. SS to była elita. Nie to co SA, od SA załatywało na kilometr lumpenproletariatem. SS to byli Rycerze Trupiej Głównki, tak jak huzarzy kajzera, którzy nosili na czapkach taki sam znak i wywodzili się z prawdziwej arystokracji. A teraz Anton był elitą i paradował z trupa główką na czapce. Jezus, ale była z niego dumna! Co za szczęście, że Himmler poznał się na jej dziecku.

Anton spotkał Himmlera przypadkiem w Monachium i przypomniał mu, jak to dziesięć lat temu wspierał go ramieniem, kiedy razem szli na Ministerstwo Wojny. Teraz Himmler był ważny, dowodził oddziałami SS i odwdzińczył się pięknie dawnemu kumplowi. Dopomógł mu w szybkim awansie na Truppenflihrera, a Truppenflihrer to już naprawdę było coś. Martha czknęła ze szczęścia i jednocześnie zawstydyła się, bo z przeszłości dobiegło ją echo własnych słów:

<sup>1</sup> Pucz Hitlera w Monachium w listopadzie 1923 roku, zakończony niepowodzeniem.

## CZAS TARANTUL

- Czego ci się zachciało, gamoniu? Puczu? Politykować będziesz? Rządy obalać? A uczciwą pracą zając się nie łaska? Jezusie Nazareński, co ja mam z tym darmozjadem! Gdyby ojciec żył, załkłby cię jak psa, aleja też jeszcze potrafię ci dołożyć!

Rzuciła się wtedy na niego z pięściami, a Anton wcale się nie uchylał, tylko patrzył na nią spode łba, pokrwawiony, brudny, w poszarpanej kurtce, bo mocno oberwał w bójce z oddziałem rządowej piechoty. Łzy lały się jej ciurkiem i trzęsa się z wściekłości, nie tyle dlatego, że próbował rewolucji z tym jakimś Hitlerem, co z żalu za ostatnimi grosikami, uciętymi na czarną godzinę, które jej Anton buchnął, żeby mieć na pociąg do Monachium. Skąd mogła wiedzieć, jak cudownie zaprocentuje w przyszłości jej wdowi grosz? Głupia była i właśnie to Anton rzucił jej wtedy w twarz, chwytając ją za nadgarstek, kiedy znowu się na niego zamachnęła.

- Durna jesteś, matka, i niczego nie rozumiesz. Do garów ci, nie do spraw, o których nie masz pojęcia. Zobaczysz, któregoś dnia to my będziemy górą, weźmiemy ten kraj za pysk i zaprowadzimy porządek.

- Ty będziesz wprowadzał porządek, nierobie? Ty? Ciesz się, żeś w kryminale nie wylądował razem z tym twoim Hitlerem - załkała nieomal, bo wzrok jej ponownie padł na pusty stół po ogórkach, jeszcze niedawno wypchany inflacyjnymi milionami. - Własną matkę okradłeś, zbóju, i co teraz z tego masz?

- Pożyjemy, zobaczymy - odpowiedział filozoficznie Anton.

No i zobaczyła, wszyscy zobaczyli. Mundur jak spod igły, Order Krwi na piersi, patki na kołnierzu, a na stole odbiornik radiowy, który Anton przywiózł jej prosto z Wystawy Radiowej, czarodziejska skrzyneczka, która połączy ją z samym Führerem. Serce Marthy pękało z macierzyńskiej dumy, kiedy ręce zebranych z szacunkiem dotykały lśniącej obudowy i metalowych gałek. Nawet szofer Kurt, zadzierający zazwyczaj nosa i rzadko bywający w kuchni, z zaciekawieniem oglądał sztylet, na którym wygrawerowany był napis: *Moim honorem jest wierność*, a Emmi wręcz pożerała Antona wzrokiem. W szykownej czerni, błyszczących długich butach, wyszczuplony godzinami musztry, wydał jej się romantycznym rycerzem średniowiecznego zakonu. Nie uszło to jego uwagi,

uśmiechał się z zadowoleniem, co i raz przyciskał ukradkiem pod stołem opiętą skórą buta łydkę do jej nogi i puszczał do niej oko.

Kto by pomyślał, że ten cherlawy Himmler tak wysoko zajdzie? Wtedy, w Monachium, zrobił na Antonie wrażenie nieszkodliwego wariata. Fajtłapa, który nawet do picia się nie nadawał. Po pierwszym kuflu piwa robiło mu się niedobrze. W piwnicy browaru Löwenbrau przyssał się do Antona jak pijawka, straszliwie zdenerwowany i rozentuzjasmowany wydarzeniami, szczęśliwy, że akurat w tym momencie znalazł nowego przyjaciela, którego szerokie bary wzbudziły w nim zachwyt i zaufanie. Głos mu się załamywał z przejęcia, kiedy bredził coś tam o staroindyjskich wojownikach, samurajach i pretorianach. Oni dwaj, Himmler i Anton, mieli niby należeć do tego samego gatunku bohaterów. Maszerując pod Ministerstwo Wojny zwierzył się Fronkowi, że Chrystus wcale nie był Żydem, tylko synem rzymskiego centuriona: Anton definitywnie utwierdził się w przekonaniu, że ma do czynienia z szaleńcem. Ale potem Himmler radził sobie zupełnie dzielnie i w czasie bijatyki ani na chwilę nie wypuścił z rąk sztandaru, pijany ze szczęścia, że taki z niego swój chłop i towarzysze uważają go za dobrego kumpla.

Anton musiał przyznać, że rzeczywiście okazał się dobrym kumplem. Kiedy został Reichsführerem SS<sup>1</sup>, nie zapomniał o starym znajomym z Löwenbrau, a po dojściu Hitlera do władzy wspianałomyślnie pozwolił, żeby część honorów skapnęła na Antona. Nadal, co prawda, głądził od rzeczy o germańskim zmartwychstaniu i doskonaleniu rasy dzięki ziółkom i diecie wegetariańskiej, ale teraz był przywódcą SS i szefem bawarskiej policji, więc mógł sobie pozwolić na najdziksze nawet brednie. Dzięki Himmlerowi otworzyły się przed Antonem podniecające perspektywy. Na razie musiał jednak wrócić do szkolnej ławki, żeby przygotować się do czekających go zadań. Z tego Martha była szczególnie dumna. Mówiła z fałszywą skromnością: „Mój syn oddaje się studiom” albo: „Człowiek na jego stanowisku musi się kształcić”. Każde słowo obracała na języku jak

<sup>1</sup> 1929



## CZAS TARANTUL

cukierek. Teraz też spróbowała nakierować rozmowę na temat, który budził w niej tyle rozkosznych emocji.

- Czego oni was tam uczą, na tych kursach, znaczy się?

Anton poprawił się na krześle i wyprostował grzbiet, jakby usłyszał komendę.

- A n owszystkiego, co doskonalili ducha i ciało. Mamy dużo sportu, musztry, zajęć w terenie - widać chyba po mnie, no nie? - odwinął rękaw kurtki i napiął muskuły. Emmi dotknęła jego przedramienia z szacunkiem i jęknęła z podziwem:

- O Jezu, jak ze stali, panie Antonie!

Od momentu, kiedy zobaczyła go w tym pięknym mundurze, zaczęła tytułować Antona „panem”, czego przedtem, gdy polegiwał w kuchni, wylizując garnki matki i udając, że szuka roboty, nigdy nie robiła. Wynagrodził jej ten okrzyk zachwytu męskim uszczyptnięciem w siedzenie.

- Naturalnie uczą nas umiejętności dowodzenia, polityki wschodniej, doktryny narodowosocjalistycznej - na podstawie „Mein Kampf” przede wszystkim - ale i takich pożytecznych rzeczy, jak praktyka kancelaryjna, słownictwo specjalistyczne, prowadzenie korespondencji. No i teorii rasowej, oczywiście, na to kładzie się duży nacisk, gdyż, panno Emmi - skłonił się szarmancko w stronę podkuchennej - najważniejsza jest dobra niemiecka krew w pani żyłach. Musi pani pilnować czystości każdej jej kropelki, bo to wcale nie jest pani sprawa prywatna, tu chodzi o dobro narodu, o dobro Niemiec. Więc bardzo proszę uważać, żeby nie dopadł pani jakiś paskudny Żyd albo inny łajdak obcej krwi - żartobliwie pogroził jej palcem.

- Oj, co też pan mówi, panie Antonie - wykrztusiła czerwona po uszy Emmi. - A gdzieżbym ja tam mogła z jakimś Żydem... Nawet nie znam żadnych. Prawie nie wychodzę z tej kuchni!

- I bardzo dobrze, bo tu jest twoje miejsce - ucięła surowo Martha, która miała ambitne plany dla swojego Antona i te flirty z pomocą kuchenną wcale się jej nie podobały. - Ja tam już dopilnuję, żebyś nie miała czasu na żadne amory, ani ze złą, ani z dobrą krwią.

Emmi spuściła głowę zawstydzona i wyszeptała:

- Ale jak ich odróżnić - tych obcej krwi?

- Po nosie, panienko, najlepiej po nosie - pospieszył z odpowiedzią świeżo upieczony adept akademii partyjnej. - Żydzi mają żydowskie nosy, to oczywiste. Poza tym trzeba zwrócić uwagę na ciemny pigment skóry, opadające powieki, kręcone włosy i grube wargi.

- Iii... jacy paskudni! - wstrząsnęła się Emmi. - Kto by tam chciał się z nimi zadawać?

- Nordyk jest wysoki, smukły, jasnowłosy, niebieskooki, ma długą czaszkę, odwagę w oku, widać od razu, że należy do rasy wyższej, przywódczej.

- Do Himmlera to nie pasuje - zastanowił się Kurt. - Mały, cheralawy, okularnik...

Anton rzucił mu mordercze spojrzenie i niewzruszony ciągnął dalej:

- ...wytrzymały, twardy jak stal. Nasza rasa, nordycka, jest najszlachetniejszą ze wszystkich - to rasa wybrana. Dlatego to przed nią stoi historyczne zadanie zbudowania nowej Europy w duchu Karola Wielkiego i odzyskania pragermańskich ziem na wschodzie.

Martha plasnęła w ręce, bliska ekstazy. Jej Anton mówił mądrze jak jakiś profesor, a jakie piękne rzeczy! Może i była tylko kucharką, ale należała do rasy wybranej i było to oszałamiające uczucie. Jakie zmiany, jakie cuda, jakie niespodzianki! Jakie wspaniałe perspektywy na przyszłość, którą budował Anton wraz ze swoją partią!

- A wtedy nadejdzie czas młodych, odważnych i twardych. Czas osadników, którzy zasiedlą żyzne stepy i zamienią je w kwitnące krajobrazy. Powiem tylko: dobra rycerskie na wschodzie dla najodważniejszych.

W kuchni zapadła kościelna cisza. Zebrani milczeli, oszołomieni porwijącą wizją. Martha, która wychowała się na wsi i do tej pory przeliczała dobrobyt na krowy i hektary, zobaczyła oczami duszy bezkresne łąny rozkołysanego zboża i niezliczone stada najszlachetniejszej trzody mlecznej. Przez pola tłustego czarnoziemu galopował na koniu Anton, wsparty po pańsku pod bok, a ona jechała za nim dwukólką w sukni z białej organdy i wielkim kapeluszu,

którego wstążki furkotały na wietrze. Łzy szczęścia posypały się po jej twarzy, mocząc gors spranego fartucha i zniszczone ciężką pracą ręce. Bóg, do tej pory głuchy na jej modlitwy, nareszcie zechciał ją wysłuchać i wynagrodzić za przepłakane nad Antonem noce. Postanowiła pójść jutro z samego świtu do kościoła, żeby podziękować Opatrzności za to, że postawiła na drodze jej syna małego okularnika, który odmienił jego los.

- Ten Himmler to jakiś wariat - oświadczył Hasso, wynurzając się z fałd wzburzonej pościeli. - Ma fioła na punkcie ziółek, zdrowego żywienia i germańskiego zmartwychstania, cokolwiek by to miało być. Coś okultystycznego w każdym razie. Kosmologia, reinkarnacja, geomancja i takie tam różne. Świętego Graala też szuka. Podobno ma nadwornego alchemika, najprawdopodobniej chodzi do wróżki. Jak żyję nie spotkałem kogoś, kto by z tak śmiertelną powagą mówił tyle bzdur na raz i to bez przerwy. Usta mu się nie zamykają.

Toni zanurkowała pod kołdrę i przywarła ustami do skręconego jak ślimak pępka, okolonego rudym puchem. Przesunęła delikatnie językiem po twardym podbrzuszu i oplótła Hassa nogami, szczęśliwa, spełniona, wyczerpana. Zaskoczył ją swoim niespodziewanym przyjazdem i uradował zgłodniałą tęsknotą. Żadna Bawarka nie mogła go pocieszać, skoro już w drzwiach zaczęła ściągać niecierpliwie mundur, przyskając guzikami po pokoju. O tak, ukochany, bardzo dobrze, że ci się Himmler nie podoba, twoje miejsce jest przy mnie, w Berlinie, więc wróć jak najszybciej.

- Kochaj mnie - zaszlochała, całując go i gryząc. - Zostaw ten cały Czarny Zakon, z takiego Himmlera nigdy nie wyrośnie Wielki Mistrz, co w ogóle może wyrosnąć z syna belfra? Kiedyś kury chciał hodować, a teraz hoduje germańskich wojowników. Twoi przodkowie wywodzą się od Ottona III, twojej krwi nie trzeba ulepszać, więc rzuć w diabły to całe Monachium i wróć do mnie!

- Kocham cię, oczywiście, że cię kocham, pojęcia nie masz, jak za tobą tęskniłem. Ale wiesz, jak to jest - z pieniędzmi u mnie krucho, a oni są na fali. Kto z nimi płynie, popłynie daleko. SS to szansa, tam się szybko awansuje.

- Mam pomysł, najdroższy. Przenieś się po prostu do konnicy SS. Tam jest sama arystokracja i ziemiaństwo, spodoba ci się. Pohaśałybys sobie na koniu, miałbys miłe towarzystwo i dobrą pozycję wyjściową do zrobienia kariery politycznej.

- A wiesz, to jest myśl. Jaka mądra jest ta twoja śliczna główka!  
- zachwycił się Hasso. - Masz tam jakiejs dojścia?

- Książę von der Lippe, chociażby. Zapytaj zresztą Ribbentropów, u nich spotyka się cała partyjna śmietanka. Najważniejsze, żebyś wrócił do Berlina, do twojej Toni.

- I nie musiałybys patrzeć na tego nudziarza. Przypomina mi nieprzyjemnie mojego dawnego nauczyciela fizyki. Jakbym tak wyglądał jak on, byłbym ostrożny z teoriami wyższości ras. Jaki tam z niego nordyk? Nie mam zaufania do małych, słabych mężczyzn. Prędzej czy później kompensują brak krzepy czymś innym. Są niebezpieczni jak małe psy: gryzą ze strachu.

- Nie każdy może się pochwalić takim wspaniałym, silnym ciałem jak twoje - Toni przesunęła czule dłońią po węzłach muskułów. Niby przypadkiem jej upierścienione palce osunęły się niżej i zaczęły delikatnie pieścić dumnie sterczącą męskość Hassa. Zadowolony atleta nagrodził jej komplement herkulesowym uściskiem ramion.

- To prawda, ale nie każdy dostaje z tego powodu bzika i uważa się za reinkarnację Henryka I. Zupełnie serio poinformował mnie, że jest w kontakcie z duchami naszych germańskich przodków. Szczególnie zaprzyjaźniony wydaje się być ze swoim królewskim poprzednikiem. Często zaczyna swoje wywody od: „Król Henryk powiedziałby w tym wypadku, że...” Moim zdaniem ma fioła. Ale trzeba przyznać, że jest piekielnie efektywny.

- Poznałeś jego żonę? - zainteresowała się Toni, ciekawa plotek. - J a kwygląda?

Hasso wzruszył ramionami i podrapał się po jądrach. Nawet w tym geście był fenomenalnie męski.

- Bo ja wiem? Jak Gretchen. Niebieskie oczy, blond włosy, jakoś tak zaczesane do tyłu i upięte na czubku głowy. Niemodnie. Nawet niebrzydka, ale starawa. Starsza od niego. Kompletna parafianka. Przez cały wieczór nie powiedziała ani słowa, siedziała sztywna jak

kołek, policzek jej nerwowo latał, ale jak tylko Himmler się odezwał, przerywała mu surowo: „Heinrich!”. On się chyba jej boi.

Toni parsknęła śmiechem, bo Hasso tak zabawnie naśladował głos pani Himmler, ale uwagi na temat wieku żony Reichsführera wcale się jej nie spodobały. Leciutko podretuszowała swój życiorys i utrzymywała kochanka w przekonaniu, że jest od niego młodszą, w rzeczywistości była o cztery lata starsza. Zawzięcie tropiła wszelkie ślady przemijania, pajęczynki w kącikach oczu, siateczki popękanych naczynek na udach, fałdki tłuszczu na brzuchu, owijała szyję biczami peret, w nadziei, że ich iskry odciągną uwagę od zmarszczek. Nie ze skromności wymagała, żeby kochali się przy zaciągniętych zasłonach i przyćmionym świetle. Półmrok miał otulić miłośniczkę jej więdnące ciało, które tym bardziej stawało się spragnione, im mniej pozostawało mu czasu, aby budzić pożądanie w męskich oczach. Westchnęła i przywarła do Hassa ustami lepkimi od szminki, próbując wypić go aż do dna.

- Nie przestaniesz mnie kochać, prawda? - zapytała, żałując natychmiast, że mogła powiedzieć coś równie banalnego.

- Nigdy - zapewnił Hasso z roztargnieniem i jego wargi zwały się gorliwie z jej wargami. - Cokolwiek by było. Ale wiesz, że od członka SS wymaga się, żeby jak najszybciej ożenił się z jakąś młodą, genetycznie zdrową niemiecką dziewczyną i spełnił swoją biologiczną misję. Obowiązek wobec narodu, rozumiesz. Dzieci płodzić, geny przekazać. Od tego się nie wykręcę. Himmler dopilnuje osobiście, żeby się mój cenny materiał genetyczny nie zmarnował, pod tym względem jest nieugięty. Niczego to jednak między nami nie zmieni, mój skarbie - tu Hasso wpił się ustami w pachnący karczek Toni - gdyż dla naszej miłości sił nigdy mi nie zabraknie, nawet gdybym miał płodzić dzieci jak królik.

Toni skrzywiła się i to nie tylko dlatego, że te słowa zabrzmiały w jej uszach wulgarnie. Złowieszczy cień Lucy Endelmann przesunął się przez pokój, który nagle wydał jej się duszny. Odrzuciła kołdrę i podeszła do okna, żeby je uchylić. Do pomieszczenia wdarło się już jesienne chłodne powietrze, pachnące zbutwiającymi liśćmi i zebranymi z pól burakami cukrowymi. Lucy zniknęła w cudowny sposób z jej

życia, podobnie jak doktor Hirschfeld i kuśnierz Liebscher, który tylko dla niej odkładał najpiękniejsze pelisy. Bóg wie, gdzie się podzieli. Zastąpiło ich jednak widmo piersiastej blondyny z szerokimi biodrami, praktycznymi przy rodzeniu dzieci, i warkoczami jasnymi jak konopie, zwiniętymi na uszach w precle. A niech to jasna cholera.

- Aniele, ty też jesteś związana węzłem małżeńskim - przypomniat jej Hasso. - Fakt ten zupełnie nie zaciążył na naszym związku.

Była, była, a niby z czego ma żyć biedna dziewczyna, której ojciec przepuścił posag? Dobry Bóg zesłał jej kochanego Johanna, który płacił za jej fatałaszkę, futra, wyjazdy do wód, niańki, praczki i pokojówki, ale kobiecie, szczególnie kobiecie obdarzonej dużym temperamentem, potrzeba było jeszcze czegoś do szczęścia. Johannes był słodki, bez dwóch zdań, ale coż, wiek robił swoje. Poza tym był bardzo wyczerpany obowiązkami zawodowymi. Zresztą zaraz po ślubie postawił ją na piedestale i nawet w pierwszych uniesieniach traktował przede wszystkim z bezbrzeżnym szacunkiem. Jak pomnik. Oczekiwał od niej doskonałości tylko dlatego, że była jego żoną i byłby wstrząśnięty, gdyby pozwoliła sobie na zmysłowość. Ożenił się z niewinnym, czystym dziewczętakiem i właśnie takie pragnął mieć w łóżku. Wszystko inne uczyniłoby ją w jego oczach kobietą nieprzyzwoitą, wręcz wyuzdaną. Może nawet zaczęłoby się zastanawiać, czy niewiasta tak zepsuta nie wyszła za niego dla pieniędzy. Oczywiście, to właśnie zrobiła, ale nie mogła dopuścić do tego, żeby fakt ten kiedykolwiek dotarł do jego świadomości. Byłoby to nad wyraz okrutne w stosunku do człowieka o gołęmbim sercu, do którego była szczerze przywiązana.

- No więc, sama widzisz - podsumował wesoło Hasso.

Niechętnie skinęła głową, chociaż nie widziała niczego poza perspektywą starzenia się u boku żonatego i dzieciatego kochanka. Z drugiej strony, no cóż, może małżeństwo go usatkuje. Miała szczerą nadzieję, że Hasso wybierze sobie jakąś bogatą brzydulę, która nie będzie stanowiła dla niej żadnego zagrożenia. Spełni obowiązek w stosunku do narodu i będzie wypoczywał w jej ramionach.

Przyciągnęła jego rudą głowę, którą miała zwyczaj określać jako „złotą”, do wciąż jeszcze pysznej piersi i rozchyliła kolana.

Pan von Klinck postukał rączką parasola w oparciu fotela kierowcy i kazał zatrzymać samochód. Wieczór był pogodny i ciepły, postanowił więc resztę drogi do domu przejść piechotą, żeby uporządkować myśli. Niecierpliwym gestem rozluźnił węzeł krawata i rzucił go na siedzenie. Kurt znajdzie go po przyjeździe i razem z teczką zanieśie do gabinetu. Ostatnio coraz częściej odnosił wrażenie, że brakuje mu powietrza, ale doktor Horn tłumaczył te dolegliwości nadwagą i brakiem ruchu. Zapisywał mu paskudnie śmierdzące ziółka i zalecił jarską dietę, pewnie dlatego, że Fuhrer nie jadał mięsa. Idiota. Pan von Klinck boleśnie zatęsknił za doktorem Hirschfeldem i jego cudownymi pigułkami.

Hirschfeld wyjechał już w trzydziestym trzecim do Ameryki i osiadł w gorącej Kalifornii, gdzieś na końcu świata, pod Sacramento. Wcale nie czuł się zagrożony, walczył w pierwszej wojnie światowej nad Sommą i Marną, za bohaterstwo na polu walki został nagrodzony Krzyżem Żelaznym II klasy i uważał, że odznaczenie ochroni go przed zakazem wykonywania zawodu. Z czasem jednak doszedł do wniosku, że nie jest ciekaw dalszego rozwoju wypadków.

-Wie pan, odnoszę wrażenie, że naród myślicieli stracił potrzebę rozmyślenia i cofnął się do swoich pierwotnych, prymitywnych instynktów - powiedział panu von Klinck przy pożegnaniu. - No to ja chyba przy tym nie muszę być.

Ostatnio pan von Klinck coraz częściej przyznawał mu rację. Na jego oczach Niemcy przemieniały się w coś na kształt gigantycznego obozu harcerskiego, w którym odbywał się nieustający festyn. Od morza do Alp maszerowało się przy dźwiękach bębnów i trąbek, jodłowało i tańczyło ludowe tańce, poklepując się po pośladkach i udach. Kto mógł się temu oprzeć? A przede wszystkim: kto chciał się oprzeć? Wyróżnić się i odróżnić? Tysiącami oczu patrzyła na niego jedna masa, wciśnięta w takie czy inne mundury - SA, SS, NSDAP,

HJ, BDM -jednakowe dziewczynki z mysimi ogonkami, dyndającymi na plecach, jednakowi chłopcy w krótkich spodenkach, z chustami na szyi - jednego z nich miał u siebie w domu - jednakowi mężczyźni w oficerkach i coraz podobniejsze do siebie kobiety, które z miłości do Fihrera przestały malować sobie usta. Poza Toni, oczywiście, która dla żadnego wodza nie była skłonna zrezygnować ze szminki i modnych szmatek.

Na myśl o Toni pan von Klinck uśmiechnął się z rozczuleniem i po jego piersi rozlało się miłe ciepło. Jego mała, dzielna żona spodziewała się czwartego dziecka. Przez całe lato chodziła rozdrażniona jak zadziorna osa, narzekała na bezsenność, spuchnięte kostki i zrujnowaną figurę, ale on sam cieszył się na to nowe dziecko bardziej niż na wszystkie poprzednie.

- Klinck, chłopie, niech cię nie znam - w twoim wieku! - mówili z szacunkiem panowie z Klubu Przemysłowego, poklepując go z uznaniem po ramieniu. Pan von Klinck pękał z dumy. Wgłębi ducha miał cichą nadzieję, że będzie to chłopiec - oby mniej rozmarzony od Joachima.

Biedny Jo z wielkim trudem przebijał się przez męki dojrzewania. Twarz miał w okropnym stanie, na jej widok każdy z domowników czuł się w obowiązku zawołać: „Tylko nie dotykaj rękami, bo zakazisz!” i pospiesznie odwracał wzrok. Toni przemyciała ofiarnie jego przyszcze wodą salicylową i wpychała w niego góry twarożku, który zdaniem doktora Horna miał czynić cuda, ale nie czynił. Doktor Hirschfeld na pewno by coś wymyślił.

Joachim cierpiał katusze nie tylko z powodu skóry, która przypominała krwawą ranę. Jeszcze bardziej upokarzało go, że nie miał najmniejszej kontroli nad swoim głosem i nigdy nie wiedział, kiedy mu się w pół zdania załamie i zamieni w kogucie pianie albo zgrzyt noża po szkle. Caro i Elbę przedrzeźniały go i wyśmiewały niemiłosiernie. Były w wieku, w którym dziewczynki odkrywają w sobie całe otchłanie złościwości, tak przydatnej kobietom w późniejszym życiu. Johannes bardzo współczuł synowi i chętnie by mu ulżył, a chociażby porozmawiałby z nim jak mężczyzna z mężczyzną, ale pojęcia nie miał, jak się do tego zabrać: nikt go nie nauczył. Jego



własny ojciec też był w podobnych sytuacjach kompletnie bezradny i sięgał po pomoc pastora albo lekarza. Pan von Klinck przynajmniej próbował. Zagadywał Joachima o szkołę, kolegów, zainteresowania, ale nie odnosił wrażenia, że rozmowy te są chłopcu pomocne.

- Jakieś nowe przedmioty w tym roku, synu?

- Owszem, papo. Na przykład nauka o rasach.

- Coś w rodzaju antropologii?

- Tak jakby. Mierzyliśmy sobie dziś czaszki. W podręczniku było podane, jakie wymiary powinna mieć czaszka nordycka.

- Ciekawe. Jak wypadła twoja czaszka?

Joachim parsknął śmiechem i zakrztusił się twarożkiem, który Toni kazała mu zjeść. Parę białych grudek wylądowało na wykrochmalonym gorsie koszuli Johanna, ale udał, że tego nie zauważył.

- Przepraszam, papo, ale to takie pocieszne. Wyobraź sobie: zupełnie do kitu.

- Czaszka von Klincków do kitu? - zdziwił się pan von Klinck.

- Od XV wieku była w najlepszym porządku.

- Ale nie według podręcznika. Według podręcznika jedyną poprawną nordycką czaszkę ma Jakub Herschl, a on jest niewątpliwie Żydem.

- Och. Jakaś bzdura, ta nauka o rasach. To znaczy, masz w klasie Żydów? - Chciał powiedzieć: "Jeszcze", ale ugryzł się w język.

- Dwóch. Inni... no, jakoś znikli. Jak doktor Hirschfeld. Szkoda, że doktor Hirschfeld wyjechał do tej Kalifornii. Na pewno by mi coś poradził na te cholerne pryszczki. Może kiedyś wróci?

Pan von Klinck wolno pokiwał głową. Jemu też brakowało doktora Hirschfelda i partyjek szachów przy kieliszku mozelskiego.

- Miejmy nadzieję. Co do tych żydowskich kolegów... mam nadzieję, traktujecie ich dobrze?

Joachim zastanowił się. Bezwiednie przesunął palcem po skórzanym ściągaczu chusty.

- W ogóle nie traktujemy. My jesteśmy w Hitlerjugend, a oni nie. To znaczy, że nie biorą udziału w naszych wycieczkach, biwakach, zawodach sportowych i tak dalej. Oni chyba mają jakąś swoją organizację. Spotykamy się tylko na lekcjach.

- Ajajajaj... - westchnął pan von Klinck. - Co za czasy!

- Niedobre? - chciał wiedzieć Joachim.

- Bo ja wiem? I tak, i nie. Interesy idą świetnie. Niemcy rosną w siłę. Kraj Saary wrócił do Rzeszy. Buduje się autostrady. Ludzie mają pracę, są zadowoleni. Dzięki KdF<sup>1</sup> mogą po raz pierwszy w życiu gdzieś wyjechać, coś zobaczyć. Kto to przedtem słyszał, żeby robotnik podróżował? A teraz może choćby i na Maderę. Ale...

- Ale co?

- Ale ty nie jesteś robotnikiem, tylko von Klinckiem. Nam nie może podobać się glajchsztaltowanie<sup>2</sup>, bo my zawsze byliśmy inni - oświadczył z mocą pan von Klinck. - Od wieków. Dwa lata wyrównywania w dół tej odrębności zmienić nie mogą, nawet jeżeli wcisnęli cię w ten sam mundurek, co tysiące innych chłopców.

- Kiedy ja lubię ten mundur - Joachim pogłaskał czule sprzączkę pasa. - Mnie się podoba. Przedtem wszyscy mnie wytykali palcem, bo przywozi mnie szofer i gram na fortepianie, teraz jestem taki jak inni. Jestem Kameradschaftsführer, dowodzę zastępem - wiedziałeś o tym? Chłopaki muszą stać przede mną na baczność, póki nie powiem: spocznij! Jak maszerujemy, to ja idę na przodzie i ja decyduję, co śpiewamy.

Zerwał się z krzesła, wyprężył i zaśpiewał z przejęciem:

*Słyszycie, jak bęben was woła,  
Jak wzywa wszystkich was,  
Dźwięczy w dołinach dokoła,  
Trwożnego lęku minął czas<sup>3</sup>.*

Przy ostatnich słowach głos mu się załamał i zapiał jak kogut.

- Och... - jęknął pan von Klinck i nie wiadomo było, czy dotyczyło

<sup>1</sup> Kraft durch Freude - narodowosocjalistyczne stowarzyszenie, organizujące tani, masowy wypoczynek.

<sup>2</sup> gleichschalten - ujednoczenie

<sup>3</sup> Hört ihr die Trommel schlagen?

Sie ruft euch allzumal!

Vorbei das bange Zagen,

Heli braust's von Tal zu Tal (hymn Hitlerjugend).

to treści, czy też wykonania. Joachim spuścił głowę przygnębiony. Po raz nie wiadomo który odniósł wrażenie, że czymś rozczarował ojca.

- Nie spodobało ci się, papo?

- Skądże znowu, a więc Kameradschaftsführer, gratuluję, bardzo pięknie, bardzo pięknie - zapewnił go pan von Klinck pospiesznie. - Wpajanie cnót żołnierskich od małego, to niewątpliwie bardzo chlubny cel. Tylko... cały naród w mundurze... tego jeszcze nie było. Jako cywil zaczynam się czuć okropnie nie na miejscu. Ale takie koszarowe podejście do obywateli pewnie bardzo ułatwia organizację.

Kiedy pan von Klinck wspomniiał tę rozmowę z synem, zrobiło mu się nagle zimno. Wieczorne powietrze wydało mu się jednak ostre, postawił więc kołnierz płaszcza i przyspieszył kroku. Rączką parasola energicznie rozgarniał ciemności, słabo tylko rozjaśnione blaskiem ulicznych latarni, wokół których kropelki deszczu wirowały jak świetliki. Obecne czasy budziły w nim sprzeczne uczucia i to go złościło. Owszem, było jego gorącym życzeniem, żeby Joachim wyrósł na silnego, odważnego chłopca. Wydawałoby się, że Hitlerjugend stwarza ku temu idealne ramy: koleżeństwo, sport, gry terenowe, biwaki. Joachim czuł się tam dobrze i może po raz pierwszy w życiu znalazł przyjaciół. Pan von Klinck powinien być zachwycony, ale nie był i wciąż zachodził w głowę, dlaczego. Czyżby niepokoiło go, że ktoś albo coś ma więcej wpływu na jego syna niż on sam? A może nie podobało mu się, że w śpiewniku Hitlerjugend "Jutrzenka" rymowała się z „wojenką”, a „poranne zorze” z „krwi morze”?

Pogrążony w rozmyślaniach nie zauważył nawet, kiedy wyłonił się przed nim jego dom, przyjazny, gościnny, jarzący się światłami okien. Na ten widok opadło z niego rozdrażnienie i ogarnęło kojące ciepło. Dom wydał mu się arką, bezpieczną przystanią w bezmiarze niepokoju i wątpliwości. Uniósł parasol, żeby popchnąć nim bramę, ale w tym momencie przypomniało mu się, że czeka go jeszcze rozmowa z doktorem Goldbergiem i dobry nastrój zniknął bez śladu.

Być może panu von Klinck udałooby się uniknąć tej rozmowy, gdyby miał inną kucharkę. Martha gotowała wyśmienicie, jej sosy były w Berlinie legendą - Annelies von Ribbentrop od lat bezskutecznie żebrała o przepis na bearnaise - ale była matką Antona, a Anton budził w panu von Klinck szczerą i serdeczną niechęć. Fronk był ostatnim człowiekiem, którego pan von Klinck miałby ochotę zobaczyć, kiedy pewnego niedzielnego, słonecznego przedpołudnia powrócił z nabożeństwa, zakończonych miłą pogawędką z pastorem Kummerlein. Pod wpływem jego kazania o temacie: „Jezus, twój jedyny Zbawca”, nasunęło się panu von Klinck pytanie, czy, zdaniem pastora, jest rzeczywiście możliwe, żeby Hitler został zesłany przez Boga, jak to wyczytał w ulotce Niemieckich Chrześcijan? Twierdzili oni, że Opatrzność chciała w ten sposób naprawić niesprawiedliwość traktatu wersalskiego, ale czy Bóg nie mógł sobie poradzić sam, bez pomocy Hitlera? Odpowiedź pastora ogromnie go uspokoiła: on też nie mógł sobie wyobrazić, żeby Bóg w wielkości swojej w ogóle zajmował się jakimikolwiek traktatami.

Pan von Klinck miał właśnie zamiar przemyśleć sobie to wszystko spokojnie w bibliotece przy kieliszku wytrawnego sherry, kiedy rozległ się ordynarny tupot butów i na schody hallu wbiegł Anton Fronk. Naziści nie tylko przepadali za długimi butami, przede wszystkim uwielbiali nimi tupać. Wprowadzili zupełnie nowe rodzaje hałasów i wyrażali się przy ich pomocy, manifestowali nimi nastroje i stany ducha. Istniało energiczne tupanie, dynamiczne tupanie, zaaferowane tupanie, pracowite tupanie, groźne tupanie, zastrasżające tupanie i tak dalej. Zanim się ich widziało, już się ich słyszało.

Pan von Klinck zatrzymał się z ręką na poręczy i surowo spojrzął na nieproszonego gościa.

- Pan Fronk? Nie słyszałem, żeby ktoś pana zameldował.

- Nie mam czasu na takie formalności - wzruszył beczelnie ramionami Anton. - Sprawa nie cierpi zwłoki.

- Nie cierpi? No to proszę za mną.

Bardzo niezadowolony, że zakłóca mu się spokój niedzielnego popołudnia, wysunął ze złością dolną wargę, odwrócił się plecami do Fronka i pomaszerował do biblioteki. Wygięcie jego grzbietu

i gniewnie rozwiane poły marynarki dawały do zrozumienia, że uważa tę wizytę w Dzień Pański za skandaliczną. Anton jednak wcale się tym nie przejął i niewzruszenie deptał mu po piętach.

Biblioteka była sanktuarium pana von Klinck. Tutaj uciekał przed zgiełkiem domu, szczebiotem dzieci, kaprysami żony, odpowiedzialnością za taśmy produkcyjne i koła zębate. Było to jedyne pomieszczenie, którego wystroju nie pozostawił smakowi Toni - każdy mebel, każdy bibelot wybierał sam. Lśniący mahoń przeszklonych szaf bibliotecznych, ciemna skóra foteli, ciężkie złożone ramy obrazów, kominek z kararyjskiego marmuru, sprężysty jak mech dywan, alabastrowa lampa na biurku - odpowiadały całkowicie jego upodobaniom: kosztowne, nobliwe, ale praktyczne i skromne. Zamknął za sobą obite filcem dwuskrzydłowe drzwi, które odgradzały go od reszty świata, i opadł ciężko na spartańsko twarde krzesło za biurkiem. Nie miał najmniejszego zamiaru proponować Antonowi, żeby usiadł, ale ten sam przysunął sobie fotel i usadowił się w nim wygodnie, zakładając nogę na nogę. Portrety spojrzały ze ścian na intruza z oburzeniem, a pan von Klinck poczuł, że ogarnia go furia. Czubek wyglancowanego buta kołysał się nonszalancko przed jego nosem, szarpiąc mu nerwy, opaska ze swastyką kwitła jaskrawą czerwienią, psując harmonię stonowanych barw.

- No więc, o co chodzi? - zaczął niecierpliwie, marszcząc brwi.
- Chyba pan wie, że mój czas jest cenny.
- O Żyda Goldberga.
- Miał pan pewnie na myśli doktora Goldberga.
- Miałem na myśli Żyda Goldberga.

Pan von Klinck westchnął i uniósł oczy ku niebu. Już wiedział, że przecucie go nie myliło: rozmowa będzie nieprzyjemna.

- Słucham, panie Fronk.
- Na pewno jest panu wiadomo, że w myśl Ustawy o Odnowieniu Stanu Urzędniczego nie leży w interesie narodu niemieckiego, żeby odpowiedzialne stanowiska w kraju zajmowały osoby, które do tego narodu nie należą-wyrębał Anton, pochylając się nad biurkiem. Pan von Klinck cofnął się instyktownie i wciągnął głowę w ramiona jak zółw. - Produkcja pańskich zakładów jest dla Rzeszy ważna, w tym

sensie ma znaczenie publiczne, i dlatego jest niedopuszczalne, żeby kierował nimi ktoś, kto nie jest aryjskiego pochodzenia. Partia zleciła mi powiadomić pana, że Żyd Goldberg ma zostać zwolniony do końca miesiąca. W innym przypadku zostaną cofnięte wszystkie zamówienia państwowe.

Pan von Klinck z trudem przełknął grudę, która zasznurowała mu gardło. A więc to tak. Trzy cygara, doktorze Goldberg, trzy cygara zdecydowały o pańskim losie, zrobiły z tego małego złodzieja wielkiego wroga, który nie spocznie, dopóki nie wytoczy z pańskich żył ostatniej kropli krwi. Żydowskiej krwi. Ach, trzeba było mu dać te cygara, niechby się nimi udławił, bo jakże to nędzna cena za pana życie - te trzy cygara!

- Czy partia zdaje sobie sprawę, w jak trudnej sytuacji mnie stawia, każąc mi się pozbyć mojego najlepszego pracownika w tak krótkim czasie? Załamie się cała produkcja, którą pan sam był uprzejmy nazwać ważną dla kraju. Znalezienie odpowiedniego następcy doktora Goldberga jest zadaniem niezwykle skomplikowanym, wręcz niemożliwym. Potrzebuję na to przynajmniej roku.

- Czternaście dni, panie von Klinck, i ani dnia dłużej - powiedział Anton dobitnie. - Heil Hitler!

Podniósł się, strzelił obcasami na znak, że rozmowa została zakończona i wyszedł. Chciał trzasnąć drzwiami, ale nie udało mu się: gruby filc cmoknął zaledwie, psując cały efekt.

Pan von Klinck chwycił się za serce, łapczywie łapiąc powietrze ustami jak wyrzucony na piasek karp. Co za bezczelność! W jego własnym domu! Wśród portretów przodków i białych kruków! Syn kucharki!

Wpadł na schody i ryknął:

- Antonio!

Słyszając imię, którym mąż nigdy jej nie nazywał, Toni zrozumiała natychmiast, że stało się coś okropnego i śmignęła po stopniach, podtrzymując rękami wielki brzuch. W najmroczniejszych głębiach jej ducha zaświtała nadzieja, że wiadomość będzie wystarczająco wstrząsająca, żeby udało jej się poronić. Każdego dnia umierała ze strachu, że dziecko urodzi się podobne jak kropla wody do Hassa.

Ostatniej nocy śniło się jej, że pochyla się nad becikiem, w którym leży pokryte rudym puchem niemowlę.

- Najdroższy, co się stało?

- Zwolnij kucharkę, natychmiast!

- Marthę? Ależ dlaczego? Czyżby coś przypaliła?

- Gorzej! Wydała na świat tego bęcwała, który ma czelność walić butami po moich schodach i rozkazywać mi - rozumiesz? On - mnie! - żebym wyrzucił doktora Goldberga. Nie cofnął się nawet przed szantażem, wyobraź to tylko sobie! Zagroził mi, że partia zablokuje zamówienia państwowe, jeżeli nie pozbędę się Goldberga. Takie nic, taki prostak, taki cham - pod moim własnym dachem!

Toni natychmiast spoważniała. Objęła mocniej ramionami brzuch i, postugując się nim jak taranem, wepchnęła pana von Klinck z powrotem do biblioteki. Starannie zamknęła drzwi.

- W takim razie będziesz musiał się go pozbyć.

- Oszalałaś? Mojego najlepszego pracownika? Goldberg jest dla mnie tyle wart, ile waży w złocie. Ani mi się śni. Wyrzucić kucharkę i nie wpuszczaj Antona za próg.

- Nic nie będzie wart, jeżeli stracisz przez niego firmę. Nawet gdybym zwolniła Marthę, ku czemu nie ma najmniejszego powodu, bo ta kobieta gotuje jak anioł, niczego to nie zmieni. Chyba nie sądzisz, że partia zapomni o doktorze Goldbergu? Wprost przeciwnie, dopiero wtedy Anton będzie się mścił na dobre. Bo przecież chodzi o zemstę, prawda? O te nieszczęsne cygara? Lepiej zrobisz, namawiając Goldberga do wyjazdu, zanim znajdą jakiś powód, żeby go zamknąć w kaciecie. Wystarczy, żeby ktoś zaświadczył, że oddawał się praktykom homoseksualnym albo rozdawał ulotki komunistyczne.

Pan von Klinck spojrzał na żonę z przerażeniem.

- Antonio! Co ja słyszę! Cóż ty możesz wiedzieć o kacetach, komunistach i praktykach homoseksualnych?

- To i owo. Od modystki. Pojęcia nie masz, o czym rozmawiają panie, przymierzając kapelusze - powiedziała lekko Toni. W rzeczywistości źródłem jej informacji był rozczarowany Himmlerem Hasso. - Wystarczająco dużo, żebyś serdecznie doradził doktorowi Goldbergowi wyjazd. Uwier mi, tak będzie dla wszystkich najlepiej.

Jakoś znajdziesz kogoś na jego miejsce, a o dobrą kucharkę jest okropnie trudno. A teraz wypij jeszcze kieliszeczek sherry i postaraj się uspokoić, mój drogi. Myśl o twoim ciśnieniu.

- Ale ja nie chcę widywać tego człowieka w moim domu - poskarżył się pan von Klinck, słabnąc wyraźnie.

- O ile wiem, przebywa głównie w Monachium i nie będzie cię nachodził. Porozmawiam zresztą z Martha.

Toni wycisnęła na czole męża macierzyński pocałunek. Przyciągnął ją do siebie i położył rękę na jej brzuchu.

- Przepraszam cię, moje biedactwo. Poniosły mnie nerwy, a ty w twoim stanie powinnaś unikać emocji - powiedział skruszony, wtulając twarz w jej pachnące piersi. - Nie mogę się już doczekać, żeby zobaczyć naszego syna.

- A cóż dopiero ja - westchnęła smętnie Toni.

Drzwi otworzyła Kathi, w świeżo wykrochmalonym koronkowym stroiku przypiętym do włosów, które ostatnio zwijała na uszach jak obwarzanki.

- Ładna fryzura - pochwalił pan von Klinck. Kathi zaróżowiła się z radości i bezwiednie podniosła ręce do głowy, ale natychmiast je opuściła, żeby pan von Klinck mógł na nie rzucić kapelusz i płaszcz.

- Pan doktor Goldberg czeka w bibliotece - zameldowała. - Pozwoliłam sobie podać mu sherry, to z kryształowej karafki.

- Bardzo dobrze. Dopilnuj, żeby nam nie przeszkadzano.

- Tak jest, proszę pana. Oczywiście.

Doskonale wiedziała, że przykładając ucho piętro niżej do przewodu kominkowego i tak będzie mogła usłyszeć każde słowo rozmowy i powtórzyć je w kuchni. Wszyscy byli bardzo ciekawi, o czym pan von Klinck chce mówić z Goldbergiem, szczególnie Martha. Chodziła nadęta jak paw i dawała do zrozumienia, że Anton ma coś wspólnego z tą wizytą.

Kathi musiała się jednak rozczarować, bo pan von Klinck wprowadził gościa do połączanego z biblioteką rozsuwanymi drzwiami małego pomieszczenia, którego używał czasami jako palarni.



Były w nim tylko dwa wygodne fotele, wykładany intarsją okrągły stolik, na którym stało srebrne pudełko z cygarami, i spora palma w ozdobnej donicy.

- Cygaro, panie doktorze? - zapytał pan von Klinck. Szukając oparcia w czynnościach gospodarskich, rozstawiał starannie kieliszki, rozlewał bursztynowy trunek, oglądał go krytycznie pod światło, ugniatał i obwąchiwał z namaszczeniem cygara.

- Chętnie. Pan chciał ze mną rozmawiać?

- Tak. To znaczy nie. Ach, żeby to wszyscy diabli, Goldberg! Żyjemy w dziwnych czasach.

- Zauważyłem - pomógł mu doktor Goldberg. - Najlepiej niech pan wali prosto z mostu.

- Kiedy nie wiem, jak zacząć - wyznał pan von Klinck nieszczęśliwym głosem. - Chodzi o tę okropną ustawę. Osobiście uważam ją za haniebną.

- A I e jest.

- A I e jest, niestety. 1 są też ludzie, którzy chcą, żeby słowo stało się ciałem i wprowadzają ją w życie. Tam do diaska, doktorze: czy nigdy nie pomyślał pan o wyjeździe?

W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, pan von Klinck usłyszał wyraźnie, jak piszczy żałośnie jego zdenerwowany żołądek. Zanim skończy się ta hitlerowska heca, będzie miał jak amen w pacierzu wrzody na dwunastnicy. Cały jego organizm rozpaczliwie bronił się przed tą rozmową.

- Wyjechać - powtórzył w zamyśleniu doktor Goldberg. - Nie, właściwie nie. To mój kraj. Moja rodzina żyje tu od osiemnastego wieku, uważam się za patriotę. Dlaczego miałbym wyjeżdżać? Tylko dlatego, że chwilowo doszła do władzy garść fanatyków? Nie, proszę pana. Ja wierzę w wielką kulturę niemiecką. Dwa lata złych rządów nie są w stanie jej zniszczyć.

- Garść, dobre sobie - westchnął pan von Klinck. - Moim zdaniem wygląda to raczej na żywioł. I wcale nie jestem już taki pewny, że za rok, dwa, będzie po wszystkim. Ale może być po panu.

- Doprawdy? - Krzaczaste brwi doktora Goldberga powędrowały do góry jak dwie zdumione liszki.

- Ma pan wrogów, panie doktorze. Jednego sam pan sobie zrobił. Pamięta pan młodego Fronka, syna naszej kucharki? Wyrzucił go pan z pracy. Dziś Fronk jest zasłużonym weteranem Ruchu, jednym z tych bażantów złocistych<sup>1</sup>, że tak powiem. Jest obwieszony różnymi medalami jak choinka. Partia nie zapomniała o jego zasługach, a on nie zapomniał o panu.

- Trzy cygara - przypomniał sobie doktor Goldberg. - Może byłem zbyt surowy, ale nie żałuję tego. Ręce naszych pracowników muszą być nieskazitelnie czyste, nic się do nich nie może przyklejać. Trzy cygara to istotnie niewiele, ale od rzemyczka do koniczka.

- Teraz te ręce mogą coś panu przykleić, panie doktorze. Panie Goldberg, niech pan nie robi sobie żadnych iluzji. Oni nie spoczną, póki ostatni... ostatni...

- Żyd? - podpowiedział doktor Goldberg.

- ...nie opuści tego kraju. Nazywają to aryzacją.

- Odżydzaniem, chciał pan pewnie powiedzieć. Kulturę Goebbels już odżydził, bardzo się od tego czasu uprościła. W kinach i teatrach same lekkie, przyjemne rzeczy, nic, co by męczyło umysł. Życzy pan sobie, żebym uprościł im sprawę?

- Niczego sobie nie życzę. Ja tylko pana proszę, żeby się pan poważnie zastanowił nad sytuacją. Nie muszę panu mówić, jak bardzo pana szanuję i cenię. Uważam pana nie tylko za mojego najlepszego współpracownika, uważam pana za przyjaciela. 1 jako przyjaciel zaklinam pana: niech pan wyjedzie, chociażby na rok, dwa, aż się tu wszystko uspokoi. Wpłaciłem na konto w Szwajcarii sporą sumę, która umożliwi panu dłuższy pobyt za granicą. Wróci pan, kiedy to minie. Pańskie miejsce w firmie będzie na pana czekało, nawet biurka nie pozwolę ruszyć. Chyba mi pan ufa?

Pan von Klinck, wzburzony do granic wytrzymałości, ujął w obie ręce prawicę doktora i potrząsał nią w rytm swoich słów. W oczach miał błaganie.

<sup>1</sup> „Bażantami złocistymi” (Goldfasane) nazywano dostojników partyjnych, ze względu na jasnobrunatne mundury i złociste odznaki partyjne.

- Państwowe zamówienia, prawda? - domyślił się doktor Goldberg. - Grożą panu, że je cofną?

Pan von Klinck nie odpowiedział. Zwiesił głowę, ssąc z pasją wygasłe cygaro.

- Firma potrzebuje tych zamówień - przerwał milczenie doktor Goldberg. - Nie możemy sobie pozwolić na ich utratę.

Podbródek pana von Klinck przytaknął smętnie.

- Dobro firmy było przez całe moje życie najwyższą wartością.

- Najważniejsze - szepnął pan von Klinck - jest pana życie. Obawiam się, że znajdzie się ono w niebezpieczeństwie, jeżeli nie opuści pan Niemiec.

- Niemcy były zawsze krajem prawa i porządku - skarcił go surowo doktor Goldberg.

- Były... sam pan powiedział: były. Ale czy nadal są?

- No cóż, Ameryka jest podobno krajem ogromnych możliwości. Porozmawiam o tym z żoną.

- Koniecznie! - ucieszył się pan von Klinck. - Kobiety mają więcej instynktu od nas, są pod tym względem niezawodne. Czy mówiłem panu, że Toni znowu spodziewa się dziecka? Wszyscy patrzymy w przyszłość i wierzymy, że wszystko dobrze się skończy.

- Niewątpliwie. Proszę przekazać pani von Klinck moje najserdeczniejsze gratulacje.

- Dziękuję. Toni też prosiła, żeby pana pozdrowić, ona... bardzo się o pana martwi. Co za czasy, doktorze, co za czasy!

- Czasy są takie, jak ludzie, którzy je kształtują. - stwierdził filozoficznie doktor Goldberg. - Na szczęście mają to do siebie, że mijają.

- Oby, doktorze, oby. Pytanie tylko: kiedy? Powiem panu coś: moim zdaniem, to wcale nie chodzi o... o Izraelitów. Ktoś po prostu zrozumiał, że podsycając nastroje antysemityczne można robić politykę. Trzeba było rzucić masom kogoś na pożarcie. Jak naziści się wyszumiają, okrzepną, nie będzie to im już potrzebne i wszystko przyschnie.

- To bardzo uspokajające - zgodził się uprzejmie doktor Goldberg.

- Chodzi tylko o to, żeby ten czas, który uważam za przejściowy, przeczekać bez szwanku. Więc to konto w Szwajcarii... w tej kopercie znajdzie pan niezbędne dane. Niech pan potraktuje ten wyjazd jak długi, zasłużony urlop. Zawiadomię pana, kiedy sytuacja się wyjaśni. Wróci pan wypoczęty, pełen energii i znowu będziemy razem pracowali jak zawsze. Jakby nigdy nic.

- Doprawdy?

- Jestem o tym zupełnie przekonany. - Pan von Klinck wstał i mocno uściśnął rękę doktora. Po chwili wahania serdecznie poklepał go po ramieniu, co było u niego niespotykanym objawem wylewności.

- Niech się pan cieszy życiem, Goldberg. Podróżuje, chodzi do teatru, ogląda w galeriach obrazy - niech pan robi to wszystko, na co do tej pory firma nie pozostawiała panu czasu. Wie pan co, mój drogi? Prawie panu zazdroszczę.

Oczy jak dwie czarne oliwki spoczęły na nim z uwagą.

- Niech się pan nie trudzi, panie von Klinck. Przecież ja i tak wiem, że jest pan człowiekiem honoru.

Doktor Goldberg wyszedł z biblioteki, ale jego słowa zawisły w przestrzeni, zaplątane w zielone portiere, jak rój zabłąkanych pszczoł i nadal brzmiały w uszach pana von Klinck. Sięgnął po kafełkę, żeby pozbyć się przykrego smaku w ustach. Bóg jeden wiedział, jak ciężko mu przyszło przeprowadzić tę rozmowę. To, co się działo z Żydami, było haniebne, krzyczało o pomstę do nieba, Goldberg niczym sobie nie zasłużył na takie traktowanie. Ale jakie miał wyjście? Rozpaczliwie potrzebował tych rządowych zamówień, ponosił odpowiedzialność za żonę i dzieci, za firmę, za setki ludzi, którzy dla niego pracowali. Zresztą Toni pewnie miała rację: takie rozwiązanie było dla Goldberga najlepsze, nawet gdyby nie był Żydem, partia nigdy by o nim nie zapomniała. Ludzie ginęli bez śladu, umierali w więzieniach „na nerki”, zawleczeni do „brunatnych domów”<sup>1</sup> popełniali ot tak, bez powodu, samobójstwo, przepadali bez wieści w obozach pracy. Akurat o kacetach pan von Klinck coś

<sup>1</sup> Braunes Haus - lokalna siedziba NSDAP

niecoś wiedział, bo w jednym z nich wylądował już w pierwszych miesiącach po dojściu do władzy nazistów wnuk portiera Kieckbuscha. Kieckbusch był siwym jak gołąbeczek poczciwcem z długą brodą, wąsami jak krasnal i policzkami rumianymi jak jabłuszka. Zaczynał w firmie przed pół wiekiem jako goniec, jeszcze za czasów ojca pana von Klinck, i zrósł się z nią niczym część wyposażenia. Przez stenotypistki uważany był za maskotkę, młodsze głąaskały go przed pójściem na randkę po brodzie, wierząc, że przynosi to szczęście i adorator w końcu się zdeklaruje. Kiedy młodego Kieckbuscha aresztowano i ślad po nim zaginął, z policzków portiera zniknęły rumieńce, a broda poszarzała i zaczęła przypominać brudną watę. Któregoś dnia przypadł do ręki pana von Klinck i płacząc zaczął go błagać, żeby ratował jego wnuka, bo na pewno nie wróci z obozu żywy - stamtąd odsyłają tylko w trumnie.

- A nie mówiłem, Kieckbusch, żeby nie buntował mi robotników? - powiedział pan von Klinck surowo, wrywając rękę. - Sam się doigrał. Latał po fabrykach i rozdawał bolszewicką bibułę, to go teraz przyskrzynili.

- Co ja się nie naprosiłem, proszę łaskawego pana, co ja się nie nabłagałem! Tłumaczyłem jak komu dobremu, ale to młode, głupie, komuniści mu w głowie przewrócili. A ja przecież już tylko jego jednego mam na świecie, obaj moi chłopcy zginęli nad Sommą.

Pan von Klinck pomyślał o Joachimie i poczuł ukłucie w sercu. Gdyby to jego syn padł na wojnie, albo odbili mu nerki w wężeniu...

- Żal mi was, Kieckbusch, ale co ja na to poradzę? Chętnie bym wam pomógł, sami jednak wiecie, że z tych obozów nikogo nie wypuszczają.

- Łaskawy pan może wszystko.

Pracownicy pana von Klinck byli głęboko przekonani, że jest, jak dobry Bóg, wszechmogący. Ta niezłomna wiara czasami mu pochlebiała, ale znacznie częściej nakładała na jego barki ciężar, który nie zawsze był w stanie podźwignąć.

- No dobrze, Kieckbusch, spróbuję, ale niczego nie obiecuję. Przestańcie, przestańcie, nie obśliniajcie mi rąk, powiedziałem przecież: niczego nie obiecuję.

W przypadku młodego Kieckbuscha pan von Klinck rzeczywiście odegrał rolę Pana Boga. Dzięki kontaktom Hassa, rozgałęzionym niczym macki ośmiornicy, udało mu się ustalić miejsce pobytu aresztowanego i znaleźć wysoko ustawioną w hierarchii partyjnej osobistość, która nie miała nic przeciwko temu, żeby dostać w łapę. Hannes został zwolniony. W tym samym dniu, w którym szczęśliwie dotarł do Berlina, stary Kieckbusch wysłał go do pana von Klinck, żeby mu podziękował. Na jego widok pan von Klinck przeraził się: Hannes wyglądał jak upiór - skóra i kości. Ręce mu latały, w oczach czaił się strach jak u zagonionego zwierzęcia. Kiedy pan von Klinck podsunął mu litościwie kieliszek koniaku, nie mógł go utrzymać w dłoni, zęby mu dzwoniły o szkło. Odstawił niewypity.

- No tak, Kieckbusch, jak widzę, dostaliście za swoje. Mam nadzieję, że to was czegoś nauczyło. Nie będziecie mi już agitowali w fabryce?

Hannes potrząsnął bez słowa głową.

- Żadnych bolszewickich bibuł?

Ponowny ruch prawie tysej czaszki.

- No to świetnie. Pójdźcie do Goldberga, niech wam znajdzie jakąś robotę, powiedzcie, że to ja kazałem. Ale pamiętajcie: robię to tylko dla waszego dziadka. Bo wasz ojciec walczył i zginął za ojczyznę. Tylko dlatego.

Hannes zwiesił głowę.

- No to już idźcie. Macie tu parę marek, kupcie sobie jakieś ubranie, żebyście wyglądali jak człowiek. Ach, zaczekajcie jeszcze chwileczkę. Gdzie wy byliście? W Oranienburgu? Powiedzcie mi: jak tam właściwie było?

Młody Kieckbusch zatrzymał się z ręką na klamce. Odwrócił się powoli i spojrzał na pana von Klinck. Oczy miał pełne grozy. Nadał milczał i pan von Klinck przeraził się, że w obozie wyrwano mu język.

- Hannes? Czemu nic nie mówicie? Straciliście głos?

- Czy pan potrafi milczeć, panie von Klinck? - odezwał się nagle szkielec w fachmanach.

- To się chyba samo przez się rozumie. Inaczej by was tu nie było.

- Ja też - powiedział młody Kieckbusch i wyszedł z pokoju.

Tak, wyjazd był w przypadku Goldberga niewątpliwie najlepszym rozwiązaniem. Bóg jeden wie, co jeszcze mogło mu się przytrafić, gdyby pozostał w Niemczech. A jednak była to krzycząca niesprawiedliwość. Ci wszyscy Żydzi... trudno o lojalniejszych, bardziej oddanych ojczyźnie obywateli, a teraz przestali do nich należeć. Ach, jakie to było przykre, jakie okropnie przykre! Pan von Klinck w rozterce pociągnął łyk sherry.

Spokojną zazwyczaj Orzechową wstrząsnął nagle grzmot werbli i zmiótł w jednej chwili echo głosu doktora Goldberga. Zaciekawiony pan von Klinck podszedł do okna i uchylił zasłonę. Ulicą płynął potok umundurowanych ciał, oświetlony krwawym płomieniem pochodni. Huk podkutych butów, warczenie bębnow i słowa pieśni łączyły się w potężną falę, od której drżały mury i wibrowały szyby. Karne, zwarte szeregi, nad którymi wesoło łopotały flagi, przesuwały się przed oczami pana von Klinck, a taka biła od nich siła, taka moc, że ku swojemu zdumieniu poczuł nagle porywającą go dumę. To były nowe Niemcy, Niemcy odrodzone z hańby, pełne zdecydowania i wiary, kroczące w lepsze jutro. Na jego oczach rodziło się coś wielkiego, co zmieni bieg świata na zawsze.

Jeszcze wczoraj ci sami mężczyźni podpierali ściany w barach, obsikiwali w parkach drzewa, bez przyszłości, bez nadziei, w łachmanach, na samym dnie ludzkiego upodlenia. Teraz, osłonięci drelichem munduru, maszerując ku wskazanemu im celowi, stali się szerokością ramion w szeregu, parą oczu w kolumnie, trybikiem potężnej maszyny, maleńką cząsteczką czegoś ogromnego. Ale ramiona te były mocarne, a oczy błyszcząły radością: odzyskali swój sens. Mimo wszystkich wątpliwości, jakie budził w nim panujący reżim, pan von Klinck nie mógł jednoznacznie potępić czegoś, co przywróciło ludziom ich godność, a Niemcom potęgę. A że jednocześnie odebrało tę godność garsteczce nieszczęśliwych, wyrzuczonych poza nawias Narodu Wybranego... no cóż, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Pan von Klinck był zbyt wielkim patriotą, żeby nie pogodzić się z tą smutną koniecznością dziejową.

Podniósł kieliszek, salutując przeciągającym przed jego oknem odziałom i złożył doktora Goldberga na ołtarzu chwały narodowej.

Dzieci ciotki Gertrudy przysparzały jej samych zmartwień. Za mąż udało jej się wydać zaledwie jedną z córek, Fritzi, Rosel i Gundel nadal siedziały w domu, mimo przysłanych przez Toni sukien balowych. Suknie powoli wychodziły z mody, a panny z obiegu i jakoś nie wyglądało na to, że stan ten wkrótce ulegnie zmianie. Rosel zabijała czas, ucząc się stenografii u mecenasa Blaschke, Gundel wstąpiła do NS-Frauenschaft<sup>1</sup>, gdzie z zapałem przygotowywała się do przyszłej roli żony i matki, zdobywając wiedzę z zakresu higieny żywienia i gospodarstwa domowego. Zdaniem Gertrudy, czyste zawracanie głowy, bo na spotkaniach Kobiet Narodowosocjalistycznych z natury rzeczy nie bywali mężczyźni i Gundel nie miała najmniejszych szans na poznanie tam kogoś odpowiedniego, komu przydałyby się jej nowo zdobyte kwalifikacje.

Jedyny syn, Viktor, poszedł w ślady ojca. Studiował germanistykę i filozofię, dwa fakultety, które nie dawały chleba. Po ich ukończeniu nie znalazł, oczywiście, pracy i znów wprowadził się do swojego dzieciennego pokoju na poddaszu. Przez rok siedział na garnuszku rodziców, pisał najeżone wykrzyknikami i znakami zapytania wiersze, których nikomu nie pokazywał i, jak twierdził, „pracował koncepcjonalnie nad swoją przyszłością”. O tej przyszłości miał dość mętne pojęcie, wiedział tylko, że musi ona być zupełną przeciwnością panującej w Deutsch-Eylau stagnacji.

Z tych rozważań zrodził się pomysł założenia Wyższej Szkoły Korespondencyjnej, która umożliwiłaby zdobycie wykształcenia głodnej wiedzy ludności słabo zurbanizowanych regionów Rzeszy. Projekt ten, niewątpliwie śmiały i nowatorski, nie znalazł, niestety, uznania w oczach biurokratów z Ministerstwa Edukacji. Jedyny potencjalny sponsor, wuj Johannes, okazał umiarkowane zainteresowanie, ale zaznaczył jednocześnie, że jakiegokolwiek zaangażowanie finansowe

<sup>1</sup> Związek Kobiet Narodowosocjalistycznych



z jego strony „na tym etapie konkretyzacji przedsięwzięcia nie jest możliwe”. Oznaczało to uprzejmą, ale zdecydowaną odmowę. Viktor poczuł się zniechęcony. Miał dwadzieścia dziewięć lat, głowę pełną planów i rozpaczliwie chciał pracować, nikt jednak nie zamierzał dać mu szansy. W końcu zmuszony był przyjąć posadkę w banku - po protekcji, rzecz jasna. Zamiast pisać wiersze, podsumowywał długie kolumny cyfr, a dookoła człapali smętnie starzy urzędnicy o pustych i martwych oczach. Chciał zmienić świat, tymczasem wyglądało na to, że to świat zmieni jego.

Ale na szczęście był jeszcze Ruch. Ruch potrzebował takich jak on: niecierpliwych, zdecydowanych, żarliwych. Właśnie rodziła się koncepcja sieci ośrodków szkoleniowych dla elit przywódczych NSDAP i pomysł Viktora wydał się czynnikom partyjnym ciekawy. Nowa klasa rządząca dopiero co odbiła się od dna, pilnie potrzebowała szlifowania, ogłady, a nierzadko znajomości ortografii. Tego wszystkiego miała się nauczyć w akademiach partyjnych, pod kierunkiem młodej, dynamicznej kadry. Na takich jak Viktor czekano z otwartymi ramionami.

Viktor nie miał w sobie nic z rewolucjonisty i ani trochę nie interesował się polityką. W głębi ducha był romantykiem i poetą, ale bez wahania przyłączyłby się do każdego, kto by go wyprowadził z dzieciennego pokoju w Deutsch-Eylau, nawet do samego diabła. Patrzył w banku na otaczających go szarych staruchów w zaręczawkach i myślał tęsknie, że Ruch był sprawą młodych. W momencie przejścia władzy przez nazistów Heydrich miał dwadzieścia siedem lat, Speer dwadzieścia osiem, Himmler trzydzieści dwa, Goebbels trzydzieści pięć - dobry Boże, cóż to były za kariery! Jego miejsce było między nimi, to oczywiste. Czy należy się dziwić, że chciał do nich należeć? Że pragnął zostawić za sobą zakurzoną beznadziejność prowincjonalnego miasteczka i rzucić się w wielką przygodę?

Nie musiał się długo zastanawiać. Wpił się zębami w swoją szansę i pełen uniesienia ruszył do Berlina.

Pierwsze tygodnie w Berlinie Viktor spędził w domu wuja Johanesa. Toni, mimo zaawansowanej ciąży, uprzejmie zaofiarowała mu

pomoc w znalezieniu odpowiedniego mieszkania. Moment był wyjątkowo korzystny, na rynku nieruchomości otwierały się interesujące możliwości dzięki wyłączeniu własności związków zawodowych i lokalom żydowskim. Członkowie partii mogli je nabyć na fantastycznie korzystnych warunkach. Viktor był, co prawda, goły jak święty turecki, ale Johannes chętnie udzielił mu pożyczki: okazjne nabycie mieszkania należało do tych projektów, które uważał za wystarczająco konkretne. Zresztą szczerze lubił siostrzeńca, być może dlatego, że ze wszystkich dzieci Gertrudy Viktor najmniej mu przypominał siostrę.

Dzień, w którym Viktor przybył do Berlina, był, jak na koniec marca, niezwykle ciepły i Toni kazała podać kawę na tarasie. Gość, któremu przypadło miejsce plecami do drzwi, był tak głęboko pogrążony w ożywionej rozmowie z paniami, że zauważył pana von Klinck dopiero wtedy, kiedy wuj położył dłoń na jego ramieniu. Zerwał się natychmiast, strzelił obcasami, wyrzucił w górę prawicę i zawołał:

- Heil Hitler!

- Nie wzywaj imienia swego FUhlera nadaremno - poradził mu uprzejmie pan von Klinck. Nowe niemieckie pozdrowienie wciąż jeszcze wydawało mu się okropnie teatralne. - Uważaj, wydłubiesz mi oko. W moim domu nie musisz oddawać honorów wojskowych, możesz mi po prostu uścisnąć rękę.

Uściśnięcie ręki pan von Klinck uważał za całkowicie wystarczającą wymianę czułości, ze względu jednak na bliskie pokrewieństwo poklepał dodatkowo Viktora serdecznie po plecach. Przy tej okazji lekko zdezorientowane tym przywitaniem oko siostrzeńca spoczęło na jego piersi i z ulgą dojrzało okrągłą odznakę z runami SS i literami „FM”. Oznaczało to, że pan von Klinck jest „Fórderndes Mitglied”, czyli członkiem-sympatyzyntem, który tę sympatię okazuje w formie pokaźnej składki miesięcznej na rzecz SS. W przypadku poważnych przedsiębiorców ten rodzaj wsparcia rozumiał się sam przez się.

- Cieszę się, że cię widzę, mój drogi chłopcze. Co nowego w Deutsch-Eylau? Mama zdrowa?

## CZAS TARANTUL

Viktor musiał się mocno natężyć, żeby przywołać w pamięci rodzinną miejscowość, która w tej chwili leżała dla niego na końcu świata i o której pragnął jak najszybciej zapomnieć.

- Nowego? W Deutsch-Eylau? Tam nic nowego się nie zdarza. Mama narzeka na krzyż, jak zwykle.

- Powinna schudnąć - stwierdził surowo pan von Klinck. - Najlepiej całkowicie zrezygnować z mięsa. Doktor Horn uważa schabowy za przyczynę wszelkiego zła na świecie. Hitler nie bierze mięsa do ust i popatrz tylko, jaką bajeczną karierę zrobił.

- Wyobraź sobie, Fritzi spodziewa się dziecka - wtrąciła szybko Toni, która miała zastrzeżenia co do poczucia humoru swojego męża, szczególnie, gdy służba kręciła się w pobliżu.

- Wyobraź sobie, my też - przypomniał jej pan von Klinck. - I to już wkrótce. Viktorze, przybyłeś do Berlina w dobrym momencie, żeby zostać ojcem chrzestnym. A jakie nastroje w Prusach Wschodnich?

Wewnętrzny blask rozjaśnił całą sylwetkę Viktora. Grzbiet mu się wyprostował, pierś wypięła gors koszuli, oko sypnęło skry. „Wygląda jak młody chart, który umiera z pragnienia zaaportowania czegoś - zauważył z zainteresowaniem pan von Klinck. - Byle gdzieś pędzić, byle zacisnąć na czymś zęby i gnać przed siebie, mniejsza o cel. Ach, młodość, młodość!”

- Prusy Wschodnie stoją murem za odrodzeniem narodowym! - wyrębał Viktor. - I za naszym przywódcą, Adolfem Hitlerem!

- To pięknie, naprawdę pięknie - pochwalił pan von Klinck. - Przedmurze świata chrześcijańskiego, stanice kultury, broniące nas przed barbarzyńcami wschodu. Dokładnie tego się po Prusach Wschodnich spodziewałem.

- Wuju, nie żartuj sobie. Przecież nasze biedne Prusy Wschodnie są całkiem bezbronne. Polacy tylko czekają okazji, żeby zająć Gdańsk. Nikt przy zdrowych zmysłach nie pragnie wojny, ale źle rozumiany pacyfizm jest zagrożeniem dla naszego narodu. My, na wschodzie, otoczeni Polakami, widzimy to ostrzej niż wy w Berlinie. Z ulgą witamy odbudowę ducha bojowości i tradycji żołnierskiej.

- Co racja, to racja - z powagą pokiwał głową pan von Klinck. - Duch się odradza. Ostatnio byłem w interesach w Monachium

i nocowałem tam w hotelu. Wystawiłem wieczorem trzewiki przed drzwiami do wyczyszczenia, a rano się okazało, że mój pokój był jedynym, przed którym nie stały buty z cholewami.

Vera ziewnęła dyskretnie. Odrodzenie tradycji żołnierskiej szalenie ją nudziło. Młodzi mężczyźni stali się tacy nieciekawi! Niedziele spędzali w jakichś obozach albo „w terenie”, mówili tylko o manewrach i marszach - w maskach, bez masek, z przeszkodami, w rynsztunku bojowym i tak dalej. Żadnych błyskotliwych, dowcipnych potyczek słownych, żadnych flirtów, żadnych interesujących ploteczek. Co najwyżej roztrząsanie najróżniejszych rodzajów patek, naramienników i szewronów, jak u krawcowej. Okropność.

Na szczęście był jeszcze teatr i tam zawsze działo się coś podniecającego. Aktorzy i śpiewacy, z natury rzeczy indywidualiści, byli cudownie odporni na wszelkie próby ujednoczenia. Wszędzie indziej odrębność była bardzo źle widziana. Poza odrębnością Hitlera, rzecz jasna, który jako Fuhrer musiał się wyróżniać, ale też nie za bardzo, żeby naród czuł, że jest „jednym z nas”. Dlatego na pocztówkach wyglądał rozrzewniająco drobnomieszczańsko. Mimo to kobiety za nim szalały. Resi, dawna koleżanka z Instytutu Anny Amalii, czekała trzy godziny na skraju szosy do Mulheim-Ruhl, żeby go zobaczyć, a potem napisała do Very: „Widziałam go! Jest cudowny. Stał w odkrytym samochodzie, w skromnej brunatnej koszuli, z gołą głową. Jego wzrok spoczął na mnie - och, jakie ma niezwykle oczy, takie przenikliwe, jakby zaglądał człowiekowi do wnętrza duszy! Poczulałam, że zrobię wszystko, co mi każe. Umarłabym z radością, gdyby tego ode mnie zażądał”.

No, tak daleko Vera by się nie posunęła, chociażby dlatego, że oblicze wodza przypominało jej bardzo twarz jednego z kelnerów z Romańskiej. I ten wąsik, ten nieszczęsny wąsik! Wąsik był zdecydowanie fatalny. Poza tym zdążyła już poznać tajniki sztuki teatralnej i musiała stwierdzić, że Fuhrer był marnym aktorem - choć bardzo się starał. Brakowało mu naturalności. Gestykulacja wyglądała na wystudiowaną, dramaturgia wystąpień była zawsze na jedno kopyto: początek spokojnie, środek dobitnie, na końcu wrzask. Na takie szopki można było nabrać biedną Resi, ale nie Verę, która czuła

się już profesjonalistką i co wieczór efektownie i przekonywująco umierała w ramionach Maxa. To była prawdziwa sztuka!

Aktorzy rzadko bywali fanatykami narodowego socjalizmu, ale chętnie korzystali z jego dobrodziejstw. Oczyszczenie kultury z artystów żydowskich otworzyło niespodziewane szanse na zawrotne kariery. Losowi można było dopomóc, sugerując gdzie trzeba, że primadonna miała niepoprawnego rasowo dziadka czy małżonka, albo pechowy wygląd, który mógłby wprowadzić w błąd instynkt rasowy publiczności. Nie było też żadną tajemnicą, że w przypadku młodych gwiazdeczek przyjęcie zaproszenia na białyjacht Goebbelsa może zdziałać cuda.

Vera czuła się w teatrze jak ryba w wodzie. Bolała ją jedynie nieukrywana dezaprobata matki. Pani von Rathenberg tylko jeden raz zgodziła się zobaczyć córkę na scenie i była dogłębnie zdegowana. Widok mocno roznegliżowanej Very, rzucającej się na oczach obcych ludzi w ramiona mężczyzny, z którym nie była nawet zaręczona, sprawił jej fizyczny wprost ból. Jakie szanse na zamążpójście mogła mieć dziewczyna o tak zrujnowanej reputacji?

Bezbożność środowiska, w którym obracała się Vera, przerosła wszystkie obawy pani von Rathenberg. Na przyjęciu po spektaklu Thea von Harbou<sup>1</sup> - było nie było stara, szlachecka rodzina, choć mocno podupadła - pojawiła się w towarzystwie młodszego o dwadzieścia lat kochanka, w dodatku Hindusa! Szukając toalety, matka Very potknęła się o półnagą parę, obściskującą się na kanapie. Nieomalże wszystkie kobiety paliły, były umalowane jak kokoty i piły niczym szewc. Pani von Rathenberg kazała zadzwonić po taksówkę i jeszcze tej samej nocy opuściła Berlin. Była załamana. Umierała ze strachu, że „to się rozniesie” i w Klein Kruckow nikomu nie będzie mogła pokazać się na oczy.

- Viktor spodobałby się Albercie - powiedziała Toni, szykując się wieczorem do snu. - Ma po kolei w głowie i wie, czego chce. Daleko zajdzie, szczególnie teraz, kiedy przed młodymi otwierają się tak fascynujące perspektywy.

<sup>1</sup> Znana autorka książek i scenariuszy.

Pan von Klinck, zgodnie z codziennym rytuałem, wyciągnął do żony ręce, żeby wyjęła mu spinki z mankietów.

- Rewolucje zawsze robią młodzi - zauważył lakonicznie. - Starzy nie wierzą, że można bezkarnie postawić świat na głowie.

- Ależ rewolucja zakończyła się zwycięsko! Ludzie są zadowoleni. Praktycznie nie ma bezrobocia. Handel kwitnie. Interesy idą świetnie. Jest spokój.

- Jest spokój, bo niespokojnych zamknięto. A ludzie są zadowoleni, bo większość z nich uważa myślenie za balast, więc się cieszą, że zdjęto mu go z barków.

- Co w tym złego? Przynajmniej można bez strachu chodzić po ulicach.

- Ja tam nie chodzę bez strachu po ulicach, po których maszeruje młody Fronk. Złe w tym jest to, że musiałem się rozstać z moim kochanym Goldbergiem i powierzyć mój woreczek żółciowy doktorowi Hornowi, który jest idiotą. No i że następna niedziela znowu będzie niedzielą jednogarnkową.

Toni zasępiła się. Od października do marca obiad w pierwszą niedzielę miesiąca musiał być prostą potrawą „z jednego garnka”, której koszt nie przekraczał pół marki. Różnicę między jego ceną i kosztem normalnego posiłku trzeba było wpłacić na rzecz Pomocy Zimowej. Cel był chwalebny, ale wymyślanie tanich zup, które by zadowolili delikatny żołądek pana von Klinck, stanowiło wyzwanie kulinarne dla Marthy. W odróżnieniu od FUhrera, który cenił sobie proste, domowe jedzenie i demonstracyjnie spożywał swój *Eintopf* publicznie, pan von Klinck uważał go za dopust Boży. Nad przestrzeganiem obowiązującego przepisu czuwał jednak czujny jak ryś pan Handtke. Pan Handtke, nazywany przez pana von Klinck pogardliwie „terierem podwórkowym”, był blokowym, odpowiedzialnym za ten odcinek Orzechowej. W cywilnym życiu nic nie znaczący emeryt, dzięki sprawowanej funkcji rozkwitł i okazał się utalentowanym, przepełnionym zapałem szpiclem. Z entuzjazmem zaglądał do cudzych garnków, skrzynek na listy i śmietników, a wyniki obserwacji notował na kartach skrupulatnie prowadzonej kartoteki, gdzie zapisywał również wszystkie nieprawomyślne wypowiedzi

mieszkańców Orzechowej, oceny za oflagowanie każdego budynku z okazji świąt państwowych i tytuły abonowanej prasy. Z tego też względu pan von Klinck prenumerował „Völkischer Beobachter”, a nawet „Sturmera”, pismo wyjątkowo szmatławne, ale niewątpliwie po linii, chociaż w rzeczywistości czytywał wyłącznie „Timesa” i „Basler Neueste Nachrichten”.

- Och, szkoda - westchnęła Toni z rozczarowaniem. - Miałam zamiar zaprosić na niedzielę parę osób, żeby wprowadzić Viktora do towarzystwa, ale przecież nie mogę ludzi przyjmować krupnikiem albo grochówką. Z tymi obiadami to naprawdę już lekka przesada, nie rozumiem, dlaczego rząd interesuje się zawartością moich garnków. Co to ma wspólnego z polityką?

- Cementuje spójność narodową. Od Bałtyku po Alpy, bogaci i biedni, w pałacach i w lepiankach, wszyscy siorbią zupę. Dla każdego ten sam groch, ta sama słonina. Piękny przykład solidarności i szerokie pole do popisu dla pana Handtke.

- Wolałabym, żebyś nie kpił sobie tak ze wszystkiego, Johannesie. Przynajmniej nie przy dzieciach i nie *devant les domestiques*<sup>\*</sup>. W takim razie gości zaprosimy na następną niedzielę. Podam kanapki z kawio-rem ze śmietaną na razowym chlebie, ragout z królika, medaliony cielęce i paszтет na gorąco z żurawiną. Przystojny chłopak zrobił się z tego Viktora, nie uważasz? Stanowiliby z Verą piękną parą.

- Do tego potrzebna byłaby jeszcze Vera, a ona, wydaje się, jest po uszy zadurzona w Finnie. Z czego, moim zdaniem, nic nie będzie, bo mężczyzna, który się do tej pory nie oświadczył, nie oświadczy się nigdy. Max zawraca jej tylko głowę.

- Też się tego obawiam. Dlatego wolałabym, żeby się zainteresowała Viktorem. Zaczynam robić sobie wyrzuty, że poparłam jej ambicje muzyczne. Śpiew śpiewem, ale prawdziwym powołaniem kobiety jest rodzina.

- Całkowicie się z tobą zgadzam, mój aniele, ale nie powinnaś niczego sobie wyrzucać: Vera i tak dopięłaby swego. Choć sprawia wrażenie łagodnej, uparta jest jak muł. Swoją drogą, wcale nie

\* przed służbą

wiem, czy Alberta uważałaby Viktora za świetną partię. On goły i Vera goła.

- A l e uczciwy i inteligentny.

- Uczciwy, inteligentny i nazista? To się *a priori* wyklucza. Jak inteligentny i nazista, to nie może być uczciwy, jak uczciwy i nazista, to nie może być inteligentny.

- Ty i te twoje gry słówek! Viktor jest po prostu ambitny. W dzisiejszych czasach przed zdolnymi i dynamicznymi otwierają się wprost fantastyczne możliwości. Popatrz na takiego Goebbelsa: jeszcze parę lat temu kuśtykał w przykrótkich, wyświechtanych spodniach, a dziś willa, jacht, garnitury na miarę.

- A l e inne się zamykają. Na przykład nie można się ożenić z córką żydowskiego bankiera, a tylu miłych chłopców z towarzystwa zapewniło sobie w ten sposób zupełnie przyjemną egzystencję. Biednemu Hassowi przeszedł w ten sposób majątek Endelmannów koło nosa.

- No i bardzo słusznie. Niemieccy chłopcy dla niemieckich dziewcząt. A Alberta jest tak udręczona niemoralnym trybem życia Very, że każdego kandydata na zięcia powita z otwartymi ramionami.

Na wspomnienie Lucy Endelmann Toni wydeła ze złością dolną wargę i zaczęła zaciekle szcztokować włosy. Sto pociągnięć w jedną stronę, sto w drugą, należało do codziennego wieczornego rytuału, podobnie jak wklepywanie pachnącego kremu pod oczy i układanie pierścionków w szkatułce. Pan von Klinck przyglądał się jej z rozczuleniem. Te zwykłe, wykonywane z wdziękiem i w skupieniu gesty, zachwycały go w żonie najbardziej. W długiej nocnej koszuli i koronkowym negliżu, spływającym w uroczych fałdach po jej wydełym ciężą brzuchu, wyglądała wyjątkowo pociągająco a zarazem majestatycznie jak średniowieczna monarchini, odprawiająca skomplikowany dworski ceremoniał.

- Co do jednego muszę przyznać nazistom rację. Kobieta jest stworzona do rodzenia. Jesteś najpiękniejsza, kiedy oczekujesz dziecka.

- Pozwól sobie powiedzieć, że wymyślili tę teorię mężczyźni, którzy, jak wiadomo, dzieci nie rodzą. Jeżeli toczą przed sobą



brzuch, to dorobili się go nad beczką piwa, a to zupełnie co innego. Łatwo wrzeszczeć z trybuny o rozrodczości narodu, jeżeli nie musi się samemu chodzić w ciąży.

- A l e j a tak bardzo się cieszę na naszego nowego synka.

- Skąd wiesz, że to będzie chłopiec? Ja też się cieszę, ale kostki mi puchną. A swoją drogą, Verze dziecko by dobrze zrobiło.

- J a też tak myślę.

- J a k zwykle, myślimy to samo i na tym polega tajemnica dobrego małżeństwa - Toni czule pocałowała męża w czubek głowy. W duchu dodała: „Oraz na wszystkich innych tajemnicach, które pozostają tajemnicami”.

Viktor leżał na łóżku wyprostowany jak struna, z podłożonymi pod głowę rękami. Oszołomiony nadmiarem wrażeń, nie mógł zasnąć. Przed oczami przesuwaly mu się obrazy, ukazujące go przy pokonywaniu gigantycznych zadań, które go oczekiwały. Obrazy były lekko zamglone, bo jeszcze nie wiedział, jakie to będą wyzwania, ale był przekonany, że okażą się wielkie. Do takich czuł się powołany. Byleby tylko otrzymał szansę pokazania, na co go stać.

Kuzynka Vera była piekielnie atrakcyjna, choć nie pochwałała jej silnego makijażu i stroju: niemiecka dziewczyna nie powinna się malować i nosić francuskich fatałaszków. Spróbował ją sobie wyobrazić w sznurowanym staniczku, fartuszk i butach na płaskim obcasie, z warkoczami zwiniętymi w precle na uszach, jak czesaly się Rosel i Gundel. Wyglądałaby znacznie bardziej kobieco. Środowisko teatralne na pewno nie miało na nią dobrego wpływu, z drugiej strony czyniło ją fascynującą, taką... *bohemiennę*. Z cyganerią Viktor jeszcze nigdy nie miał do czynienia, ale pewnie będzie miał okazję zetknąć się z nią w domu wuja. Matka mówiła, że u wujenki Toni bywają aktorzy, muzycy i malarze. Na pewno ciekawi ludzie, ale czy nie wyda im się prowincjonalny? Czasami miał wrażenie, że Vera sobie z niego kpiła. Czyżby była zepsuta? Viktor nie był przekonany, czy należy wierzyć w to całe gadanie o wyższości rasy, ale marzyła mu się jakaś rośła, pogodna i pracowita blondynka jako towarzyska życia. Pozbawiona kokieterii i mająca dobrze poukładane w gło-

wie. Vera była jak na kobietę dość wysoka i miała włosy niczym łan pszenicy, niestety krótko przycięte i modnie ufryzowane w płaskie loczki, natomiast z całą pewnością nie brakowało jej kokieterii. Szkoda. Jeżeli uda mu się otrzymać stanowisko, odpowiadające jego umiejętnościom, partia będzie od niego oczekiwała, że się ożeni. Właściwie dlaczego nie? Przydałby mu się ktoś, kto poprowadzi dom i do kogo mógłby przytulić się w nocy.

Na myśl o kobiecym ciele obok siebie w łóżku, rozgrzanym snem, pachnącym i uległym, Viktorowi zakręciło się w głowie. Usiłował przypomnieć sobie zapach Very: jakieś drogie, zapewne zagraniczne, perfumy, ale gdzieś tam w środku, pod maską światowej damy, ukryta była prosta, wychowana na wsi dziewczyna, której włosy zachowały woń świeżo skoszonej łąki - a może był to tylko szampon rumiankowy? Ciekawe, jak Vera myła włosy. Obnażona do połowy, przepasana ręcznikiem, pochylona nad miską? Płuczac je w deszczówce z odrobiną octu? Z uroczą gęsią skórką na ramionach, która ukazywała się, kiedy woda spływała między piersiami? Bardzo chciałby ją w tym momencie widzieć, pozbawioną szminki i prawie nagą. Z pewnością traciła wtedy cały ten swój wielkomięjski tupet i stawała się tym, kim w końcu była - miłą, niemiecką dziewczyną. Jaka szkoda, że obcięła warkocze, ale mogłaby je przecież znowu zapuścić. Gdyby tylko dała sobie wybić z głowy ten teatr! Kariera, to takie niekobiece. Nienaturalne. Może po prostu nie spotkała do tej pory właściwego mężczyzny, który by potrafił ją o tym przekonać? Fritzi też chciała kiedyś studiować medycynę, a teraz szydełkowała niemowlęce czepeczki i uniwersytet kompletnie przestał ją interesować. Dlaczego z Verą miałoby być inaczej? Kobiety czasami nie wiedzą, czego chcą i potrzebują kogoś, kto by im wskazał właściwą drogę. Viktor jeszcze nie był pewny, czy mu się Vera w ogóle podoba, ale czuł się na siłach, żeby nią pokierować. Na jego gust była zbyt samodzielna. Jego matka mówiła o niej: rozwydrzona. Ale wyobrażenie jej silnego ciała, zwiniętego koło niego w kłębek, rozsypanych na poduszce włosów, bosych stóp, niecierpliwie odrzucających kołdrę, podniecało go. Niepokojąca, niecodzienna, zupełnie inna niż rumieniące się bez przerwy prowincjonalne gąski,

którym asystował do tej pory. Odpowiednia kobieta, żeby nadać blasku jego przyszłej karierze, która - w to nie wątpił - też będzie nieprzeciętna. Wielkie czasy wymagały wielkich wysiłków i Viktor był gotów stawić im czoła.

W pokoju z wykuszem Vera spała smacznie, nie zdając sobie nawet sprawy, że zaprzęta myśli kuzyna z dalekiego Deutsch-Eylau. Gdyby wiedziała, że Viktor zastanawia się nad jej przyszłością, byłaby bardzo zdziwiona - ona się nad nią nie zastanawiała. Wnikanie w głębszy sens wydarzeń nie leżało w jej naturze. Ważne było, że powietrze było ciepłe i aksamitne, pąki na drzewach lepkie i nabrzmiałe, wzdłuż gazonu zakwitły fioletowe zastępy krokusów, w sklepach nie brakowało pięknych przedmiotów, a suknie podkreślały ramiona i talię, w czym było jej bardzo do twarzy. Kawiarnie huczały do późnej nocy jak rój pszczół, tańczyło się swinga, choć naziści go potępiali, i wszyscy stepowali jak szaleni. Stepować można było bez żadnych zastrzeżeń, bo czynniki oficjalne uznały, że jest to taniec typowo nordycki.

Na nocnym stoliku stał przysłany przez posłańca bukiet róż od Maxa z zaproszeniem na jutrzejszą kolację. Krawcowa stanęła na głowie, żeby na czas wykończyć jej nową toaletę wieczorową: ostatnie szwy obrzuciła późnym wieczorem. Kreacja miała długą, czarną spódnicę, kwiecisty żakiet z prześmiesznymi bufkami i wielką, fantazyjną kokardę pod szyją. Vera zamierzała założyć do niej zabójcze, długie do łokcia rękawiczki, pantofelki z wężowej skóry i maleńki kapelusik z woalką. Będzie jutro wyglądała jak marzenie.

Z punktu widzenia Very przyszłość zapowiadała się więc wspólnie: Było dobrze, a będzie jeszcze lepiej.

Doktor Horn wyliczył Toni termin porodu na 20 kwietnia, dzień urodzin Hitlera, i wszyscy żartowali, że dziecko będzie miało na imię Adolf. Pan von Klinck uśmiechał się uprzejmie, ale był zupełnie zdecydowany nazwać swojego syna - bo to musiał być, oczywiście, syn - Fryderykiem, na cześć Fryderyka Wielkiego, którego uważał za najświetniejszego władcę w historii Niemiec. Hitler może i był mężem opatrnościowym, brakowało mu jednak majestatu, a „Mein Kampf” nie mógł się w żadnym wypadku równać z „Histoire du mon temps”. Obaj niestrudzenie rozmyślali nad ratowaniem ojczyzny, ale Fryderyk czynił to z nieporównanie większą klasą - jakże trafne, proste, a zarazem pozbawione patosu były jego słowa: *Nie jest konieczne, żebym żył, ale jest konieczne, żebym wypełniał mój obowiązek!*

Toni chciała przede wszystkim mieć to za sobą. Przyznawała się do trzydziestu lat, miała trzydzieści pięć, a czuła się, jakby była siedemdziesięcioletnią staruszką: za stara na ciążę i na macierzyństwo. Od nowa pieluchy, smoczki, rzadkie kupki oraz wzdęcia, i to w ostatnich latach, kiedy jeszcze mogła chodzić na bale i pokazywać piersi w głębokich dekoltach!

Do tej pory wszystkie porody Toni przyjmował doktor Hirschfeld. Odbywały się w kojącej atmosferze jej własnej sypialni i przebiegały całkowicie bezproblemowo. Doktor Horn był jednak człowiekiem na wskroś postępowym i uważał porody domowe za przeżytek. Wbrew gwałtownym protestom Toni wpakował ją do ohydneho szpitalnego łóżka, znajdującego się w wyłożonym kafelkami pomieszczeniu, przypominającym sklep mięsny, i postawił u jej boku położeńną o barach jak drwal. Zapewne kazał jej pilnować rodzącej, żeby nie uciekła z tego odrażającego miejsca. Bardzo przejęta Vera spacerowała niestrudzenie po szpitalnym korytarzu, zawzięcie obgryzając paznokcie. Pan von Klinck uspokajał nerwy koniakiem w klubie, w towarzystwie panów z Izby Przemysłowej, którzy klepali go po plecach i mówili różne bzdury w rodzaju: „Miejmy nadzieję,

że mały Adolf poczeka na urodziny Fuhrera" albo: „Trzeba przyznać, von Klinck, że przynajmniej ty coś robisz dla podtrzymania rasy”. Pan von Klinck uśmiechał się krzywo i był *not amused*.

W potężnych ramionach położnej Toni czuła się rozpaczliwie samotna i rozpaczliwie tęskniła za łagodnymi rękami doktora Hirschfelda. Kiedy bóle stały się nie do zniesienia, zażądała drżącym głosem belladonny, ale ta odrażająca kobieta wepchnęła w nią zamiast tego lewatywę i warknęła:

- Tylko bez rozczulania się nad sobą, złotko! Czym dla mężczyzny pole bitwy, tym dla kobiety izba porodowa.

- Wypraszam sobie, żeby mówiła pani do mnie „złotko” - jęknęła Toni. - Nie jestem dla pani żadnym „złotkiem”, tylko panią von Klinck. Proszę natychmiast wezwać doktora Horna!

- A n i mi się śni. Wody nawet nie odeszły i szyjka ledwo ledwo się otworzyła. Niechże pani nie histeryzuje i zachowuje się z godnością, jak przystało na niemiecką matkę na froncie zachowania gatunku.

- A l e ż ja cierpię!

- Cierpi pani dla dobra narodu. Miliony kobiet codziennie rodzą dzieci, więc nie ma o co robić tyle hałasu.

Ostatkiem sił Toni podciągnęła się na łóżku, wycelowała palec w położną i ryknęła:

- Gdzieś mam dobro narodu! Doktor Horn - natychmiast!

Vera usłyszała na korytarzu jej krzyk i wpadła zaniepokojona do pokoju. Oczom jej ukazał się przerażający obraz: rozwścieczona Toni ciskała w akuszerkę czym popadło, cała podłoga była usłana skorupami buteleczek, strzykawek i menzurek.

- Zabierz stąd tę cholerną babę! - wrzasnęła na widok Very. - I sprowadź tego idiotę Horna!

Dziecko, silny, zdrowy chłopczyk, przyszło na świat przed północą bez większych komplikacji. Vera, której Toni nie pozwoliła usunąć z pokoju, nie odstępowała położnicy ani na chwilę. Wykształcona w Instytucie Anny Amalii na celuloidowych lalkach, była zupełnie nieprzygotowana na rozgrywający się na jej oczach dramat. Zaszokowana krwawym męczeństwem Toni, myślała chwilami, że zemdleje, ale wytrwała dzielnie do końca. Zwiłżała usta rodzącej

wodą, wachlowała jej skronie i ocierała z czoła pot - gesty mało pomocne, ale krzepiące.

- Dziękuję ci - wyszeptwała Toni, kiedy doktor Horn włożył dziecko w jej ramiona i odwrócił się, żeby jak Piłat umyć ręce. - Powiedz mi, do kogo jest podobny?

Vera usiadła na skraju łóżka i ostrożnie uchyliła róg kocyka, w który lekarz zawinał niemowlę. Trochę wymięte, gniewnie marszczyło brewki, co mu nadawało wyraz głębokiego zatroskania, jakby nie przekonane, czy zmiana miejsca pobytu była szczęśliwym pomysłem. Rysy malutkiej twarzyczki były jednak pełne harmonii, nos prosty i zgrabny, usta ładnie zarysowane, podbródek zdecydowany. Długie rzęsy rzucały niebieskawe cienie na policzki, czub wilgotnych włosów sterczał zawadiacko do góry. Najbardziej zachwycające wydały się Verze kształtne ręce z długimi paluszkami, zakończonymi mikroskopijnymi półksiężycami paznokci.

- Do ciebie chyba - powiedziała. - Nie mogę ci powiedzieć, jaki ma kolor oczu, bo są zamknięte, ale usta i nos są z pewnością twoje. Jest piękny. Jest taki... nieprawdopodobnie doskonały.

Wyczerpaną twarz Toni rozjaśnił promienny uśmiech.

- Za każdym razem odbieram ten moment jak największy cud w moim życiu i natychmiast zapominam, ile trzeba było się przy tym nacierpieć. Wszystko staje się nieważne - niewygody ciąży, spuchnięte nogi, cała ta męka. Natura tak to już mądrze urządziła, inaczej nikt nie miałby dzieci. Co najwyżej jedno i to też tylko przez przypadek. Byłam bardzo samolubna, kochanie, narażając cię - młodą, niedoświadczoną - na taki szok. Moja matka ani słowem nie wspomniała, że poród jest torturą. „Inne rodzą, urodzisz i ty” - tylko tyle. Na takie tematy nic się nie wiedziało, chyba że z Biblii, tam coś było o krwi i mękach. Ale ty, moje biedactwo, już się dowiedziałaś, jak to jest, i bardzo bym nie chciała, żeby ci to przeżycie odebrało odwagę. Na pewno było to dla ciebie okropne. Johannes po prostu ucieka do klubu i ratuje się tam koniakiem, pojawia się, kiedy już jest po wszystkim. Pod tym względem mężczyźni są straszliwymi tchórzami.

- Kiedy to nie było okropne, Toni. Owszem, przejmujące, ale piękne.

Vera szczerze tak myślała. Od lat bombardowano ją obrazami szczęśliwych matek ośmiorga dzieci, gotowych oddać życie w dziesiątym połogu. Im uporczywiej wbijano jej w uszy, jakie są zobowiązania wobec narodu, tym bardziej się buntowała. Było coś nachalnego w tym zachęcaniu do rozmnażania się, przypominało jej to naukowe wywody pana Blaschke, zarządcy Klein Kruckow, na temat zarodowych klaczy. Sami przywódcy, z wyjątkiem Bormanna i Goebbelsa, rozmnażali się zresztą dość słabo: Hitler wcale, Hess raptem jeden raz, Himmler też miał tylko jedną córkę. Vera nie zamierzała przejmować się teoriami, których nie wcielali w życie nawet ich twórcy i do tej pory była zdania, że Tysiącletnia Rzesza musi zapewnić sobie przetrwanie bez jej pomocy. To nie przyszłość Niemiec zaprzętała jej myśli, kiedy patrzyła na uśpione dziecko, tylko jej własna. Ach, gdybyż to był jej syn - i Maxa! Wszyscy mężczyźni pragnęli synów, lichy wie dlaczego, pewnie ze względów dynastycznych. Nawet pocziwyjohannes. Z radością podarowałaby Maxowi syna, dla niego byłaby skłonna do każdej ofiary. Pał lichy karierę, figurę też pewnie diabli by wzięli, ale nareszcie łączyłoby ją z Maxem coś naprawdę trwałego. Kto wie, może zresztą wróciłaby kiedyś na scenę, niektórym się to udawało. Dziećmi Toni też zajmowały się głównie niańki i guwernantki. Poród był, co prawda, sprawą przykrą, krwawą i dziwnie archaiczną w tak nowoczesnych czasach, ale i tej próbie stawiałaby czoła. Wystarczyło spojrzeć na rozjaśnioną twarz Toni, żeby uwierzyć, że o całej tej torturze można stosunkowo szybko zapomnieć.

Małeństwo zakwiliło i mocno chwyciło palec Very. Roześmiała się i powiedziała z czułością:

- Fryderyku, mój królu - jesteś wielki. Toni, zazdroszczę ci. Dziecko to rzeczywiście największy cud, jaki można sobie wyobrazić.

- O tak, największy - odparła Toni, przymykając oczy. - No i jedyny, który wydarza się nam naprawdę.

- Vera była wspaniała. Bez niej wyzionęłabym ducha w tej okropnej kostnicy.

Pani von Klinck siedziała na łóżku podparta poduszkami i z apetytem spożywała śniadanie w towarzystwie męża. Wyglądała czarująco. Miała na sobie szafirową pidżamę z *crepe satin*, która pięknie podkreślała kolor jej oczu i szlafroczek, obszyty łabędzim puszkciem. Kosze pysznych kwiatów złagodziły nieco sterylność pokoju, a posłańcy wciąż wnosili nowe.

- Z doktorem Hornem skończyłam raz na zawsze. Zamknął mnie tutaj z jakąś straszną kobietą, która wyglądała na strażniczkę z obozu wychowawczego dla upadłych dziewcząt. Wiesz, taka w sportowych butach na słoninie, z włosami upiętymi w kok i barami jak chłop. Kazała mi trzymać buzię na kłódkę i cierpieć w imię interesu narodowego. Założę się, że sypia pod makatką z podobizną Hitlera. W każdym razie jutro wracam do domu, żadna siła mnie tu nie zatrzyma. Pod własnym dachem będę miała znacznie lepszą opiekę.

Jak wszystkie panie z jej sfery, Toni spędzała sześć tygodni po rozwiązaniu w łóżku. Poród uważany był za coś w rodzaju choroby, po której długo trzeba było wracać do sił. Tylko chłopki wstawały natychmiast i zabierały się do roboty.

- Czy Fryderyk nie jest słodki? Widziałeś, jaki ma energiczny podbródek? Typowy podbródek von Klincków, Vera zwróciła mi na to uwagę. Powiedz Kathi, żeby przygotowała sukieneczkę do chrztu, jest w szafie z syberyjskiej brzozy, na najwyższej półce. Zawinięta w bibułkę. Myślę o małej, ale wykwintnej ceremonii, bez żadnej pompy, bo jeżeli wypadnie zbyt wystawnie, partia zaraz będzie oczekiwała od ciebie wyższych świadczeń. Trzydzieści pięć, najwyżej czterdzieści osób - jak sądzisz? W każdym razie Kurt już może zacząć czyścić srebra.

Pan von Klinck słuchał z rozczeniem pogodnej paplaniny swojej ślicznej, dzielnej żony i od czasu do czasu podnosił jej upierścienioną rękę do ust. Czuł się najszcześniejszym człowiekiem na świecie, hojnie obdarowanym przez Stwórcę. Wczorajszej nocy dokonał z powagą i radością nowego wpisu w rodzinnej Biblii: *Fryderyk Johannes, 19.04.1935*, dziękując Bogu za tyle łask - kochającą rodzinę, spokój w kraju, dostatek w domu. Jaka przyszłość czekała małego Fryderyka, urodzonego w tak intensywnych czasach? Niewątpliwie istniały



miejsca na świecie, gdzie formy rządzenia były bardziej kulturalne, a bezprawie mniej bezczelne, ale panu von Klinck przyszło żyć akurat tutaj i starał się widzieć dobre tego strony. W końcu i ten ustrój był jakąś formą demokracji, tylko demokracji inaczej pojętej - plemiennej niejako. Postanowił nie tracić optymizmu i z otuchą patrzeć przed siebie, szczególnie teraz, kiedy los obdarzył go nowym potomkiem.

- Wracając do Very, mój drogi... wyobraź sobie, odniosłam wrażenie, że zaszła w niej wczoraj jakaś poważna zmiana. Przeżyła duży szok, oczywiście, ale wyszła z niego zwycięsko. Jak mała, dzielna markietanka. Jakby okrzepła duchowo, dojrzała, zrozumiała, co w życiu jest naprawdę ważne, a wszystko inne, to tylko blichtr, namiastka. Jak ona patrzyła na małego Fryderyka, jak patrzyła! Przy sięgłabym, że widziałam w jej oczach tęsknotę. Byłoby to tylko naturalne - w końcu każda kobieta pragnie dziecka. Vera na pewno też, tylko do tej pory nie zdawała sobie z tego sprawy. Powiedziała, że mi zazdrości i brzmiało to szczerze. Jak sądzisz, czy ona i Viktor...? Bardzo byłabym z tego rada!

- Nic nie sądzę. Nigdy nie odważyłbym się twierdzić, że rozumiem kobiety. Wystarcza mi jedna, co do której wydaje mi się, że trochę ją znam, a i tego nie jestem całkowicie pewny.

- Znasz, mój drogi, znasz mnie na wylot! - Pani von Klinck uśmiechnęła się zalotnie i opadła na poduszki. - Chwalić Boga nie mamy przed sobą żadnych tajemnic.

Nikt nie mógł sobie później przypomnieć, od kogo wyszedł pomysł uczczenia Zjazdu Partii objazdowym *tournee* po kraju. Być może od barytona Schmitza, który w teatrze przewodniczył lokalnej komórce NSDAP, a może odgórnie, od samego Goebbelsa, w każdym razie uchwałę podjęto przez akłamację. Było samo przez się zrozumiałe, że śpiewacy i muzycy zrezygnują z gaży, ale koszty przejazdów i hoteli pokrywało Ministerstwo Propagandy. Ze względu na przyłączone do Rzeszy w marcu 1935 roku Kraj Saary, *tournee* odbywało się pod hasłem *Piękna nasza ojczyzna cała*, a trasa przebiegała wzdłuż dolin rzek o szczególnie patriotycznym wydźwięku - Saary, Mozeli i Renu. Nie podlegało dyskusji, że repertuar ograniczy się do Wagnera, ukochanego kompozytora Fihrrera: przede wszystkim „Śpiewacy norymberscy” i, oczywiście, „Pierścień Nibelunga”.

Vera nie miała „wagnerowskiego” głosu. Po długich wahaniach przydzielono jej partię piastunki Ewy w „Śpiewakach”, ale pojechałyby z trupą, nawet gdyby miała tylko pokazywać nogi w chórk. *Tournee* oznaczało mnóstwo okazji do bycia z Maxem sam na sam i za nic w świecie by z tego nie zrezygnowała.

W pięknie udekorowanym flagami ze swastyką autokarze panowała niefrasobliwa atmosfera majówki. Krążyły butelki z winem, a ponieważ nikt nie pomyślał o szklankach, piło się, przykładając szyjkę do ust. Nie wypadało jej wycierać po kolegach i pytanie: „Ale chyba byś nam powiedziała, gdybyś miał trypra?” - wywoływało wciąż nowe wybuchy śmiechu. Śpiewano repertuar ojczyzniany - „Straż nad Renem”, „Niemiecka jest Saara” i „Zgubiłem serce w Heidelbergu” - pieśni, które w kręgach artystycznych jeszcze niedawno uważano za politowania godne, ale teraz były absolutnie na czasie. W tyle autokaru czwórka nieugiętych brydżystów usiłowała rozegrać robra, chociaż rozłożony na walizce „dziadek” rozsypywał się na każdym zakręcie. Mitzi pisała list do narzeczonego, który był na manewrach pod polską granicą, Gisela i Mariannę zgodnie oglądały żurnal mody,

Maria próbowała polakierować sobie paznokcie. Starzejący się bas, Galitzki, od chwili wyjazdu pociągał ukradkiem z piersiówki i już od dawna spał jak zabity, z twarzą wtuloną w płaszcz, na który przy każdym jego chrapnięciu sypał się łupież.

Na postojach kierowca wołał wesoło: „Panie na prawo, panowie na lewo!” i aktorzy posłusznie wysypywali się na szosę. Podskakiwali, żeby rozprostować nogi, robili przysiady, wymachiwali energicznie ramionami, w końcu znikali ze śmiechem w lesie. Wracali z sosnowymi igłami we włosach, zębami granatowymi od jagód i kolanami zielonymi od mchu. Dziewczyny trzymały w rękach gałązki poziomek. Mężczyźni rozkładali na ziemi koce i odbijali szpunt w becuzłce z piwem, kobiety krzątały się koło koszyków z prowiantem, kroїły grube pajdy wiejskiego chleba, smarowały je masłem. Okrzykami uznania witano zimne kurze udka, pieczone żeberka i wędzone makrele: odpowiedzialny za zaopatrzenie Schmitz dostawał entuzjastyczny aplauz i kłaniał się na wszystkie strony, przykładając rękę do piersi i posyłając palcami całusy.

- J a c y oni są wszyscy kochani, jacy mili - myślała Vera. - Jak wielka, szczęśliwa rodzina, w odróżnieniu od mojej własnej - wesoła i pełna humoru. Rathenbergowie są tacy nadęci. Johannes też jest śmiertelnie poważny. Co najwyżej bywa sarkastyczny. No cóż, jest już stary... aż trudno uwierzyć, że oderwał się na chwilę od interesów i „Basler Nachrichten”, żeby splotdzić Fryderyka. W jego wieku! Chociaż... lichy wie, jak z Fryderykiem było naprawdę. Hasso niby odprawiał te swoje esesmańskie nieszpory w Monachium, ale Monachium nie jest na końcu świata i istnieją pociągi. Boże, o czym ja właściwie myślę? Tylko o tym! Mama chyba ma rację, rzeczywiście jestem zepsuta. Ale właściwie o czym mam myśleć, kiedy wszystkie rozmowy w teatrze wokół tego krążą: kto z kim, gdzie i kiedy. A ja chciałabym z Maxem. Tu i teraz.

Na początku podróży zajęła miejsce koło Maxa i tak już zostało. Na postojach kładła na fotelu szal albo sweterek, żeby nikt na nim nie usiadł. Jak tylko w autokarze przygasały światła, zamykała oczy, opierała głowę o jego pierś i udawała, że śpi. Cudownie było czuć ciepło jego ciała, wdychać zapach drogiej wody toaletowej i świeżo

wykrochmalonej koszuli. Był jedynym, który we wszystkich hotelach po drodze oddawał koszule do prania natychmiast po przybyciu. Reszta zespołu stawała się z każdym dniem coraz bardziej wymięta i nieświeża, tylko on wyglądał wciąż jak spod igły. Być może po to, żeby policzek Very mógł dotykać dobrze wyprasowanego, delikatnego płótna.

Hotele były na ogół stare i bardzo skromne, choć pedantycznie czyste. Pokoje przydzielał z ważną miną Schmitz, według prowadzonej przez siebie listy, której zasady nikt nie był w stanie rozgryźć. Protestów jednak nie było, wszyscy posłusznie wlekli bagaże do wskazanych przez niego pomieszczeń, ale po nocy zaczynała się nerwowa bieganina po korytarzach. „Vero, kochaniutka, czy sprawiłoby ci różnicę, gdybyś spała dziś z Elizą? Bo ja i Gustaw - no, sama wiesz”.

Prawo do osobnych pomieszczeń miały tylko dwie gwiazdy: Max i straszliwie zarozumiała Lili Jahn. Lili nazywała się w rzeczywistości Janetzko, ale nie było to nazwisko dla primadonny, występowała więc pod pseudonimem Jahn. Z nią i tak nikt nie chciałby dzielić pokoju, bo szła po trupach i słynęła z intryg. Starano się jej nie narażać, bo była za pan brat z wszystkimi partyjnymi bonzami i sam Goebbels przysyłał po nią czasami samochód.

WTrewirze przypadło Verze nocować z Elvirą. Okazało się jednak, że koleżanka miała na tę noc inne plany. Jak się wyraziła, postanowiła poświęcić wieczór „dokładniejszemu rozpracowaniu roli” z dyrygentem. Dyrygent - lwia grzywa a la Paganini, krzaczaste brwi, nos rzymski, wzrost, niestety, mizerny, stąd buty na pięciocentymetrowych obcasach - na każdym postoju oddawał się z dużym zapałem doskonaleniu co młodszych śpiewaczek. W Berlinie miał żonę, żywcem zdjętą z propagandowych plakatów: przy każdej piersi niemowlę, u kolan trójka drobiazgu, głowa owinięta warkoczem, strój wieśniaczy, cera czerstwa, na twarzy wyraz bohaterskiego męczeństwa. Tyle cnót było na dłuższą metę nie do zniesienia, więc mistrz chociaż w teatrze potrzebował jakiejś odskoczni. Umierał z tęsknoty za odrobiną zepsucia, szczyptą pieprzyku i dreszczem ryzyka. W końcu był artystą.

- Wola Boska i skrzypce - pomyślała Vera. Narzuciła na koszulę nocną płaszcz, wzięła pod pachę butelkę szampana i zapukała do drzwi Maxa. Nie mogła przecież spędzić nocy na dworze, a ta źmija Lilly i tak by jej nie wpuściła.

- Jestem bezdomna, Max - oświadczyła w progu i rozłożyła bezradnie ręce, nie wypuszczając z nich jednak szampana. Płaszcz jednakże osunął się z jej nagich ramion i zwinął w kłębek u stóp jak pies - nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Zielonkawym jedwab jej koszuli zalśnił srebrzyście w półmroku: wyglądała trochę jak zjawa, a trochę jak Ofelia, wyciągnięta właśnie z wody. Zrobiła krok do przodu, potknęła się o dywan i Max musiał ją podtrzymać, żeby nie upadła. Przywarła do niego całym ciałem.

- Nie rozumiesz, czy nie chcesz zrozumieć? - wyszeptwała.

Max przycisnął usta do szyi Very. Ukląkł przed nią, objął jej kostki, przesunął powoli dłońmi po łydkach, kolanach, udach.

- No nareszcie - westchnęła. - Już myślałam, że każesz mi czekać, aż będę stara i pomarszczona jak jabłko. Kocham cię, chcę być z tobą - to chyba naturalne, kiedy ludzie się kochają?

- Czasy są niedobre na miłość, Vero.

- Na miłość każde czasy są dobre.

- Wiesz przecież, że każdego, kto z nimi nie jest, uważają za wroga. Ja z nimi nie jestem. Narażałbym cię.

- Ach, przestań wreszcie z tą polityką. Nie traktuj mnie jak dziecko.

- Vero, musisz wiedzieć, że...

- Niczego nie chcę wiedzieć. Chcę, żebyś otworzył wreszcie tego szampana i żebyśmy wypili za naszą pierwszą noc. Nie każ mi czekać - to upokarzające.

Cóż miał począć? Stała przed nim, drżąca, okropnie zdenerwowana, i pragnęła słuchać tylko zapewnień miłości. Nie zdawała sobie sprawy z otaczającej ją grozy - nie chciała jej dostrzegać. Może nie miał prawa otwierać jej oczu? Może uda się jej przejść przez ten czas z zamkniętymi i zachować przy tym niewinność?

Z wielką czułością wzięł Verę na ręce i zaniósł ją do łóżka.

Resztę podróży Vera spędziła jak we śnie. Ledwie do niej docierało, że za oknami autokaru przesuwały się jak w filmie pola i lasy, malownicze miasteczka, zamki z basztami, zakola rzek, pełne kwiatów ogrody. Kiedy przejeżdżali przez wioski, autobus turkotał na kocich łbach, kierowca trąbił przeraźliwie na kury i psy, a dzieci wypadały z radosnym wrzaskiem zza opłotków, machały rękami i wołały: „Heil Hitler!”. „Heil Hitler!” - odkrzykiwali wesoło artyści. Po ścianach domów spływały kaskady czerwonych flag ze swastykami, przy których blade peralgonie, na placach warczały dziarsko bębny. Cały kraj ogarnięty był atmosferą świątecznego podniecenia, jakby razem z Verą cieszył się jej szczęściem.

Vera weszła w tę miłość jak w wiosenny poranek, lekko i pogodnie, nie oglądając się za siebie. A więc tak to było, kiedy stawało się kobietą! Czuła się, jakby ponownie przyszła na świat, jakby jej ciało obudziło się pod dotknięciem Maxa i miało teraz podwójną ilość nerwów. Wiedziała, że odrzuciła gorset zasad i zakazów, ale napawała ją to tylko dumą, nie troską. Każda chwila bez miłości wydawała jej się stratą czasu.

w niedzielne popołudnie pan von Klinck spacerował po ogrodzie z rękami gniewnie założonymi na plecach. Podejrzliwie obserwował niebo, na którym gromadziły się posępne chmury. Sylwetki drzew coraz bardziej ciemniały i tylko na wschodzie snuły się jeszcze poszarpane smugi światła.

Pod jego nogami szeleściły rude i złote liście, z których sprzątanym ogrodnik nie nadażał. Pan von Klinck rozgarniał je ze złością czubkiem buta.

Początkowo towarzyszyła mu stara suka, ale człapanie po rozmiękłej ścieżce wkrótce ją wyczerpało i ułożyła się z westchnieniem w suchym miejscu pod kamienną ławką. Ile razy zbliżały się do niej wyczyszczone na wysoki połysk trzewiki pana von Klinck, podnosiła z nadzieją łeb i stukwała uprzejmie ogonem. Uważała tę wędrówkę po błocie za całkowicie bezcelową i próbowała dać mu to do zrozumienia.

Przyczyną złego humoru pana von Klinck było ostatnie kazanie pastora Kummerleina. Do tej pory miał pastora za człowieka świętego, o szerokich horyzontach, i bardzo sobie cenił miłe pogawędki z nim po mszy. Dzisiejsze jego ataki, skierowane przeciwko Kościołowi Wyznającemu, bardzo go wzburzyły. Pan von Klinck nie pochwalał, oczywiście, żadnych rozłamów religijnych, ale w kwestii piętnowania wprowadzanych przez nazistów pogańskich obyczajów, bardzo dalekich od Góry Oliwnej, stanowczo musiał przyznać Kościołowi Wyznającemu słuszność. Wszystkie te starogermańskie Sobótki, chrzty pod portretem Hitlera, Święto Jul zamiast Bożego Narodzenia, napełniały go wielkim niesmakiem. Nie posiadał się z oburzenia, kiedy dowiedział się od Hassa, że Himmler zamierza rozbudować zamek Wewelsburg do czegoś na kształt esesmańskiego Watykanu, z salą Rycerzy Okrągłego Stołu i kryptą, w której miały stanąć urny z prochami dwunastu przywódców SS - czyż nie był to czysty okultyzm? Niemieccy Chryścijanie żądali odrzucenia Starego

Testamentu, gdyż jego żydowskie podłoże było niezaprzeczone, wierni pisali w rubryce „przynależność religijna” *deutschglaubig*. Coraz liczniejsi widzieli w Hitlerze postać Bożego, drugiego Mesjasza. Niedalek jak wczoraj przed nosem oniemiałego pana von Klinck przemaszerowało przez Orzechową stadko dzieci z ochronki, śpiewając z uczuciem:

*Wodzu, mój wodzu, sam Bóg mi cię dał,  
Bym życie bezpieczne i spokojne miał.  
Tyś kraj uratował z najsroźszej wprost nędzy,  
I tobie zawdzięczam mój chlebek codzienny.  
Wodzu, mój wodzu, pociecho i blasku, nadziejo gdy źle,  
Wodzu, mój wodzu, nie opuszczaj mnie.*

Doprawdy, ludziom zupełnie poplątało się w głowach, oddawali cześć złotemu cielcowi i szowinizm mylił im się z wiarą - także pastorowi Kummerleinowi. Ostatnio można było odnieść wrażenie, że nauki świętego Jana Apostoła - *Dzieci, nie dajcie się zwodzić nikomu* - są mu zupełnie nieznane. Czyżby zapomniał, że w kościele było miejsce tylko dla Ewangelii? Polityka nie miała tam czego szukać, wszystko inne było bezbożnością. Pan von Klinck postanowił modlić się o łaskę oświecenia dla pastora, a na razie zdecydował rozsądnie, że do tego czasu będzie trzymał w jego obecności język za zębami.

Jakby nie wystarczało, że musiał w swoim własnym domu uważać, co mówi. Od czasu, kiedy panoszył się po nim młody Fronk, ściany miały uszy. Podobno Lenin powiedział kiedyś, że państwo powinno być sprowadzone do funkcji tak prostych, żeby mogła nim rządzić kucharka - ale chyba nie miał na myśli akurat jego kucharki? Pan Handtke zaglądał do jego garnków, a Martha do szuflad biurka. Pan von Klinck sam ją na tym przyłapał, ale nie odważył się jej zwolnić, bo Anton błyskawicznie wspinał się po szczeblach kariery partyjnej. Jedyna nadzieja, że wkrótce wdrapie się wystarczająco

\* Niemieckowierzący



wysoko, żeby zabrać matkę na zawsze z jego domu. Tyle pięknych willi, których właściciele wyjechali albo zmarli „na nerki” w jakimś narodowosocjalistycznym ośrodku przekształcenia ideologicznego, stało teraz do dyspozycji. Martha nie musiała siedzieć akurat pod jego dachem.

Nawet w rozmowach z synem pan von Klinck musiał być ostrożny. Dzięki Hitlerjugend Joachim znalazł nową pasję: w pracowni modelarskiej sklejał z wielkim zapałem modele szybowców. Obiecano mu, że wkrótce będzie mógł pójść na kurs i latać na prawdziwych samolotach - szalał ze szczęścia. Od tego czasu przepełniała go gorąca miłość do Fiihlera, który traktował go jak dorosłego i chciał z niego zrobić pilota. W odróżnieniu od ojca Hitler w niego wierzył.

Dobry Boże! Pan von Klinck nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Joachim zmężniał, z wielką zaciętością uprawiał sporty, co rano katował się, podnosząc hantle - wszystko to było godne pochwały. Ale entuzjazm, z jakim jego syn za wszelką cenę pragnął stopić się z masą innych umundurowanych chłopców, przerażał go. Zawsze pragnął wychować joachima na samodzielnie myślącego człowieka, tymczasem państwo robiło wszystko, żeby wyprać chłopca z wszelkiej indywidualności i zrobić z niego sprawnie działający trybik w maszynie. Co gorsza, syn wydawał się z tego zupełnie zadowolony. Niczym innym być nie zamierzał.

- Dajże mu spokój - mówiła Toni. - Robisz mu tylko mętlik w głowie. Czego ty od niego właściwie chcesz? Dobrze się uczy, fizycznie bardzo się rozwinał. W Hitlerjugend wciąż awansuje, ogromnie go tam cenią. Powinieneś być z niego dumny. Daleko zajdzie.

Może i tak? Viktor już daleko zaszedł. Powierzono mu kierownictwo ośrodka szkoleniowego o lirycznej nazwie Vogelsang - Ptasi Śpiew. „Macie tydzień na dobranie sobie współpracowników, kolego - usłyszał. - Opracujcie program działania i przedłóżcie raport bezpośrednio rządowi”. Ot tak, po prostu! Viktor nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

Do radości, że otworzyła się przed nim tak nieprawdopodobna szansa, dołączały się jednak obawy. Ogrom oczekującego go zadania oszołomił go. Owszem, miało być gigantycznie - ale żeby aż tak?

Rozmiary znajdującego się jeszcze w budowie kompleksu zaparty mu dech w piersiach: Sama wieża głównego budynku, pozbawionego okien kwadratowego donżonu, miała aż trzydzieści metrów wysokości.

Vogelsang leżał na kompletnym bezludziu w górach Eifel, pośród księżycowego, wulkanicznego krajobrazu. Był jednym z tych owianych legendami miejsc, które w średniowieczu uważane były za siedliska koncentracji kosmicznych mocy a zarazem za wymarzoną scenerię dla sabatów czarownic i czarcich weseli. Na kolebkę narodowosocjalistycznego kultu i ośrodek edukacji nowych elit nadawał się wprost idealnie. Jego surowa architektura przywodziła na myśl warowne zamki rycerzy zakonnych, do których dumnej tradycji akademii nawiązywała i właśnie o to chodziło: wychowankowie Vogelsangu powinni mieć świadomość, że stanowią ogniwa w długim łańcuchu, łączącym walecznych przodków z przyszłymi pokoleniami. Do medytacji nad tym podniosłym faktem służyło mistyczne centrum, które mieściło się w centralnym donżonie. W nim też znajdowała się wysoka na trzy metry figura nagiego atlety, symbolizująca rasę panów.

Odpowiedzialność, jaka spadła na barki Viktora, była kolosalna. Nic dziwnego, że w jego entuzjazm wdzierają się momenty załamania: czy aby podoła? Bez tchu miotał się między Berlinem i Vogelsangiem, dwoił się i troił, dokonywał nadludzkich wysiłków, planował, organizował i decydował. W wirze tej tytanicznej wprost pracy ani przez chwilę jednak nie przestawało go dręczyć wciąż to samo pytanie: skąd tu, na miłość Boską, wziąć żonę? Ogrom obowiązków nie pozostawiał mu czasu na szukanie odpowiedniej kandydatki, Vera, która znajdowała się w zasięgu ręki, nie wykazywała najmniejszego zainteresowania jego osobą - a żenić się trzeba było.

Viktora ogarniała powoli czarna rozpacz. Kiedy mknął samochodem do swojego Vogelsangu i zbliżał się do bram Orlego Dziedzińca, wpadał w panikę na myśl o czekającym tam na niego posągu nagiego młodzieńca nadludzkiej wielkości, dzierżącego krzepko pochodnię i w dumnym rozkroku prezentującego swoje genitalia. Wydawało mu się, że kamienny heros uśmiecha się na jego widok szyderczo, jakby chciał powiedzieć: fujara!

Podczas gdy Viktor budował swój narodowosocjalistyczny zamek, pan von Klinck coraz częściej zadawał sobie pytanie, czy się dobrze czuje we własnym domu. Szczególnie od czasu, kiedy ze stolika w salonie zniknęły jego ukochane *Neueste Basler Nachrichten*, których sprzedaż zakazano na początku lata. Anton Fronk czuł się w nim natomiast doskonale. Pojawiał się regularnie, żeby po znojach dnia w Brunatnym Domu odprężyć się w kuchni przy, przygotowanej ręką kochającej matki, kolacji i butelce dobrego wina z piwniczki pana von Klinck. Używał, oczywiście, głównego wejścia - teraz wszyscy obywatele byli równi. Sprawiało mu wielką uciechę, kiedy Kathi otwierała drzwi, dygała milutko i mówiła grzecznie:

- Dobry wieczór, panie Fronk!

Szczypta ją w policzek, rzucał na jej ręce czapkę i, stukając podkutymi butami, przechodził przez hall. W bibliotece pan von Klinck podskakiwał przy każdym jego kroku i krzywił się niemiłosiernie, jakby go bolał ząb.

- Co ci szkodzi, niech sobie przychodzi - mówiła Toni. - To robi dobre wrażenie na panu Handtke.

Ach, co za szczęście, że miał koło siebie swoją małą, mądrą żonę, która wśród najdramatyczniejszych historycznych i politycznych zawirowań trwała niewzruszenie jak skała pośrodku wzburzonego morza i zupełnie się nimi nie przejmowała. Wszystko się od niej odbijało, nie pozostawiając żadnego śladu. Poza wzdęciami małego Fryderyka, naturalnie. Biedaczek miał wyjątkowo wrażliwy żołądeczek i ryczał po nocach jak zarzynane prosię, ale tak to już było z chłopcami. Podobno mieli troszkę dłuższe jelito. A może krótsze?

Pan von Klinck odrzucił wygasłe cygaro, gwizdnął na psa i ruszył w stronę domu.

W kuchni Anton Fronk odsunął wylizany do czysta talerz i odkręcił z nabożeństwem złote wieczne pióro, które dostał od swojego przyjaciela Himmlera. Sięgnął po kartkę papieru i zaczął pisać:

*Do Ministra Oświaty i Propagandy Rzeszy,  
dra Josepha Goebbelsa*

*Szanowny Panie Ministrze, drogi Towarzyszu Partyjny,*

*jako oddany członek Partii od 1921 roku, stary bojownik naszego Ruchu i nosiciel Orderu Krwi, pozwalam sobie zwrócić się do Pana w następującej sprawie wielkiej wagi:*

*Dzięki - szczególnie Pańskim - nadludzkim wysiłkom udało się oczyścić naszą niemiecką kulturę z obcych elementów i wznieść ją zwycięsko na niespotykane dotąd wyżyny. Nie ma jednak dnia, żeby międzynarodowe Żydostwo nie próbowało wykorzystać naszej dobroduszości i nasza czujność nie powinna ani na chwilę słabnąć. Wciąż jeszcze spotykamy się z próbami wprowadzenia władz w błąd i zatajania danych.*

Anton odłożył pióro, osuszył papier bibułą i z satysfakcją przyjrzał się napisanym przez siebie słowom. Wściekał się, że partia kazała mu wcisnąć się znowu do szkolnej ławki, ale musiał przyznać, że zdobyte na szkoleniach umiejętności okazały się dla człowieka z jego pozycją nieocenione. Nie ma dwóch zdań, przedtem nie potrafiłby takiego listu napisać.

Martha oderwała się na chwilę od pasztetu z zająca - zaczęła się znowu sezon polowań i na stole coraz częściej pojawiała się dziczyzna - żeby z dumą popatrzeć na syna.

- Ciszej tam - rzuciła ostro w stronę Emmi, która hałasowała garnkami w zlewie. - Nie widzisz, że pan Anton pracuje?

Anton uśmiechnął się rozbawiony, puścił porozumiewawczo do Emmi oko i sięgnął znowu po pióro.

*W trosce o czystość krwi niemieckiej Reichstag uchwalił jednoznaczne ustawy, które muszą być z całą surowością wcielane w życie. Na deskach naszych teatrów nie ma miejsca dla osób, których pochodzenie budzi jakiegokolwiek wątpliwości. W przypadku tenora Maxa Finna wątpliwości te są ugruntowane. Według informacji z absolutnie pewnego źródła, wśród jego przodków II stopnia znajdowały się osoby obce pod względem rasowym.*

*Jestem przekonany, że fakt ten umknął uwagi naszej doskonałej administracji tylko dlatego, że miejsce urodzenia Finna znajduje się obecnie na terenie Polski. Jest to godny pożałowania błąd, który niewątpliwie szybko można naprawić.*

*Heil Hitler!*

Anton starannie zakręcił pióro i z przyjemnością ponownie przeczytał list. Tekst wydał mu się świetny - jasny, zwięzły, precyzyjny. Nic dodać, nic ująć. Był z siebie bardzo zadowolony.

Zjazd w Norymberdze okazał się pod każdym względem owocny. Przemówienia może były czasami nużące, ale panowała fantastyczna atmosfera, organizacja zapierała dech w piersiach, a wieczorem w piwiarniach i knajpach nawiązało się interesujące znajomości. To właśnie w browarze poznał tego kolegę ze Śląska, który miał rodzinę w Łodzi. Zupełnym przypadkiem zgadali się na temat Finna. No, może nie zupełnie. Anton chciał Sigggi zaimponować i opowiedział mu o swoim starym kumplu Himmlerze, a potem, żeby zadać szyku i wydać się kulturalnym, wspomniał od niechcienia, kogo to on nie zna w środowisku teatralnym. Pani von Klinck nie wpuszczała go, co prawda, do salonu, kiedy przyjmowała tę swoją cyganerię, choć Martha wielokrotnie napomykała, że mógłby przecież podawać - gdyby tylko te białe rękawiczki... ale w kuchni Kathi i Dórchen opowiadały podniecone, kto przyszedł i jak wyglądał. Opisywały dokładnie suknie i fryzury pań, spinki do mankietów panów, pokazywały nawet kroki tańców, które tańczono w salonie, a szofer Kurt dorzucał garść fachowych informacji o samochodach gości. Szczególnie Emmi słuchała z zapartym tchem i otwartymi ustami, aż Martha czuła się zobowiązana dać jej w ucho, żeby się ocknęła i wróciła do zmywania garów. Anton był więc z berlińskim światem artystycznym doskonale otrzaskany, chociaż znał go tylko ze słyszenia. No nic, czasy się zmieniały, wkrótce niejeden z napuszonych

gości pani von Klinck będzie się cieszył, jeśli uda mu się powołać na znajomość z Antonem.

Sypał więc nonszalancko nazwiskami różnych sław i ploteczkami na ich temat, a Siggi nadstawał uważnie uszu. Kiedy jednak padło nazwisko Maxa, gwałtownie zamachał rękami.

- Ten śpiewak? Ja bym się tam na twoim miejscu akurat do tej znajomości nie przyznawał. Finn to Żyd.

- Jak to: Żyd? Żyda to ja poznam na odległość - obruszył się Anton, wyszkolony w trybie przyspieszonym na kursach nauki o rasach.

- Bywają Żydzi tak cwani, że nawet nie wyglądają na Żydów - pouczył go Siggi. - Wiem z całą pewnością, że babka Finna była Żydówką. Stąd też wziął się ten cały ich majątek: To ona miała pieniądze. Nie dawaj się nabrać na wygląd, kolego! - trzasnął kuflem o kufel Antona, aż prysnęła piana.

Resztę wieczoru Anton pamiętał jak przez mgłę. Morze piwa, wspólne sikanie w ciemnym parku, męskie uściski, braterskie walenie się po plecach. Nie zapomniał jednak najważniejszego: że ten elegancki fircyk z białym Adlerem i głosem, od którego baby mdlały, miał w życiorysie paskudną plamę. Ściągnij Achilleś, które mu on, Anton Fronk, teraz przegryzie. Wystarczy, żeby pstryknął palcami, a ulubieniec dam spadnie ze sceny i wyląduje na końcu świata, wśród wiecznych lodów Antarktydy na przykład, gdzie zapewne już od dawna lepił bałwany doktor Goldberg. Takie to było proste. Jakże piękne, jakże krzepiące było uczucie, że można decydować o losie innego człowieka! Szczególnie człowieka, którego życie było do tej pory usłane różami. Zupełnie jakby się stało Panem Bogiem.

Wszchemocny Anton delikatnie złożył list we czworo i włożył go do koperty. Zwilżył ją energicznym liźnięciem języka, zakleił i zaadresował. Umierająca z ciekawości Emmi zerknęła mu przez ramię. Także i ona zapuszczała teraz warkocze i po obu stronach jej głowy sterczały mysie ogonki. Jeden z nich połaskotał Antona w policzek. Złapał go i mocno pociągnął.

- Ciekawość pierwszy stopień do piekła, panno Emmi - powiedział surowo.

- Oj, co pan, przecież ja tylko stół chciałam wytrzeć. Józefie święty, to pan do samego Goebbelsa pisze? Pan go zna?

Emmi z bogobojnym przerażeniem rzuciła okiem na radio, w którym siedział Goebbels. Ile razy przemawiał - on albo Hitler - Martha zaganiała ją do odbiornika, „żeby się czegoś nauczyła”. Kurt nazywał radio „szczekaczką Goebbelsa”, ale tylko wtedy, kiedy kucharki nie było w pobliżu.

- Pewno, że znam. Jak panna Emmi da mi buziaka, to może mu pannę przedstawię.

- Panna Emmi jest tu do roboty, a nie do amatorów - zaprowadziła ostro porządek Martha. - Emmi, zabieraj się za ziemniaki. A ty zostaw te chichy śmichy i nie zwracaj dziewczynie głowy.

Bo jeżeli już synowa, to taka jak Magda Goebbels, nie taki tłumok jak Emmi. Perły, dekolty, pelisy. Przed jej Antonem stały teraz wszystkie drzwi otworem i ona już dopilnuje, żeby wybrał te najlepsze.

- Skąd ty właściwie znasz Finna, Toni?

Hasso leżał nagi wśród wzburzonej pościeli i palił papierosa. Pokój wyglądał, jakby przeszedł przez niego cyklon, zaścierały go szmatki Toni, zdarte z niej w miłosnym zapale. Nawet na abażurze nocnej lampki kołysały się jedwabne majteczki. Oficjalnie pani von Klinck była u modystki, musieli się więc spieszyć.

- Maxa? Pojęcia nie mam. Przez Ribbentropów? Nie, to był ktoś z filmu. Viktor de Kowa? Nie pamiętam. Dlaczego pytasz?

Toni obróciła się na plecy, żeby lepiej widzieć kochanka. Dopięta swego, Hasso był teraz w SS-Reiteri i stacjonował w pobliżu Berlina. Ćwiczenia na świeżym powietrzu doskonale mu zrobiły, jego ciało pozbawione było grama tłuszczu. O jej własnym nie można było tego, niestety, powiedzieć. Ostatnia ciąża pozostawiła jej paskudne wałeczki na brzuchu i rozstępny na piersiach. Masażystka przychodziła codziennie i ugniatała ją jak ciasto w dzieży przez całą godzinę, ale rezultatów jakoś nie było widać. No cóż, miała czworo dzieci i zbliżała się do wieku średniego, powinna była dziękować Bogu za kochanka, który rzucał się na nią z młodzieńczym zapałem i miał dla niej czas. Otaczali ją sami zaafetowani mężczyźni, tacy jak Viktor, którzy dokonywali nadludzkich wysiłków, budując w pocie czoła narodowosocjalistyczną przyszłość - a Hasso nic. Hasał sobie na koniu i nie robił żadnej kariery. Był na to po prostu za leniwy. Prześlizgiwał się przez życie po najmniejszej linii oporu. Korzystał, jeśli mógł skorzystać, ale podczas gdy inni byli gotowi umrzeć za Sprawę, on chciał na niej co najwyżej zarobić. Właściwie było to szalenie sympatyczne i za to go kochała. Idealiści wydawali jej się straszliwie nudni.

Z wdzięcznością pocałowała pokryte ryżą szczecinką ucho.

- Coś mi się obito o uszy. Coś nieprzyjemnego.

- O Maxie?

- Tak. Wiesz jak to jest: wszystko jest niby ściśle tajne, ale zawsze się zna kogoś, kto zna kogoś i ten ktoś coś wie. Mój ktoś siedzi



w Ministerstwie Propagandy. Podobno Max rasowo pozostawia wiele do życzenia. Jakaś felerna babka czy dziadek.

Toni poderwała się i usiadła wyprostowana na łóżku. Nawet w tym momencie najwyższej bulwersacji nie zapomniała podciągnąć kołdry pod brodę, żeby osłonić nieszczęsne fałdki tłuszczu. Jej fiołkowe oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Bzdura. Max wygląda jak reinkarnacja Zygryda. Jest uosobieniem czystej rasy nordyckiej, przynajmniej w porównaniu z tym prosiakiem Góringiem.

- A jednak. Jakieś ziarenko prawdy musi w tym być. No i teraz klops: ukręcają mu z tego ziarenka stryczek.

- Jaki klops, jaki stryczek? - zdenerwowała się Toni. - Max jest niezwykle popularny, nie ruszą go. Nawet gdyby to było prawdą, zaproponują mu co najwyżej honorową aryjskość, albo coś w tym rodzaju. Słyszałam o takich przypadkach. Sam Góring powiedział: „Kto jest Żydem, decyduje ja”. No to zdecyduje i już, coś takiego na pewno da się załatwić.

- A c h dziecinko, tylu było tych niezwykle popularnych i teraz bębnią na pianinach w podrzędnych barach na Manhattanie. Chociażby Comedian Harmonist - pamiętasz „Veronikę” i „Mój mały kaktus”? Światowe przeboje, a dziś słuch o nich zaginał. Owszem, podobno rozważano możliwość udzielenia Finnowi specjalnego zezwolenia, ale ktoś na samej górze zdecydował, że wprost przeciwnie, powinien być potraktowany z całą surowością. Dla przykładu. Nie będzie żadnych wyjątków dla sławnych i możnych, bo teraz wszyscy są równi, a system czysty jak łaźnia. W końcu Finn popełnił przestępstwo, przemilczał w kwestionariuszach Izby Kultury Rzeszy tę babkę czy dziadka. No i teraz go zamkną.

- Max w więzieniu? Ależ to absolutnie niemożliwe!

Toni była bliska omdlenia. Więzienie było miejscem, gdzie siedzieli kryminaliści, komuniści, prostytutki i ewentualnie homoseksualiści - ale przecież nie jej znajomi! Nie ludzie z towarzystwa, z którymi grywała w brydża i tańczyła fokstrota. Wykluczone.

- Oj, mój kotku, jeżeli w dzisiejszych czasach coś z całą pewnością jest możliwe, to wylądowanie za kratkami. Przepisy są, jakie są, i trzeba ich przestrzegać. Szkoda chłopaka, miły był.

Nie uszło uwagi Toni, że Hasso użył czasu przeszłego, jakby przyszłość Maxa już funta kłaków nie była warta. W zdenerwowaniu szarpała koronki zebranej przy piersi kołdry. Jaka przykra, jaka nieprzyjemna historia! Że też akurat w kręgu jej przyjaciół musiała jakaś babka okazać się rasowo podejrzana... ale kto mógł parę lat temu wiedzieć, jak ważne staną się któregoś dnia takie kwestie? Przecież Hasso nieomalże poślubił tę Endelmannównę - Bóg strzegł. Co za szczęście, że w jej własnej rodzinie i u von Klincków wszyscy przodkowie byli kryształowo przejrzysti jak krople rosy. Na myśl, że jakieś niedopatrzenie z zamierzczłych czasów mogłoby zrujnować życie jej dzieci, zrobiło się jej gorąco. Doprawdy, miała tyle na głowie - dom, mąż, potomstwo, personel, zobowiązania towarzyskie - a tu taka niepotrzebna komplikacja. Żeby tylko ta cała historia nie miała jakichś fatalnych konsekwencji, bo przecież wszyscy wiedzieli, że byli zaprzyjaźnieni z Maxem, a Vera... Vera! Cała groza sytuacji obnażyła się przed Toni z przerażającą ostrością. Poczuli się, jakby nagle otworzyła się przed nią przepaść. Gestem tonącego, który rozpaczliwie szuka ratunku, wbiła paznokcie w ramię Hassa.

- Boże jedyny! Vera!

- Au, boli - skrzywił się Hasso. Szorstko strzepnął jej palce i roztarł zaczerwioną skórę. - Puść, robisz mi siniaki. Co ma być z Verą?

- Vera jest zakochana w Maxie po uszy. Jeżeli go zaaresztują, nie przeżyje tego.

- A tam, zaraz nie przeżyje. Zakocha się w kimś innym. Na przykład w Viktorze.

- Hasso, jak możesz! Jesteś bez serca. Nie masz pojęcia, czym dla kobiety jest miłość, szczególnie pierwsza miłość: wszystkim. To nie tak jak u was, mężczyzn. Wy macie jeszcze pracę, politykę, konie, polowania i pijatyki, my mamy tylko nasze namiętności. Dla nas to sprawa najważniejsza, jedyna. Umarłabym, gdyby ciebie zamknęli.

Hasso chrząknął zadowolony i przygarnął Toni do siebie.

- Ja, oczywiście, też, ale nas nie zamkną. Są to więc rozważania czysto teoretyczne.

- Więc co zamierzasz zrobić?

- J a ?

- A kto? Nie możemy dopuścić do aresztowania Maxa, to przecież jasne. Musisz go ostrzec, pomóc mu wyjechać - chociażby ze względu na Verę.

Hasso jak pocisk wyprysnął z łóżka. W momentach miłosnego uniesienia Toni pochlebiała mu, przyrównując jego muskularne ciało do Hermana Cheruska<sup>1</sup>, ale w tej chwili przypominał raczej zjeżonego, rudego kota. Przyrodzenie zwinęło mu się obronnie w pięść, jądra podrygiwały z oburzenia. Toni pomyślała, że gdyby go nie kochała, wydałby się jej śmieszny.

- Czyś ty oszalała? Mam zdrzeć z gestapo? Ani mi się śni! Jestem oficerem SS i nie mam zamiaru bawić się w żadną konspirację. Współczuję Finnowi, ale jestem wychowany w szacunku do prawa i nie będę go łamał.

Toni nie pozostało nic innego, jak sięgnąć po odwieczną broń kobiety: załała się łzami. Umiejętność tę miała opanowaną do perfekcji, płakała nie rozmazując makijażu i nie siąpiąc nosem.

Nieomalże wszyscy mężczyźni, nawet ci nieustraszeni na polu walki, tracili głowę na widok szlochającej niewiasty. Także i Hasso poczuł się kompletnie bezradny. Skruszony utulił Toni w ramionach i delikatnie ucałował jej mokre powieki.

- Och, ty moje kochane biedactwo... uspokój się, bo mi serce pęknie. Wiesz przecież, że dla ciebie z radością dałbym się zabić, ale nie możesz ode mnie wymagać, żebym nadstawiał karku za Finna. Nie miałyby to zresztą żadnego sensu, na pewno jest obserwowany, nic mu nie pomogę, a sobie tylko zaszkodzę. Rozumiem twoje wzburzenie, sytuacja jest w rzeczy samej delikatna, bo to i przyjaciel domu, i adorator twojej córki chrzestnej, ale w końcu sam sobie winien. Jeżeli jednak jesteś zdania, że należałoby go ostrzec, to powinien go uprzedzić ktoś, kto widuje się z nim codziennie i nie wzbudzi żadnych podejrzeń. Ktoś z teatru. Najlepiej Vera.

<sup>1</sup> Książę germański (19 p.n.e. - 18 n.e.), wyzwoliciel plemion germańskich spod jarzma rzymskiego.

- J a k mam jej to powiedzieć? Byłby to dla biednej dziewczyny straszliwy szok, serce by jej pękło.

- J a k chcesz, bylebyś mnie w to wszystko nie wplątywała. Za brak dyskrecji można zapłacić głową.

- A jeżeli Finn jej nie uwierzy?

- Jeżeli nie uwierzy, to umywam ręce. I tak zrobiłem dla niego więcej, niż powinienem - Hasso wzruszył ramionami. Ach, te kobiety! Potrafiły być okropnie kłopotliwe. Stawiały wciąż człowieka przed jakimiś problemami natury moralnej, a właśnie na takie nie miał najmniejszej ochoty. Dlatego tak cenił sobie wojsko: od oficera nie wymagało się, żeby miał sumienie, tylko żeby sumiennie wykonywał rozkazy - i w tym był głęboki sens.

Było jeszcze gorzej niż się Toni spodziewała. Vera dostała ataku hysterii. Na przemian mdlała i spazmowała, zasłaniała rękami uszy, żeby nie słyszeć, co ciotka do niej mówi, ugryzła nawet Toni w palec, kiedy ta usiłowała wlać między jej zaciśnięte zęby parę kropel waleriany.

- To nieprawda, nieprawda, nieprawda - powtarzała monotonicznie jak lalka z uszkodzonym mechanizmem. - Nie wierzę ci. Żądasz ode mnie rzeczy niemożliwych. Nie mogę mu powiedzieć, żeby wyjechał, bo go kocham.

Toni ogarnęła w końcu szewska pasja. Sama była zakochana i wiedziała najlepiej, że miłość miłością, a życie życiem. Nie można mieć wszystkiego na raz i nie zawsze otrzymuje się to, na co się ma ochotę. Prędzej czy później romantyczne marzenia muszą ustąpić przed rzeczywistością, namiętności trzeba podporządkować obowiązkom. Taki już był los kobiety i należało go dźwigać z godnością, a nie oddawać się mrzonkom.

- Trochę więcej dyscypliny, moja droga - wysyczała. - Narazasz nas wszystkich, w tym domu ściany mają uszy. Ładne mi podziękowanie za wszystko, co dla ciebie robiłam! Rozumiem twoje uczucia, ale obdarzyłaś nimi niewłaściwego człowieka, niestety. Trzeba było się wcześniej zastanowić. Ta nieszczęśliwa afera musi się skończyć, innego wyjścia nie ma. Jedynym ratunkiem dla Maxa jest natychmia-

stowe opuszczenie kraju, więc go ratuj, jeśli go kochasz. Przekonaj go, żeby wyjechał. I módl się, żeby mu się to jeszcze udało.

W swoim zdenerwowaniu Toni zupełnie zapomniała, że Vera poznała Maxa w jej domu i że do wczoraj był on młodym, utalentowanym człowiekiem *comme il faut*, do którego wzdychały setki kobiet. Myślała tylko, ogromnie rozdrażniona, że w dzisiejszych czasach w ogóle nie wiadomo, kogo można przyjmować, a kogo nie. Nawet prałat albo noblista mógł się nagle okazać pół-Zydem, wrogiem narodu, pacyfistą albo, nie daj Bóg, kosmopolitą. Przedtem nie miewało się znajomych zagrożonych kryminałem i zakochanych w nich siostrzenic, reguły gry były jasne i ustalone od pokoleń, a skandale zarezerwowane dla niższych sfer. O polityce nie rozmawiało się przy stole.

- No, uspokój się wreszcie, kotku - powiedziała łagodniejszym już tonem. - Czas pokaże, co będzie dalej. Wielkie przemiany mają to do siebie, że przebiegają bardzo radykalnie, szczególnie w fazie początkowej. To tak, jak choroby dziecięce: przykre, ale mijają. Przeżywamy teraz coś w rodzaju rewolucji z jej wszystkimi dramatycznymi objawami, są to jednak zjawiska niewątpliwie przejściowe i jestem zupełnie przekonana, że kiedy Ruch okrzepnie, sprawy przyschną i sytuacja się uspokoi. Takie czasy trzeba po prostu przeczekać. W przypadku Maxa najlepiej za granicą. Wiesz dobrze, że nie pochwalam opuszczania ojczyzny w trudnej sytuacji, ale innego wyjścia nie ma. Przestań więc histeryzować, umyj buzię i weź się w garść. Zrób to, co musisz zrobić - dla jego dobra i dla swojego własnego. Pójdź do teatru i powiedz Maxowi, że gestapo depcze mu po piętach. Powinien jeszcze tej nocy wyjechać do Szwajcarii. I niech cię ręka Boska broni odprowadzać go na dworzec! Na pewno go śledzą, sprowadziłabyś nieszczęście na nas wszystkich. Idź już, idź, bądź dzielna, jego życie zależy od ciebie. Powiem Kurtowi, żeby cię zawiózł do teatru.

Po tym długim przemówieniu Toni opadła na kanapę kompletnie wyczerpana. Nie wątpiła, że Vera zrobi, co jej przykazała. Zakochana kobieta, nawet nie wiadomo jak załamana, zawsze znajdzie w sobie niezmiernie zasoby siły, żeby ratować obiekt

swojej miłości. Będzie go broniła jak lwica młode, do ostatniej kropli krwi, nawet przeciwko sobie samej. Max zniknie, jak zniknął doktor Goldberg, i będzie można o tej całej przykrej historii zapomnieć. Mocno ścisnęła skronie, czując zbliżający się atak migreny. Wszystko było na jej głowie, wszystko! Każdy członek rodziny włókł do niej swoje kłopoty, nieustannie musiała trzymać rękę na pulsie. Nigdy nie miała chwili spokoju. Wydawało się jej, że lata minęły od beztrudnych dni w Zoppot, spacerów po plaży i wieczorów na werandzie, kiedy to z parku zdrojowego dochodziły dźwięki orkiestry, a jedyne decyzje, jakie musiała podjąć, dotyczyły wyboru odpowiedniego kapelusza. Rozpaczliwie zatęskniła nagle za dziewczyną w mundurku pensji dla panien Holzhausen, która przygryzając koniec warkocza czekała w Konstancji na poznanie w berlińskim pociągu pana von Klinck. Jakże była wtedy młoda, ile miała marzeń! Całe życie stało przed nią otworem, jak skrzynia pełna najcudowniejszych skarbów, i tylko czekało, żeby rozkazała: „Sezamie, otwórz się!” Minęło, wszystko minęło. Miała na brzuchu fałdki tłuszczu, na piersiach rozstępy, a na barkach same problemy - własne i cudze. Wtuliła twarz w ramiona i załkała cichutko. Kiedy pan von Klinck wszedł do salonu, poważnie zaniepokojony, że żona siedzi tam sama po ciemku, rzuciła mu się na szyję i zawołała:

- O Johannesie, jak ja cię kocham, jak ja cię strasznie kocham!

Następnego dnia Vera nie wstała z łóżka. Toni kazała Kathi podać jej śniadanie na tacy, ale nie niepokoiła siostrzenicy, szanując jej ból. Koło południa pojawiła się Caro. Wypinając swoim zwyczajem brzuszek, stanęła obok nietkniętej tacy i założyła ręce na plecach. Także i ten gest przejęła od ojca.

- Jesteś chora? Czy umrzesz?

- Chciałabym - odparła ponuro Vera.

- A I e pastor Kiimmerlein mówi, że tak chceć, to grzech.

- Widocznie jestem grzeszna.

Caro pokręciła z potępieniem głową. Miała wielką ochotę na dalszą dyskusję na tematy religijne, ale Vera nie zdradzała najmniejszej

chęci do rozmowy. Leżała z głową zwróconą ku ścianie i zamkniętymi oczami. U mamusi oznaczało to migrenę i bardzo, bardzo zły humor, więc Caro wycofała się cichutko.

- Vera jest umierająca - zakomunikowała matce. - Czy dostanę jej pokój, jak umrze?

- Nie mów bzdur, nie zawracaj jej głowy i natychmiast umyj ręce. Może Vera złapała jakiegoś wirusa i jeszcze się od niej zarazisz.

Wezwany pospiesznie doktor Schlotterberg, który zastąpił doktora Horna i bardzo szybko został uznany przez pana von Klinck za takiego samego idiotę, stwierdził ogólne wyczerpanie i anemię. Tym razem jego diagnoza brzmiała jednak rozsądnie, anemia była szalenie popularna wśród młodych panien, nie można było się pomylić. Toni nie uwierzyła w nią ani przez chwilę, ale kazała karmić Verę siekanymi wątróbkami. Nie przyniosło to większych rezultatów: Vera niczego nie chciała jeść i jej oczy robiły się coraz większe w wychudłej twarzy. Viktor codziennie przysyłał jej kwiaty, ale kuzynka nie życzyła sobie jego wizyt. Jedynie Toni wolno było ją odwiedzać. Siadała na brzegu łóżka i kładła chłodną dłoń na czole Very, jak czyniła, kiedy dzieci były chore. Wydawało się, że przynosi to cierpiącej ulgę.

Najstraszniejsze dla Very było to, że Max wcale nie robił wrażenia wstrząśniętego. Wprost przeciwnie, można było pomyśleć, że od dawna na taką wiadomość czekał i przyjął ją z pewną ulgą. Powiedział Verze, że w jego rodzinie nikt babci Sally nie uważał za Żydówkę, ona sama też się za nią nie uważała. Wszyscy chyba po prostu o tym zapomnieli, tak bardzo to było nieistotne. Od dawna jednak rozważał możliwość emigracji. Nie wyobrażał sobie pozostania w kraju, w którym panowało skrupulatnie uregulowane przepisami bezprawie. To, co naziści nazywali szumnie „odrodzeniem narodowym”, było jego zdaniem najprymitywniejszym barbarzyństwem. Ideał tępego, ale czystego rasowo obywatela, pozbawionego rozumu, strzelającego obcasami i ślepo posłusznego, urągał wielkiej kulturze niemieckiej. Najlepsi już wyjechali, dobrowolnie bądź pod przymusem, i wśród nich było jego miejsce. Do tej pory tylko miłość do Very powstrzymywała go od podjęcia ostatecznej decyzji. Teraz jednak nie miał innego wyjścia.

- A ja? - zapytała Vera. - Co będzie ze mną?

Nie mogła uwierzyć, że podczas gdy ona snuła plany na przyszłość, kochała, marzyła, oddawała mu się z całą ufnością, Max planował ucieczkę. Słowa „wolność” i „godność”, które tak często padały z jego ust, brzmiały w jej uszach jak frazesy. Każda kobieta bez wahania zamieniłaby je na „miłość”.

- Ty będziesz zawsze w moim sercu - tak jak Niemcy.

Co za banał! Nie chciała być noszona w sercu, chciała zasypiać w jego ramionach. Czuła się przecież jego żoną - może nie na papierze, ale w rzeczywistości - połączyła z nim swój los. Czyż nie dała mu wystarczających dowodów miłości, zupełnie nie licząc się z konwenansami?

- Nie zniosę rozstania z tobą. Jedź, oczywiście, jedź, ratuj się, ale obiecaj, że natychmiast wrócisz, jak tylko sytuacja na to pozwoli.

- Vero, to nie potrwa długo. System zbudowany na tak krzyczącej niesprawiedliwości nie może trwać wiecznie.

Ale czas mijał, zakrojona na tysiąc lat Rzesza krzepła i nic nie zapowiadało jej rychłego końca. Vera przewracała się na łóżku i przywoływała w pamięci słowa Maxa. Czepiała się ich jak tonący czepia się ostatniej deski ratunku, szukała w nich oparcia na długie dni - miesiące, może lata? - które miała spędzić, czekając na niego.

W teatrze skandal szybkoitko zatuszowano, zdjęto z programu „Cyganię” i z wielką pompą wystawiono „Śpiewaków Norymberskich”. Partię Vero śpiewała w nich Elvira, dobrze ustawiona przez dyrygenta z lwią grzywą i rzymskim nosem. Vera wcale się tym nie przejęła. Krótka kariera operowa wydawała się jej teraz równie nierzeczywista jak noce z Maxem. Dyrektor uprzejmie przysłał jej kosz róż z życzeniami rychłego powrotu do zdrowia, ale kazała je wystawić za drzwi, od zapachu kwiatów, jak twierdziła, dostawała bólu głowy.

Nie umarła jednak z rozpaczy, na złamane serce się nie umiera. Po trzech tygodniach uległa namowom Toni i zaczęła schodzić na posiłki. Najchętniej siadywała w ogrodzie zimowym, wśród palm, które na zimę przynoszono z tarasu do domu, przyglądając się tępo ogołocnym z liści drzewom i zziębniętym ptakom. Tak właśnie się



czuła: naga, zmarznięta, wydana na pastwę wiatru. Tam też zaskoczył ją któregoś dnia Viktor.

- Toni powiedziała mi, że cię tutaj zastanę, Vero. Cieszę się, że się lepiej czujesz - pozwolisz, że przysiądę się na chwilkę?

Nie czekając na odpowiedź, przyciągnął sobie wiklinowy fotel i wcisnął się pod palmę obok Vero. Szorstkie pióropusze liści boleśnie przejechały mu przez policzek, ale nie zwrócił na to uwagi.

Viktor miał teraz świetną passę. Sprawy nie mogły układać się lepiej. Prace budowlane w Vogelsangu dobiegały końca i Orle Gniazdo nabrało ostatecznego kształtu. Jak przeniesiona z odległych czasów rycerska warownia panowało nad doliną rzeki Urft. Zawieszona między niebem a ziemią, często spowite w chmury, emanowała tajemniczą, dziwną mocą i każdy, kto się w nim znalazł, nie potrafił się oprzeć mistycznej fascynacji. Wokół wieży krążyły z ostrym krzykiem sokoły i myszołowy, a widok, rozpościerający się z Orlego Dziedzińca na księżycowy krajobraz wulkanicznych stożków, nie miał sobie równych. Viktor kochał to niezwykle miejsce. Ile razy się do niego zbliżał, ogarniała go szalona radość a zarazem pokora, gdyż w obliczu potęgi natury i rozmachu monumentalnej architektury człowiek czuł się nieskończenie mały. Jednocześnie pierś rozpieęła mu duma, bo to właśnie on, przy całej swojej niedoskonałości, został wybrany, żeby tchnąć życie w mury zamku. Już wkrótce zaludnią się one młodymi, nieustraszonymi mężczyznami, ich kroki zadudnią na płytach dziedzińca, okrzyki komend i śmiechy miesza się z nawoływaniem ptaków. Śledząc wzrokiem szeroko rozpięte skrzydła szybujących nad warownią myszołowów, dziękował Bogu, że nie został uznany za godnego posadki w gimnazjum dla chłopców w Deutsch-Eylau i Opatrzność skierowała jego kroki tutaj. Na myśl, że tak niewiele brakowało, żeby spędził życie jak ojciec - w szkole, przed którą kury dyrektora rozgrzebywały rabatki begonii, człapiąc smętnie po śmierdzących środkiem dezynfekcyjnym korytarzach, gdzie na parapetach usychały z rozpaczki paprotki - stalowa obręcz skuwiała mu pierś. Z nowym zapałem rzucał się w wir pracy, mnożył i dzielił, wtłaczał w rubryki szeregi cyfr, wiązał litery w równe sznureczki zdań, a zdania w raporty, z których miała wyłonić się

przyszłość Vogelsangu i jego własna. Tylko jednego w tej świetnej przyszłości wciąż jeszcze mu brakowało: żony.

Vogelsang miał wykuć herosów nowych czasów. Ich ciała miały być posągowe, wola niezłomna, serca wierne, morale bezprzykładne. Całym swoim życiem mieli stanowić wzorzec dla mas, które będą ku nim spozierać z podziwem. Oznaczało to, że musieli również być świadomi podstawowego obowiązku, jaki mieli do wypełnienia w stosunku do swojego narodu: obowiązku podtrzymania rasy. Od wychowanków Vogelsangu oczekiwano, że będą żonaci. Tym bardziej od kadry. Viktor potrzebował żony - natychmiast!

Problem znalezienia odpowiedniej partnerki zaprzętał go dzień i noc. Z czasem nabrał rozmiarów obsesji. Aluzje jego przełożonych stawały się coraz bardziej jednoznaczne - wymarzone stanowisko mogło mu przejść koło nosa. Za nic na świecie nie mógł do tego dopuścić! Ile razy przebiegało koło niego stadko rozkwierkanych dziewcząt z BDM, odprowadzał je głodnym wzrokiem. Tyle rozkolyśnianych piersiątek, podrygujących na plecach warkoczków, prężnych tydek - i żadne z tych słodkich stworzeń nie należało do niego! Natłok zajęć nie pozwalał mu na intensywne życie towarzyskie i nawiązywanie znajomości. Jeżeli już udało mu się poznać jakąś młodą kobietę, niechybnie okazywało się, że była zaręczona albo kompletnie niezainteresowana. A w domu siedziała Vera, najwyraźniej samotna, najwyraźniej znudzona, z drzewem genealogicznym potężnym jak święty dąb germańskiego plemienia i krwią czystą jak kryniczna woda. Coraz częściej ukradkiem taksował ją wzrokiem.

- Już dawno chciałem z tobą porozmawiać, Vero.

Długie rzęsy uniosły się ociężale, jakby Vera uchyliła na chwilę wdowi welon. Błysnęło niechętnie zielone oko, zarejestrowało obecność Viktora i natychmiast zgasło. Powieki zatrzasnęły się szczelnie.

- Jak wiesz, powierzono mi trudne, ale zaszczytne zadanie. Pozwolę sobie z całą skromnością zauważyć, że do tej pory udawało mi się wywiązywać z moich obowiązków ku zadowoleniu przełożonych. Rokują mi dużą karierę.

Vera wcisnęła się głębiej pod palmę niczym ślimak do skorupy.

- Doprawdy?

- Powinnaś koniecznie zobaczyć Vogelsang. To wspaniałe miejsce, jak z dawnych eposów rycerskich. Groźne a zarazem romantyczne. Fascynujące. A jakie piękne widoki!

- Och.

- Jak okiem sięgnąć - dziewicza natura, nietknięta ręką człowieka. Widziałem tam niespotykane nigdzie gatunki kwiatów i rzadkie ptaki. W tak niecodziennym otoczeniu człowiek wznosi się na nieznaną wyżynę i szybuje ku doskonałości.

- Co ty powiesz! - Zielone oko wychynęło ponownie i z zainteresowaniem zlustrowało nieskazitelnie równy przedziałek Viktora.

- Niby jak szybuje: na wieżę i siup?

- W sensie przenośnym, oczywiście - wyjaśnił Viktor lekko urażonym tonem. - Transcendentalnym.

- Rozumiem.

- Chciałem przez to tylko powiedzieć, że okolice są ładne, a praca pasjonująca. Mamy dobrany zespół fachowców o nieprzeciętnych kwalifikacjach i wysokim morale. Świetni ludzie, prawdziwi idealisci.

- No to pięknie.

- Spodobaliby ci się.

- Pewnie tak.

Viktor zaczął się niespokojnie kręcić w fotelu. Palma kłuła go w kark i zasłaniała twarz Very, co bardzo utrudniało konwersację. Nie można wiedzieć, co myśli człowiek, którego głowę przykrywają liście. Po omacku sięgnął po rękę Very i lekko ją uściśnął.

- Jestem o tym przekonany. Na pewno czułaś się tam w wyśmienicie - ponad gniazdami orłów, bliżej gwiazd... Kolosalna sceneria, mili ludzie. Kulturalni. Vogt gra zupełnie niezłe na pianinie, a Berger na wiolonczeli. Gdybyś tylko zechciała... Moja pensja jest bardzo przyzwoita. Perspektywy wyśmienite. Mieszkanie na zamku zapewnione, cztery pokoje, wszystkie wygody. Mógłbym ci zapewnić bezpieczną przyszłość. Bo widzisz, chodzi o to, że ja muszę... nie, nie to chciałem powiedzieć. Vero, od pierwszej chwili, kiedy

cię zobaczyłem, poczułem, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Razem moglibyśmy osiągnąć wszystko, co nam się tylko zamarzy. W naszych genach połączyłoby się to, co najlepsze w obu naszych rodzinach, twoi przodkowie i moi, dwie świetne tradycje, dwie wyśmienite stajnie... Vero, czy zostaniesz moją żoną?

Vera powoli wygrzebała się z palmowej dżungli. Stanęła przed Viktorem, wysoka, smukła jak łania, z piersią godną Brunhildy, wynik wysiłków niezliczonych pokoleń, triumf rasy, każda kropla krwi szlachetna jak wino. Podparła się pod boki i powiedziała:

- A wynoś się do diabła!

Miesiąc po wyjeździe Maxa nie ulegało już żadnej wątpliwości, że Vera jest w ciąży. Na szczęście pana von Klinck nie było w domu, kiedy zwymiotowała po śniadaniu na bezcenny, przetykany złotą nitką, osiemnastowieczny dywan z Isfahanu. Toni już wyciągała rękę, żeby zadzwonić po pokojówkę, kiedy straszliwe podejrzenie kazało jej zastygnąć w tej pozycji, jak żonie Lota po zagładzie Sodomy.

- O nie - powiedziała. - Tylko nie to. Vero, ty chyba nie jesteś...?

- Chyba jestem - odparła Vera nieszczęśliwym głosem. - To znaczy, nie wiem. Skąd mam wiedzieć, jak to jest, kiedy się jest? Nikt mnie nie poinformował.

- I bardzo słusznie. Pannie ta informacja jest zupełnie niepotrzebna, a mężatki dowiadują się we właściwym czasie - wyjaśniła zimno Toni.

Pan von Klinck twierdził, że jego żona majak koty, siedem żyć i tę samą, co one, umiejętność spadania na cztery łapy. Pogodne usposobienie i spora doza sprytu pozwalały jej odważnie stawiać czoła wszystkim przeciwnościom życiowym i zwiączęsko wychodzić z nawet najbardziej kłopotliwych sytuacji. Jej optymizm był przysłowiowy. Była akurat na tyle pozbawiona skrupułów, żeby działać skutecznie i na tyle powierzchowna, żeby nie zaprzętać sobie głowy wyrzutami sumienia. W obliczu katastrofy o tak wielkich rozmiarach poczuła się jednak całkowicie bezradna. Jedyne, co jej wpadło do głowy, to: „Trzeba to ukryć przed służbą” i jeszcze: „Może uda się dywan uratować przy pomocy listków herbaty”. Po tym wysiłku intelektualnym opadła na fotel, przycisnęła drżącą ręką chusteczkę do ust i oddała się rozpacz. Dzieci były, bez wątpienia, największym szczęściem i obowiązkiem kobiety. Jej zadaniem było wydawanie ich na świat, zapewnienie mężowi syna, firmie następcy, majątkowi dziedzica. Pragnęło się ich i oczekiwało z radością, jeszcze zanim rząd ogłosił macierzyństwo zagadnieniem o wadze ogólnopaństwowej.

Ale przecież nie nieślubne!

Kobietom ze sfery Toni coś takiego po prostu się nie zdarzało. Wykluczone. Przed ślubem - nigdy. Nie pannom z dobrego domu. A nawet gdyby, to pospiesznie odbywało się wesele i skandal został w porę zatuszowany. Żaden człowiek honoru nie pozostawiłby dziewczyny w sytuacji tak delikatnej na lodzie.

A niech to szlag trafi. Toni podniosła się ociężale z fotela, wyjęła z kredensu karafkę koniaku i nalała sobie solidną szklaneczkę, żeby uspokoić rozdygotane nerwy. Wychyliła duszkiem. Nie tak to sobie wyobrażała. Myślała, że będzie dla Very dobrą matką chrzestną z bajki o Kopciuszku, zmieni jej życie w ciekawsze, pełne blasku, rozjarzone światłami kryształowych żyrandoli, wystane czerwonym pluszem, wyłożone marmurem. Wprowadzi ją na deski teatru i do najświetniejszych berlińskich salonów. Razem z Verą przeżyje jeszcze raz radość odkrywania nowych światów i nowych uczuć. Poczucie się znowu młoda, przymierzając z nią kapelusze, szyjąc suknie i wypróbując fryzury. A potem Kopciuszek zgubi w odpowiednim momencie pantofelek na właściwych schodach i pójdzie swoją drogą. O tym, że księżę będzie miał brzydką plamę w życiorysie, która zmusi go do opuszczenia królestwa, a Kopciuszkiem będą targały młodości, bajka nic nie wspominała.

- J e d n o jest jasne - powiedziała tonem, wykluczającym wszelki sprzeciw. - Będziesz musiała się tego pozbyć.

Toni dwukrotnie usuwała ciężę - jeszcze dwie tajemnice w jej życiu, skrzętnie ukrywane. Cztery porody, dwie skrobanki, nikt nie mógł od niej wymagać, żeby zniosła więcej. Za pierwszym razem Joachim miał zaledwie trzy miesiące. Był upragnionym dzieckiem - ale Toni nie mogła po porodzie wydobyć się z depresji. Któż wtedy słyszał o hormonach? Nie wyobrażała sobie męczarni następnej ciąży, wydawało jej się, że nie podoła trudom macierzyństwa, czuła się nieforemna i stara. Miała wrażenie, że jej młodość nieodwołalnie się skończyła. Za drugim razem miała wszelkie podstawy przypuszczać, że wpadła z Hassem. Johannes przebywał w tym czasie przez wiele miesięcy za granicą - nie mogła postąpić inaczej.

Doktor Hirschfeld, człowiek dyskretny i wyrozumiały, okazał się w obu wypadkach błogostawieństwem. Polecił jej kolegę, który

z dużym taktem uwolnił ją od kłopotu. Do tej pory myślała o tym okropnym zabiegu ze zgrozą - ale czyż miała inne wyjście?

Vera też go nie miała.

Dobrego doktora Hirschfelda zmiotła jednak zawierucha narodowego odrodzenia, a jego uczynny kolega wyemigrował po ustawach norymberskich. Za usuwanie ciąży groziły obecnie drakońskie kary. Jakby sam zabieg nie był już wystarczającą karą za chwilę zapomnienia. Co mogła teraz poczuć Vera? Gdyby miała choć odrobinę oleju w głowie, wydałaby się jak najszybciej za Viktora - ale nie miała. Toni zrobiłaby to na jej miejscu bez wahania.

- Będziesz musiała wyjechać za granicę - zdecydowała, a widząc błysk nadziei w oku Very, dodała sucho:

- Nie do Szwajcarii, do Danii. Będę ci towarzyszyła. A teraz idź do swojego pokoju, muszę się nad tym wszystkim zastanowić. - Nic więcej nie zostało do powiedzenia. Wina Very była niewybaczalna. Powlokła się więc ze spuszczoną głową na górę, jakby była jednym z dzieci Toni, które karano wykluczeniem ze świata dorosłych, kiedy coś przeskrobały. „Idź do swojego pokoju” oznaczało odebranie miłości, której upadła Vera tak bardzo w tej chwili potrzebowała.

Toni została w salonie sama. Wyczyściła dywan i zaczęła rozmyślać, a że sytuacja wymaga przede wszystkim trzeźwej głowy, łyknęła veronal i popiła go koniakiem. Zagryzła połową czekoladek z bombonierki i przepłukała usta wodą kolońską, żeby nie czuć było od niej alkoholu o tak wczesnej porze. Potem zadzwoniła na pokojówkę. Kathi pojawiła się natychmiast, co oznaczało, że podsłuchiwała pod drzwiami. Pani von Klinck postanowiła nie wgłębiać się w ten temat - nie czuła się na siłach.

- Poczta? - zapytała.

Kathi podała jej srebrną tacę, na której leżały starannie poukładane w dwa stosiki listy. Wzrok Toni powędrował natychmiast w stronę mniejszego, a jej modnie wyskubana brew uniosła się w górę jak znak zapytania. Pokojówka znacząco pokiwała głową.

Rozumiały się bez słów. Tylko jeden list Maxa dotarł do rąk Very, wywołując w niej burzę sprzecznych uczuć, oscylujących między euforią i czarną rozpaczą. Przybył do Szwajcarii, przekroczył granicę

bez problemów i zatrzymał się nad Jeziorem Bodeńskim. Patrząc codziennie na miasteczka po niemieckiej stronie, a serce pękało mu z tęsknoty za Verą. Przyszłość na razie wyglądała niepewnie, władze szwajcarskie szykanowały emigrantów. Jeszcze nie znalazł żadnego engagement, ale ojciec na pewno postara się przerzucić mu jakieś pieniądze. Jak tylko jego byt będzie zapewniony, spróbuje sprowadzić Verę. Czy ktoś zatroszczył się o jego kanarka? Byłoby okropne, gdyby biedne stworzenie zdechło z głodu.

Kanarek, też coś! Tu chodziło o życie Very. Na samą myśl o ptaszku, którym niepokoił się Max, Toni ogarniała wściekłość. Zawrócił dziewczynie głowę, zrobił jej dziecko i martwił się o kanarka! Ale Vera czytała ten list wciąż na nowo jak Biblię, smakowała każde słowo, aż atrament wyblakł, kartki wystrzępiły się na brzegach, a papier przetaił na zgięciach od częstego rozkładania. Tak być nie mogło.

Kathi, bardziej oddana powiernica niż służąca, otrzymała polecenie czatowania na listonosza i przechwytywania wszystkich listów do panny Very. Ze względu na delikatny stan zdrowia panny Kathi miała je oddawać pani Toni. Zadaniem dobrej pokojówki było spełnianie życzeń państwa, a nie zastanawianie się nad ich sensem, toteż Kathi sumiennie sortowała pocztę i trzymała buzię na kłódkę. Dwadzieścia marek i broszka z prawdziwym ametystem wydatnie pomogły jej zachować dyskrecję, a dyskrecja była zaletą, którą pani von Klinck ceniła sobie u służby najbardziej. Można było powiedzieć, że stanowiły dobrze zgrany zespół: Toni wiedziała, że może na Kathi liczyć, Kathi miała miłą świadomość, że ma panią w ręku.

- Dziękuję, Kathi - powiedziała ciepło pani von Klinck. - Możesz już posprzątać po śniadaniu. Powiedz Kurtowi, że na jedenastąjadę do fryzjera, niech czeka pod gankiem.

Szybko przesunęła koperty przez palce jak talię kart i odłożyła część listów na bok. Kathi, stojąca już w drzwiach z tacą w rękach, zatrzymała się nagle i odwróciła.

- Listonosz mi mówił, że pan Handtke wypytywał go o państwa korespondencję. Czy otrzymują państwo listy z zagranicy i jakie dzienniki są prenumerowane. Listonosz odpowiedział mu, że nie ma



czasu na oglądanie poczty, którą roznosi - tak przynajmniej twierdził. Mnie się jednak wydaje, proszę pani, że w obecnych czasach chyba lepiej nie dostawać żadnych listów z zagranicy.

- Ja też tak myślę - westchnęła pani von Klinck. - Podziękuj listonoszowi i daj mu piętnaście marek. Resztę możesz sobie zatrzymać.

Wręczyła pokojówce banknot dwudziestomarkowy i wsunęła zaadresowane zamasztysem Maxa koperty do kieszeni. Spali je. Vera kiedyś przyzwyczała się do myśli, że Max o niej zapomniał - nic innego jej nie pozostało. Ta nieszczęśliwa historia musi się wreszcie skończyć. Doprawdy, co za pech, że nie pozostała bez konsekwencji! Kto by pomyślał, że córka tej świętej Alberty tak się zapomni. Nawet jeżeli uda się jej szczęśliwie pozbyć kłopotu, to niełatwo będzie znaleźć dla niej męża. Pewne sprawy mężczyźni chcą załatwić sam - nawet w dzisiejszych czasach. Może i zaszły w tym kraju kolosalne zmiany, ale pod tym względem nic się nie zmieniło.

Pani von Klinck poczuła znajome pulsowanie w skroniach. Przyjęła je z rezygnacją, bo jakże nie miała jej dokuczać migrena - w tak trudnej sytuacji? Na szczęście w salonie Wiosenny Lok czekały już na nią uduchowione ręce Paula, żeby w kojących oparach perfum i lakierów wyszamponować, wymasować, wyklepać i rozetrzeć jej skołataną głowę. Na myśl o oczekującym ją radosnym misterium krew w żyłach pani von Klinck zaczęła żywiej krążyć. Sięgnęła po srebrną muszlę puderniczki i zaczęła energicznie poprawiać makijaż, gdyż nic tak nie podnosi kobiety na duchu jak nowa fryzura.

Pensjonat pani Claussen nazywał się Zacisze Morskie. Nazwa była całkowicie usprawiedliwiona: leżał na skraju lasu, co gwarantowało ciszę, a z okien rozpościerał się widok na bezmiar wody i rozległą plażę. Gości pani Claussen nie interesowały jednak widoki i spacer. Jej klientela składała się głównie z młodych kobiet i towarzyszących im osób, na ogół matek albo sióstr. Na pierwszy rzut oka można byłoby sądzić, że są to panie z dobrych rodzin, które podróżują po Europie, żeby poszerzyć horyzonty. Na drugi, zauważało się, że mają zbolące twarze i zaczerwienione od płaczu oczy.

Po drugiej stronie ulicy, nieomalże naprzeciwko, znajdowała się prywatna klinika doktora Sondegaarda. Rozłożone w hallu prospekty informowały, że była to renomowana klinika ginekologiczna, specjalizująca się w usuwaniu cyst, polipów i nadżerek. W rzeczywistości usuwano tam ciężce. Mieszkanki pensjonatu musiały tylko przejść przez ulicę - i właśnie z tego pani Claussen żyła.

Kobiety, które przyjmowała pod swój dach, znajdowały się w beznadziejnej sytuacji. Za każdą parą udręczonych oczu ukrywał się życiowy dramat. Zacisze Morskie mogło się poszczycić największą liczbą złamanych serc na metr kwadratowy w całej Danii i tak właśnie pani Claussen nazywała swój dom w przypiływach dobrego humoru: „Przystań złamanych serc”. Będąc jednak osobą macierzyńską i z natury pocziwą, nie szczędziła starań, żeby jej pensjonariuszkom rzeczywiście wydawał się bezpiecznym portem, w którym ich burzliwa podróż dobiegała końca.

Obowiązujące od paru lat w Niemczech surowe przepisy aborcyjne przysparzały jej klientek. Rozpoznawała Niemki natychmiast. Rozmawiając, zbliżały do siebie głowy i rozglądały się bojaźliwie po bokach, w jadalni odsuwały swoje stoliki pod ściany, bo miały wrażenie, że stoją za blisko pozostałych. Płaciły jednak z zasady z góry i były w swojej desperacji niezwykle zdyscyplinowane, toteż pani Claussen bardzo je sobie ceniła. Pogłoski, że w Niemczech po-

wstała organizacja Lebensborn, ogromnie ją martwiły. Lebensborn zapewniał podobno niezamężnym matkom opiekę, dyskretny poród i pośredniczył przy adopcji dzieci. Oczywiście, z tej pomocy mogły korzystać jedynie kobiety spełniające wszystkie kryteria rasowe, ale i tak odbiłyby się to fatalnie na interesach pani Claussen.

Dwie nowe klientki też były Niemkami i z miejsca wzbudziły jej zainteresowanie. Przedstawiły się jako pani Klinckmann i pani Rath, w co pani Claussen, rzecz jasna, ani przez chwilę nie uwierzyła. Lepsze sfery wyczuwała węchem, a te panie pochodziły niewątpliwie z arystokracji. Ubrane były kosztownie i według najnowszej mody, czym korzystnie wyróżniały się wśród swoich rodaczek, ale na tym różnice się kończyły. Ich twarze tak samo były naznaczone cierpieniem i równie markotnie grzebały widelcami w swoich talerzach. Młodsza wyglądała, jakby szła na ścięcie, starsza przygotowywała ją do egzekucji. Nacierając skronie towarzyszki *eau de cologne*, masując jej bezwładne ręce i wachlując ofiarnie pozbawione kropli krwi policzki, podtrzymywała ją na tyle przy życiu, żeby była w stanie przekroczyć Rubikon, czyli w decydującym momencie przejść na drugą stronę ulicy. Pani Claussen, która w swoim życiu widziała to już wielokrotnie, obserwowała je z zaciekawieniem. Każdego dnia zastanawiała się, podając do śniadania grzanki, kiedy to nastąpi, a nastąpić musiało, bo z Zacisza Morskiego innego wyjścia, jak przez klinikę doktora Sondegaarda, nie było.

Kiedy więc zobaczyła ich mocno ze sobą szczipione sylwetki - ramiona starszej trzymały młodszą w żelaznym uścisku - znikające w drzwiach domu naprzeciwko, skonstatowała z zadowoleniem, że sprawy wzięły swój obrót i powiedziała do pokojówki:

- Marie, panie z siódemki będą teraz przyjmowały posiłki w swoim pokoju.

W długim szeregu pensjonariuszek pani Claussen obie Niemki, pomijając eleganckie kapelusze i drogie perfumy, niczym szczególnym się nie wyróżniały i pewnie zapomniałyby je równie szybko, jak wszystkie inne nieszczęśliwe cienie, które w jej pokojach gryzły w rozpachy kołdry i wbiły w ściany paznokcie, gdyby nie pewien incydent. Miał on miejsce w przeddzień ich wyjazdu, w niedzielne

popołudnie tak słotne i zimne, że pani Claussen kazała napalić w kominach, włożyć do łóżek owinięte we flanelę butelki z gorącą wodą i podać zgromadzonym w bawialni paniom herbatę z rumem. Stado kobiet, przycupniętych w fotelach jak zziębnięte wrony, składało się z rekonwalescentek, które na tyle powróciły już do zdrowia, że mogły oddać się jedynym dostępnym dla nich niedzielnym rozrywkom: mszy w pobliskim kościele i słuchaniu radiowego koncertu. Zajęta roznoszeniem kruchych ciasteczek z dżemem, pani Claussen nie zwracała uwagi na muzykę. Jej niewyszkolone ucho nie odróżniało nawet Straussa od Wagnera, radio zakupiła wyłącznie dla gości, pragnąc dostosować przedsięwzięcie do wymogów nowoczesnych czasów, nieszczęsnym duszom należała się choć odrobina przyjemności. Nie wiedziała więc, kim jest śpiewak i co śpiewa, wydawało jej się, że była to jakaś stara niemiecka pieśń. W każdym razie młodej Niemce musiała być ona dobrze znana, bo już przy pierwszych słowach - brzmiały one, bodajże: *Es ist so still geworden* - poderwała się z fotela i przycisnęła ręce do ust. Wydała z siebie okrzyk, którego pani Claussen nie rozumiała - przypominał raczej skowyt udęconego zwierzęcia niż ludzki głos - i zanim jej towarzyszka zdążyła ją podtrzymać, runęła zemdłona na podłogę. Przykry i zupełnie niepotrzebny incydent w domu, którego właścicielka nie szczędziła wysiłków, żeby nadać mu wszelkie cechy normalności. Zdanie to musiała podzielać widocznie starsza Niemka, gdyż rzuciła w przestrzeń tonem wyjaśnienia, podsuwając pod nos zemdłonej sole trzeźwiące:

- Panie muszą wybaczyć, siostrzenica cierpi na anemię. Nic szczególnego się nie stało, zaraz przyjdzie do siebie.

Na ten sygnał zgromadzone w bawialni kobiety pospiesznie powróciły do swoich zajęć. Zaczęły zawzięcie mieszać herbatę, z przejęciem chrupać ciasteczka, energicznie postukiwać łyżeczkami o spodeczki i dyskretnie szeleścić kartkami żurnali. Nic się nie stało - ależ oczywiście! Niepisaną regułą Zacisza Morskiego było, że nic, ale to nic szczególnego, w nim się nie zdarzało.

Zemdłona otworzyła wkrótce oczy i jej towarzyszka wyprowadziła ją z sali, troskliwie wspierając ramieniem. Pani Claussen obda-

rzyła je olśniewającym uśmiechem i ruszyła znowu rozrzucać swoje ciasteczka, jakby karmiła stadko kur. Panie posłusznie nadstawiały talerzyki, chwaliły szeptem wypieki i dziobały z wdzięcznością okruszki. W radiu tenora zastąpiła sopranistka.

A że wiatr przybrał na sile i huk wzburzonego morza wdzierał się do bawialni nawet przez zamknięte okiennice, nikt poza panią Claussen nie usłyszał, jak starsza Niemka mówiła ze złością do młodszej:

- Na miłość Boską, Vero - czy to się nigdy nie skończy? Czy to naprawdę nigdy się nie skończy?

Toni nie uważała za stosowne powiedzieć Verze, że w czasie zabiegu nastąpiły komplikacje i najprawdopodobniej nigdy nie będzie mogła mieć dzieci, bo i po co? Hołdowała zasadzie, że wszystko jest w ręku Boga. Czasami jednak decydowała się pomóc Opatrzności, gdyż nie było wykluczone, że Pan zajęty był akurat innymi sprawami i nie miał czasu, żeby rzucić okiem na swoją trzódkę. Wiosną, kiedy natura udowodniała, jak co roku, że nic nie jest ostateczne i wszystko można zacząć od nowa, włożyła do dużej koperty paczkę nieotwartych listów Maxa wraz z bilecikiem, w którym zawiadamiąta go, że Vera wychodzi za mąż i prosi o niepodtrzymywanie kontaktu. W zaistniałej sytuacji byłoby to, doprawdy, nie na miejscu. Nie wątpi, że jej dobro nadal leży Maxowi na sercu i zachowa się jak przystało na człowieka honoru.

Bardzo z siebie zadowolona, zakleiła kopertę i kazała Kathi za-  
nieść ją na pocztę. Powinno to rozwiązać sprawę raz na zawsze:  
jeżeli Max do tej pory jeszcze się nie zniechęcił, zniechęci się teraz  
na dobre.

W rzeczywistości Vera daleka była od snucia planów małżeńskich  
i uporczywie kręciła gałkami radia w nadziei, że gdzieś w eterze roz-  
legnie się głos Maxa. Cel jednak czasami uświęcał środki, kłamstwo  
było w tym wypadku nie tylko usprawiedliwione, ale wręcz koniecz-  
ne. Szczególnie, że zainteresowanie pana Handtke korespondencją  
państwa von Klinck ani trochę nie słabło.

Jeśli do tej pory pan von Klinck obserwował nowe czasy z ostroż-  
nym sceptycyzmem badacza, który ma do czynienia z wyjątkowo  
złośliwym gatunkiem tarantul i nie jest pewien, czy uda mu sieje  
oswoić, to rok 1936 tchnął w niego nadzieję, że eksperyment mógłby  
zakończyć się pomyślnie. Im bardziej zbliżała się Olimpiada, tym  
bardziej Berlin upodabniał się do Berlina z dawnych czasów. Zniknęły  
napisy *Żydom wstęp wzbroniony*, ulice zapętniły się cudzoziemcami,  
a w kawiarniach do północy panował różnojęzyczny, wesoły rozgar-

diasz. Pan von Klinck zaczynał zadawać sobie pytanie, czy okropności obozów koncentracyjnych nie były przypadkiem tylko złym snem albo wytworem wrogiej propagandy. Owszem, pożałowania godne Ustawy Norymberskie<sup>1</sup> obowiązywały nadal, ale pan von Klinck nie zamierzał zenić się z Żydówką, a ponieważ doktor Hirschfeld wyjechał, i tak nie mógłby wystawić mu żadnej recepty. Serce rosło panu von Klinck na widok Niemców szykujących się, żeby gościnnie podjąć u siebie cały świat.

Kiedy nadszedł ten podniosły moment, Trzecia Rzesza olśniła zagranicznych gości swoim blaskiem i bezprzykładną organizacją, a jej obywatele robili wrażenie sytych i szczęśliwych. Na ulicach widywało się tylko pogodne twarze, każdy był gdzieś zrzeszony i czymś sensownie zajęty. Patriotyczne serce pana von Klinck nie posiadało się z dumy, że jego ukochana ojczyzna odzyskała szacunek sąsiadów i swoje miejsce na międzynarodowej arenie.

Duma ta eskalowała dwa lata później do rozmiarów euforii. Na wiosnę 1938 roku wojska niemieckie wkroczyły do Austrii i zostały entuzjastycznie powitane przez miejscową ludność. Pan von Klinck zanotował w rodzinnej Biblii poniżej daty urodzenia Fryderyka: *Austria powróciła na łono Rzeszy, marzec 1938 roku*. Jak widać, traktował to doniosłe wydarzenie na równi z pojawieniem się na świecie nowego członka rodziny. Zastanawiające było jednak to, że przyłączenia Kraju Sudeckiego, które miało miejsce pół roku później, w Biblii już nie uwiecznił. Czyżby rozbudziły się w nim wątpliwości? Czyżby doszedł do wniosku, że mieszkanie z tarantulami pod jednym dachem jest, co prawda, możliwe - ale nigdy nie będzie bezpieczne?

Na rozpoczęcie Olimpiady zjechali się na Orzechową goście. Viktor porzucił na kilka dni swoją warownię w górach Eifel, gdzie wciąż jeszcze liżał zadane mu przez Verę rany, z Deutsch-Eylau przybyły Rosel i Gundel, które na rozlicznych kursach zdobyły wszystkie możliwe kwalifikacje przyszłych żon i matek, nie zdobyły jednak mężów. Ten brak miały nadzieję uzupełnić w Berlinie. Alex pojawił

<sup>1</sup> Ogłoszone na Zjeździe Partii w dniu 15.09.1935 ustawy, które pozbawiały nie-Aryjczyków obywatelstwa Rzeszy i zabraniały im zawierania małżeństw z Aryjczykami (Ustawa o Obywatelstwie Rzeszy i Ustawa o Ochronie Krwi Niemieckiej)

się w nowiutkim mundurze kapitana i przywiózł ze sobą przyjaciela, Christiana Starcka. Na widok młodego człowieka państwo von Klinck wymienili znaczące spojrzenia, które mówiły: „Miejmy nadzieję, że nie jest żonaty”. Dokładnie to samo pomyślały sobie Rosel i Gundel.

Christian nie był żonaty. Nie był też ani bogaty, ani dobrze urodzony. Wśród przyjaciół Alexa stanowił wyjątek. Nie interesowały go ani szybkie samochody, ani konie, popijawy i polowania, co go poniekąd dyskwalifikowało w każdym prawdziwie męskim gronie. Nawet polityką się nie zajmował. Potrafił natomiast z dużą znajomością rzeczy dyskutować z Johannesem o sztuce, z Toni o literaturze i z Verą o muzyce. Były to tematy, na które Rosel i Gundel nie miały nic do powiedzenia, uznały go więc za śmiertelnie nudnego.

W porównaniu z resztą zebranych, drzewo genealogiczne Christiana wydawało się zaledwie krzaczkiem. Jego ojciec był skromnym urzędnikiem, dziadek sprzedawał chłopom paszę dla bydła i ziarno na siew. W niedawnych jeszcze czasach nie mógłby liczyć na przyjaźń Alexa i miejsce za stołem pana von Klinck, ale różnice klasowe bardzo się ostatnio zniwelowały: najlepszym tego przykładem była zawrotna kariera samego przywódcy narodu. Zresztą państwo von Klinck byli całkowicie zgodni co do tego, że w sytuacji Very nie ma co liczyć na dobrze rozgałęzione drzewo genealogiczne - w tej chwili każdy krzew byłby dobry. Młody człowiek miał zresztą doskonałe manieri, ogładę towarzyską i praktyczny zawód architekta, a architekt to było coś. Przy rozmachu planów FUhrera należało wychodzić z założenia, że przez następne sto lat Niemcy będą jednym wielkim placem budowy, już same parady, zjazdy, kongresy i obchody wymagały osi, aren i forów niespotykanych dotąd rozmiarów. Nie było żadną tajemnicą, że architektura stanowiła wielką pasję Hitlera, który często osobiście sięgał po ołówek, żeby swoją genialną ręką nakreślić jakiś szkic. Wszystko wskazywało na to, że radość tworzenia nie pozwoli mu poprzestać na Monachium czy Berlinie. Oznaczało to kilometry nowych magistral, archipelagi stadionów, lasy kolumn i całe góry trybun, a dla Christiana świetne rokowania na przyszłość, co pan von Klinck skonstatował z zado-



wolaniem. Toni zwróciła uwagę jeszcze na wrażliwe usta, szerokie czoło i stanowczy podbródek. Zapamiętała też sobie, że Christian wspomniał w trakcie rozmowy o licznych pastorach w rodzinie, co pozwalało przypuszczać, że jego przodkowie byli w najlepszym porządku i ze zdobyciem świadectwa aryjskości nie będzie żadnych przykrych niespodzianek. Świadectwo to, podobnie jak zaświadczenie wykluczające choroby dziedziczne, było obecnie przy zawieraniu małżeństwa niezbędne.

Vera nie zauważyła niczego, bo mu się w ogóle nie przyjrzała. Była zupełnie nieświadoma prowadzonych na jej temat spekulacji i wcale nie starała się zrobić na gościu dobrego wrażenia. Podczas gdy państwo von Klinck snuli plany i poddawali gościa dyskretnym badaniom, wszczęła zupełnie niepotrzebną dyskusję na temat incydentu, którego była świadkiem poprzedniego dnia: Hitler opuścił stadion, bo jako najlepszy olimpijczyk miał być uhonorowany kolorowy- Murzyn Jessie Owens. Zdaniem Very, manifestacja ta była całkowicie nie na miejscu.

- Niesportowo - powiedziała. - No i co z tego, że czarny? Wiodocześnie czarni mają szybsze nogi. Owens był najlepszy, nie ulega to żadnej wątpliwości, zdobył aż cztery złote medale. Hitler zachował się jak ktoś, kto nie potrafi przegrywać.

Toni wzniosła oczy ku górze i, pod osłoną długiego do ziemi obrusa, kopnęła ją w kostkę. Jeżeli czegoś naprawdę nie znosiła przy swoim stole, to kontrowersyjnych dyskusji.

- Dlaczego mnie kopiesz? - obruszyła się Vera. - Przecież to prawda. Jak się chce gościć cały świat, to trzeba się pogodzić z wyglądem gości. Co może Owens poradzić na to, że urodził się czarny? Albo Johnny, nasz portier w teatrze? Przyjechał do Niemiec trzydzieści lat temu i wszyscy uważali, że jest bardzo miłutki. Wyglądał w tej swojej czerwonej liberii ze złotymi galonami jak czekoladka, ślicznie pasował do portier i wystroju foyer. A teraz go wyrzucili. Facet, który przyszedł na jego miejsce jest ryży i przypomina prosiaka.

W tym momencie Viktor nie wytrzymał. Poczł się zobowiązany bronić swojego Fihrrera, który dał mu Vogelsang, księżycowe stożki i myszołowy nad wieżą. Może przedtem i miał pewne wątpliwości

co do słuszności teorii ras, ale teraz stanowiła ona punkt ciężkości w programie nauczania jego akademii i absolutnie nie życzył sobie, żeby z niej sobie żartowano w jego obecności.

- Moja droga Vero, kwestia ras ma na celu ochronę krwi i zabezpieczenie trwania narodu. Jako taka jest ważna, więc nie powinąś sobie z niej kpić. Jest naukowo udowodnione, że rasy niższe - a wśród nich rasa czarna znajduje się na samym dole skali - są destrukcyjne. Mieszanie ras prowadzi do degeneracji. Właśnie dlatego małżeństwa z czarnymi są w Ameryce zabronione.

- Ale Owens niczego nie mieszał, tylko biegał - upierała się niepoprawna Vera. Pan von Klinck już zaczerpnął tchu, żeby coś powiedzieć, ale ostrzegawcze spojrzenie Toni wtłoczyło mu niewypowiedziane słowa z powrotem do gardła. Jego usta łapały przez chwilę bezgłośnie powietrze, co upodobniło go do wyrzuconego na brzeg karpia. Pan von Klinck ani trochę nie wierzył w wyjątkowość rasy nordyckiej, bo musiałby uwierzyć w wyjątkowość Antona Fronka, a to było absolutnie wykluczone. Liczyła się nie krew jako taka, liczyła się stara krew i tradycja - ot co. Von Klinckowie mogli z dumą spoglądać na długi łańcuch antenatów, Fronk mógł sobie pchać, co tylko chciał, do swojego skarbczyka przodków<sup>1</sup> - w oczach pana von Klinck nadal pozostawał nikim. Choćby go szlifowano na szkoleniach partyjnych, strojono w mundur i obwieszano orderami jak choinkę, niczego to nie zmieniało: z kuchni wyszedłeś i do kuchni powrócisz. Fakt, że w żyłach Antona płynęła aryjska krew, wcale nie oznaczał, że pan von Klinck byłby skłonny uznać ją za podobną do swojej. Mógł jednak zrozumieć, jak kusząca była dla maluczkich świadomość przynależności do jakiegoś jedyne w swoim rodzaju, wyjątkowego szczepu i jak wielka była ich radość, że stali się tak cudownym trafem wywyższeni.

Tymi i podobnymi refleksjami miał właśnie zamiar podzielić się z zebranymi przy stole gośćmi, kiedy groźny błysk w oczach jego żony odciął mu oddech. Zamknął więc usta i powiedział tylko:

- W takim razie proponuję, żebyśmy kawę wypili na werandzie.

Biuro Christiana współpracowało z biurem Speera, który już wtedy był sławny i uważany za „architekta Fiihrera”, młody człowiek bywał więc regularnie w Berlinie. Korzystając z okazji, odwiedzał państwa von Klinck. Wkrótce stał się na Orzechowej częstym i mile widzianym gościem. Było zupełnie naturalne, że obowiązkiem zaznajomienia go z atrakcjami stolicy obciążono Verę. Niestety, do niczego interesującego to nie doprowadziło.

- Obblecieli już wszystkie muzea, teatry i większość zabytków, a wciąż jakoś nic - wzdychała Toni rozczarowana. - Vera chyba w ogóle się nim nie interesuje. Obawiam się, że postanowiła zostać starą panną.

- Pod naszym dachem? - chciał wiedzieć pan von Klinck. - Bardzo Verę lubię, ale stare panny z czasem okropnie dziwaczejają. Poza tym hodują zazwyczaj koty. Zaznaczam, że od kotów dostają wysypki na całym ciele.

Latem 1937 roku Vera wyraziła chęć odwiedzenia Annelies, dawnej koleżanki z Instytutu Anny Amalii, która mieszkała obecnie w Monachium. Wizyta okazała się kompletnym niewypałem. Kiedy wyczerpały się im wszystkie tematy, które można było zacząć od słów: „A czy pamiętasz...?”, Vera musiała stwierdzić, że nie mają sobie nic do powiedzenia. Annelies wyszła za fanatycznego oficera SS, patrzyła w niego jak w tęczę i nasycona była ideologią jak gąbka. Swoją kobiecy obowiązek wobec narodu brała śmiertelnie serio, w międzyczasie dorobiła się pięciorga drobiazgu i znowu była w ciąży. Dzieci nazywały się Adolf, Berta, Cecylia, Dorothea i Erich - Vera odniosła wrażenie, że ambicją Annelies jest dotarcie przynajmniej do połowy alfabetu. Mieszkanie robiło wrażenie, jakby toczyła się w nim niekończąca się walka. Jak pole bitwy zasłane było potamany- mi zabawkami, lalkami bez rąk, miśkami bez głów, samochodzikami bez kół. Mimo panującego na dworze upału okna były szczelnie zamknięte, gdyż Annelies obawiała się przeciągów. Wszędzie unosił się odór pieluch, zasiusianych majtek i skwaśniałego mleka. Vera była przerażona, ale Annelies wyglądała na zupełnie szczęśliwą.

- Małżeństwo to cudowna rzecz, cudowna! - powtarzała z zapa-  
łem. - Och, Vero, koniecznie powinnaś wyjść za mąż i mieć dzieci.

Tylko to liczy się w życiu kobiety.

- Oczywiście - zgodziła się uprzejmie Vera. - Ale... czy ty nie jesteś praktycznie bez przerwy w ciąży? Czy to cię nie wyczerpuje? Nieogranicza?

- Jestem - przyznała Annelies i zabrzmiało to dumnie. Objęła rękami miłośnię swój wielki brzuch i zakotysała nim jak niemowlęciem. Gest, który Verze wydał się obsceniczny.

- Ja s n e , że czasami bywa to męczące. Mdłości, zgaga i tak dalej, ale to w końcu naturalne. Każdy z nas musi wypełniać swój obowiązek. Każdy na swoim odcinku.

- Och, w ten sposób tego do tej pory nie widziałam - spłoszyła się Vera. - Nie jako obowiązek. Przynajmniej nie wyłącznie.

- A powinnaś. Cięży przecież na nas odpowiedzialność za przyszłość narodu. Gdyby każdy się od niej uchylał, nie przetrwalibyśmy. To niepatriotyczne.

- U w a ż a sz mnie za niepatriotyczną? - Vera odebrała słowa przyjaciółki jako krytykę i poczuła się nieco urażona. Ach, gdyby Annelies wiedziała! - Wyobraź sobie, że akurat do macierzyństwa potrzeba przynajmniej dwojga patriotów.

- Jeżeli chcesz, mogłabym cię poznać...

- Dziękuję, nie chcę.

- Przepraszam, byłam bardzo niedelikatna. Masz, oczywiście, rację. Wcale nie jest łatwo znaleźć odpowiedniego partnera. Ja miałam z Rudolfem po prostu wielkie szczęście. Ale wiesz, rząd też o tym myśli.

- O czym, o mężu dla mnie?

- No, coś w tym rodzaju. Powiem ci w tajemnicy, że istnieją plany wprowadzenia wielożeństwa dla elity SS. Żeby dobre cechy genetyczne mogły być jak najczęściej przekazywane dalej. To by uszczęśliwiło wiele kobiet.

- Żartujesz chyba?

- A n i trochę. Himmler poważnie pracuje nad tym projektem. Bormann, na przykład, wcielił go już w czyn. Obok Gerdy ma praktycznie drugą żonę i Gerda jak najbardziej to pochwała. Bo, widzisz, wtedy jedna może sobie spokojnie poleżeć po połogu, a druga stoi do

dyspozycji. Och, Vera, nie patrz tak na mnie! Żyjemy w niezwykłych czasach i potrzebujemy niezwykłych rozwiązań. Rewolucja dokonuje się na wszystkich frontach, także i na płaszczyźnie obyczajowej.

Przez cały tydzień pobytu w Monachium Vera ani razu nie opuściła dusznego mieszkania przyjaciółki. Skoncentrowana całkowicie na budowaniu przyszłości narodu Annelies nie miała ani czasu, ani siły na inne zainteresowania. Dzieci wysysały z niej praktycznie całą energię. Od lat nie była w kinie, nie chodziła do teatru, galerie wystawowe i muzea widywała tylko z zewnątrz, kiedy koło nich przechodziła, popychając wózek. Kiedy Vera zaproponowała wspólne pójście na jakąś wystawę, spojrzała na nią z przerażeniem.

- Vera, pojęcia nie masz, jak tam się roi od najróżniejszych zarazków! Dzieci mogłyby coś złapać. Bardzo mi przykro, ale musisz wybrać się sama.

Vera była tak wyczerpana niepojętą rozrodczością Annelies, wrzaskiem dzieci i smrodem niewietrzonych pomieszczeń, że perspektywa spędzenia kilku godzin w ciszy jakiejś galerii wydała jej się niebiańska. Po chwili zastanowienia zadzwoniła do Christiana.

- Doskonale - powiedział bez namysłu. - A co chciałabyś zobaczyć?

- Bo ja wiem? Może coś, czego nie obejrzę w Berlinie. Na przykład tę nową wystawę „Sztuka wynaturzona”. Podobno pokazane są na niej obrazy, które uznane zostały za dekadenskie i nieniemieckie.

Christian parsknął śmiechem.

- A wiesz, to pasuje do ciebie! Zamiast oglądać dzieła ogólnie uznane za piękne, chcesz zobaczyć obrazy, które krytyka określa jako perwersyjne i odpychające. Czy wiesz, że młodzieży zabroniono na tę wystawę wstępu?

- Nie wiem, ale chcę się dowiedzieć, dlaczego - odparła zbuntowana. Odnosiła ostatnio wrażenie, że wszyscy ją nieustająco krytykują.

Po wejściu do galerii natychmiast pożałowała swojej decyzji. Ekspozyty przemieszane były ze zdjęciami, pokazującymi odrażające kalectwa, szydercze komentarze porównywały je do bohomasów umysłowo chorych. Także i publiczność zachowywała się zupełnie

inaczej, niż na zwykłych wystawach. Zamiast pełnego szacunku pomruku, wyrażającego podziw i zainteresowanie, słyszało się okrzyki oburzenia, śmiechy i pogardliwe uwagi.

- Chore, po prostu chore - stwierdziła głośno stojąca obok niej paniusia w tyrolskim kapelusiku z szarotką. - I pomyśleć tylko, że takie coś wisało w muzeach, że płacono za to grube pieniądze! Jakby małpie dać pędzel, lepiej by namalowała. Co za paskudztwo!

Vera zbliżyła się do obrazu, który tak uraził uczucia damy z szarotką. Z gąszczu szybkich kresek spojrzało na nią duże, wilgotne oko błękitnego konia.

- Kiedy mnie się to nawet podoba - powiedziała zadziornie. - Takie to nastrojowe, poetyczne. Jak senna zjawa.

Palce Christiana zacisnęły się na jej ramieniu i odciągnęły od obrazu. Zanurkował z nią zręcznie w tłum, aż mur ludzkich ciał oddzielił ich od błękitnego konia i kobiety.

- Oszalałaś? - syknął. - Chcesz, żeby ci przyłożyła parasolką? Nie możesz chwalić czegoś, co Fuhrer uznał za obsceniczne i spotecznie szkodliwe. Fuhrer zna się na sztuce, sam przecież malował.

- Pocztówki - mruknęła Vera i rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Czyżby kpił? Jego twarz była jednak nieprzenikniona i pełna posągowej powagi. Tylko kosmyk włosów, który spadał mu na oczy, wyglądał frywolnie. Wziął Verę pod łokieć i bezceremonialnie pociągnął za sobą, zgrabnie lawirując wśród kwiecistych letnich sukienek, bawarskich sznurowanych gorsetów, mundurów i skórzanych spodni na szelkach. Wystawa była dopiero od miesiąca otwarta i całe Monachium pchało się do Hofgarten- Arkaden, żeby poczuć przyjemny dreszcz odrazy.

Na Verę sypały się plamy barw i światła, formy i kształty, zamknięte na płótnie nastroje. Większości nie rozumiała, nie wszystko jej się podobało, ale coraz częściej zatrzymywała się, urzeczona siłą wyrazu i oryginalnością jakiegoś obrazu.

-Zaczekaj, daj mi popatrzeć-prosiła, ale Christian nieubłaganie popychał ją dalej.

- Zwracasz na siebie uwagę - mruzczał. - Wszyscy ci się przyglądają.

W końcu zbuntowała się i zaryła nogami w posadzkę jak krnąbrny koń. Wyrwała rękę z uścisku Christiana i powiedziała ze złością:

- Nie rozumiem, dlaczego tu przyszliśmy, skoro nie pozwalasz mi niczemu się przyjrzeć. Chyba wolno mi wyrobić sobie własne zdanie?

Christian położył dłoń na jej ustach i sprawnie wciągnął ją do ukrytej za potężnym filodendronem niszy okiennej.

- Własne zdanie jest niepożądane, nie słyszałaś o tym? Zrozum, wszystko, co tu widzisz, jest na indeksie. Te obrazy zostały skonfiskowane, bo uznano je za niezgodne z myślą narodowosocjalistyczną. Zostaną zniszczone albo sprzedane za granicę. Wystawiono je nie po to, żebyś je kontemplowała, tylko po to, żebyś się oburzała.

- Ale to jest sztuka, prawda? I ty też tak uważasz. Inna niż te karmiące matki, dójki na polach i goli atleci, których wszędzie pełno, ale sztuka. Ten błękitny koń jest naprawdę piękny.

- Vero, masz wynaturzony gust.

- Wolę mieć wynaturzony niż taki sam, jak ta osoba z szarotką na kapeluszu. Albo jak pan Handtke.

- Kto to jest pan Handtke?

- Nasz blokowy. Ma w ogródku gipsowe krasnoludki w barwach narodowych, a wjadalni landszaft z Zygfydem. Uważa to za dowód patriotyzmu.

- Wynaturzona, pozbawiona patriotyzmu i nieniemiecka.

Christian przyciągnął Verę do siebie i pocałował ją w usta. Był to pocałunek koleżeński i nonszalancki, pozbawiony wszelkiej namiętności, ale bardzo przyjemny.

- Jesteś bez wątpienia jedyną młodą kobietą w całej Rzeszy, której bardziej podobają się niebieskie konie niż goli atleci. Obawiam się, że masz bardzo zły charakter. Wyjdiesz za mnie?

Pytanie to zadane było tonem tak lekkim, że Vera nie wiedziała, czy ma potraktować poważnie. Oczy Christiana patrzyły jednak na nią z uwagą, czekając na odpowiedź. Powiedziała więc:

- T a k .

O czym myśli młoda kobieta na progu małżeństwa z człowiekiem z gruntu solidnym, łagodnego usposobienia i miłego wyglądu? Vera myślała, że do tej pory była bardzo samotna i bardzo smutna. Zamążpójście jawiło się jej jak perspektywa bezpiecznego portu po burzliwej przeprawie, w którym znajdzie odpoczynek od dręczących ją wspomnień. Od dziewczyny, która z radości przeskakiwała kałuże na Kurfurstendamm, dzieliły ją wieki. Myślała pobłaźliwie, że była wtedy bardzo młoda. Właściwie szukała już tylko spokoju.

Jeżeli miłość jest pragnieniem uszczęśliwienia drugiego człowieka, to Vera kochała Christiana. W małżeństwo wchodziła z powagą, gotowa do wszelkich poświęceń. Szczerze chciała być dobrą żoną, stworzyć mu przytulny dom, dzielić jego wzloty i upadki. Na tym jednak kończyły się jej wyobrażenia o przyszłym życiu. Można było sądzić, że zamierza objąć posadę w wymagającej firmie i jest zdecydowana sumiennie wypełniać oczekujące ją obowiązki.

Uczucie, jakie żywiła dla Christiana, nie przypominało ani trochę tego świetlistego stanu upojenia, jaki ogarniał ją w obecności Maxa. Nie omdlewała na myśl o dotknięciu jego rąk, nie umierała z tęsknoty. To miała za sobą. Od chwili zniknięcia Maxa umierała dzień po dniu, aż ból z czasem stępsiał i w końcu zamienił się w garść zimnego popiołu. Za Maxem poszłaby na koniec świata - ale wcale tego nie chciał. Trzy listy: to było wszystko, co jej po nim pozostało. No i koszmar zabiegu w klinice doktora Sondegaarda. Nie potrafiła już sobie przypomnieć zapachu i ciepła ciała Maxa, ale tamtego bólu i upokorzenia nic nie mogło wymazać z jej pamięci. Jeżeli taka musiała być cena za poznanie smaku miłości, wołałaby nigdy nie kochać.

- J a k o ś będziesz musiała mu to powiedzieć - oświadczyła Toni, obracając w palcach śliczny pierścionek zaręczynowy, który Vera dostała od Christiana. - No wiesz, że straciłaś dziewictwo. O Dannie, naturalnie, ani słowa. Pomijając wszystko, usunięcie ciąży jest



nielegalne i obie mogłybyśmy powędrować za kratki. Trzymaj więc język za zębami.

- Będę milczała jak grób.

- A co do utraty cnoty, też nie całą prawdę. - Toni, mistrzyni forteli i wykrętów, przymknęła w skupieniu fiołkowe oczy, czekając na olśnienie. - Mogłabyś mu, na przykład, zasugerować, że przytrafiło ci się to przy przeskakowaniu konno przeszkód. To bardzo prawdopodobne.

- Toni, nie będę zaczynała mojego wspólnego życia z Christianem od kłamstwa. Powiem mu prawdę - że był ktoś inny. Jeżeli nie będzie w stanie tego znieść, zwrócę mu pierścionek.

- Prawda bywa często okrutniejsza od odrobiny kłamstwa - zauważyła rzeczowo Toni. - Mogłabyś przynajmniej nauczyć się przemilczania niektórych faktów. Uważaj, żebyś w przypiływie niepotrzebnej szczerości wszystkiego nie popsukała - tak bardzo ucieszyliśmy się z twoich zaręczyn! Na pewno będziesz z Christianem bardzo szczęśliwa, jest wspaniałym chłopakiem. Poza tym robi karierę.

Na to wyglądało. Hitler, niespełniony malarz i Największy Architekt Rzeszy, przebudował już naród i z coraz większym rozmachem zabierał się za resztę świata. Szczególnie fascynowały go wizje kolosalnych, niespotykanych dotąd założeń urbanistycznych, które przyćmiłyby Paryż i Rzym. Marzył mu się przeszyty gigantycznymi osiami i naszpikowany ogromnymi gmaszyskami Berlin, który miał się stać symbolem potęgi i chwały Rzeszy. Zapotrzebowanie na architektów nie słabło, na rajzbretach powstawały wciąż nowe łuki triumfalne, pomniki chwały i hale ludu - dla profesji Christiana nastały bajeczne czasy.

Christian pracował gorączkowo. Spędzał noce na połówce w biurze i szykował się do skoku na Berlin, gdzie czekały na niego prawdziwe wyzwania. Skończył zaledwie trzydzieści dwa lata, ale jakie to miało znaczenie? Teraz był czas młodych. Speer był jego rówieśnikiem, a już został Naczelnym Inspektorem Budowlanym. Sam Hitler mawiał, że jeden genialny pomysł bywa ważniejszy od całego życia spędzonego za biurkiem.

Speer dobierał sobie właśnie w Berlinie ludzi. Niektórzy z nich byli sławni, jak Paul Bonatz albo Peter Behrens, inni zupełnie nieznanymi. Przed Christianem, który współpracował z nim już przy projektach Forum Zjazdu Partii w Norymberdze, otwierały się wprost fantastyczne możliwości.

- Może nawet zaczepi się w Berlinie - rozmarzyła się Toni. - To byłoby, oczywiście, cudowne! Mogłabyś pozostać tutaj, a ja tak bardzo bym chciała mieć cię w pobliżu. Jesteś członkiem naszej rodziny, mój skarbie, i nie wyobrażam sobie życia bez ciebie - przytuliła Verę z czułością i natychmiast dodała surowo: - Co nie oznacza, że pochwalam twoją lekkomyślność. Mam w Bogu nadzieję, że teraz będziesz roztropniejsza i nie zmarnujesz tej szansy. Musisz wyjść za mąż, Vero, musisz założyć rodzinę. Nie możesz przez całe życie uchylać się od obowiązków, jakie postawiła przed tobą natura. Sama wiesz, jak się traktuje niezamężne i bezdziejne kobiety. Dla ogółu taka postawa jest niezrozumiała i godna potępienia. To trochę jak... jak sabotaż.

- Wiem - westchnęła Vera. Przed jej oczami stanęła Annelies ze swoim dziecięcym alfabetem, wzdętym brzuchem i plamami przetartej marchewki na piersiach. Apoteoza macierzyństwa, otoczona przenikliwym zapachem siuszków. Wizja mało zachęcająca.

-Przynajmniej powinnaś spróbować-ciągnęła już bardziej pojednawczym tonem Toni, której przypomniało się, że doktor Sondergaard nie rokował Verze dużych szans na potomstwo. - Oczywiście będziesz musiała rzucić teatr.

- Co to, to nie - zbuntowała się Vera. - Christian wcale tego ode mnie nie wymaga.

- Bo jest człowiekiem subtelnym i ma nadzieję, że inicjatywa wyjdzie od ciebie. Miejsce mężatki jest w domu i tyle. Opamiętaj się, Vero, sama wiesz, do czego cię doprowadziło obracanie się w tym środowisku!

Vera skruszona opuściła głowę.

- No właśnie. Nikt nie mówi, że musisz przestać śpiewać. Możesz prowadzić interesujący salon i zapraszać wybranych gości na domowe koncerty, Christian na pewno będzie zachwycony. Ale z występami

mi publicznymi - koniec. Twój mąż ma prawo oczekiwać jakiegoś poświęcenia z twojej strony. Wiesz przecież, że Emmi Göring nie wahata się porzucić sceny natychmiast po ślubie, powinnaś brać z niej przykład.

- Była za stara na to, żeby grać Ofelię - mruknęła krnąbrnie Vera. - Poza tym miała w perspektywie rolę Pierwszej Damy Rzeszy, to dużo atrakcyjniejsze.

- Trochę więcej pokory, Vera! W twojej sytuacji powinnaś być losowi wdzięczna za Christiana. Rezygnacja z ambicji zawodowych dla dobra waszego związku to minimum, co możesz dla niego zrobić. Zobaczysz, że będzie uszczęśliwiony.

Przypominało to jakiś szczególny rabat przy zakupie wybrakowanego towaru: bez dziewictwa, ale za to w kuchni, a nie w świetle ramp. Ramiona Very opadły smętnie.

- To taki wartościowy, miły człowiek - tłumaczyła łagodnie Toni, wpadając w ton, którego używała w stosunku do dzieci i zwierząt.

- Jestem przekonana, że będziecie bardzo szczęśliwi. Ale zrób ten pierwszy krok - zasłużył na to. Drugi taki już ci się nie trafi.

- Pewnie nie - przyznała Vera. - Mało komu podobają się niebieskie konie.

- Nie wiem, co z tym mają wspólnego niebieskie konie, ale niewątpliwie wciąż jesteś niepoważna i myślisz o niebieskich migdałach. Rób co chcesz, ja umyłam ręce - odparowała rozeźlona Toni i, gniewnie szumiąc jedwabiami, opuściła pokój.

- Christian Stark? Bardzo miły młody człowiek, zawsze mi się podobał - pana von Klinck nowina o zaręczynach Very wyraźnie ucieszyła. - Zna się na sztuce i ma dużo zdrowego rozsądku. Pokazałem mu nawet mojego Chagalla.

„Pokazanie Chagalla” było ze strony pana von Klinck dowodem najwyższej sympatii i zaufania. Od lat kolekcjonował obrazy ze sporą predylekcją do impresjonistów, a nawet surrealistów, i nie miał najmniejszego zamiaru zmieniać upodobań tylko dlatego, że zostały one odgórnie uznane za wynaturzone. Wynaturzeniem był co najwyżej tupet, z jakim partia wypowiadała się na tematy, o których nie miała

najmniejszego pojęcia. Kiedyś kołtuneria musiała się wstydzić, że jest kołtunerią, dziś mogła swój prymitywny gust podnieść do honorów sztuki państwowej. Pan von Klinck nie był skłonny z tego powodu zrezygnować ze swojego Chagalla, ale przewiesił go do sypialni. Tylko wybrani doznawali zaszczytu kontemplacji pary błękitnych kochanków w kwitnącym krzewie lawendy, gdyż posiadanie obrazu tak jednoznacznie żydowskiego i dekadentckiego stanowiło akt dużej odwagi cywilnej. Pokazując go Christianowi, pan von Klinck powiedział:

- Fantazja i kolory nie mogą być politycznie niepoprawne. Prawdziwe arcydzieło nie powinno podlegać żadnym sądom - przynajmniej nie ludzkim. Radość, jaką odczuwam, patrząc na ten obraz, wcale nie oznacza, że z tego powodu jestem gorszym Niemcem albo mniejszym patriotą.

- Jest piękny - powiedział po prostu Christian i pan von Klinck uściśnął mu ze wzruszeniem rękę. Ta krótka chwila konspiracyjnego braterstwa pozwoliła mu odnieść wrażenie, że spotkał pokrewną duszę. Kogoś, komu warto było pokazać Chagalla.

- Nietuzinkowy - zwierzył się Toni. - Taki mi się wydał: nietuzinkowy. Byłby idealnym partnerem dla naszej zwariowanej Very. Wiesz, jak bardzo ją lubię, ale nie da się ukryć, że jest niezrównoważona. Przypomina konia, w którym drzemią ogromne możliwości, ale co z tego, skoro jest zbyt krnąbrny, żeby można go było naprowadzić na przeszkodę. Potrzebuje silnej ręki. Najwyższy czas, żeby wyszła za mąż i to jak najszybciej, zanim się Starck rozmyśli. Przy bliższym poznaniu Vera większość mężczyzn przeraża.

- Masz rację - westchnęła Toni. - Ale nie sądzę, żebyśmy mieli na to wpływ.

- Bo ja wiem? - zastanowił się pan von Klinck. - Mógłbym ze Starckiem porozmawiać. Byłbym skłonny pomóc im stanąć na nogi, wyposażyć Verę, że tak powiem. W końcu traktuję ją jak własną córkę. Przynaję uczciwie, że chociaż jest narowista, będzie mi jej bardzo brakowało.

- A cóż dopiero mnie. Ale Christian ma podobno szansę na przeniesienie się do Berlina. Stara się o pracę w Naczelnym Nadzorze Budowlanym Rzeszy - no wiesz, tym na Placu Paryskim.

- U Speera? Ależ to świetnie! - ucieszył się pan von Klinck. - Speera dobrze znam, zapewnialiśmy mu zaplecze techniczne dla Nowej Kancelarii Rzeszy. W takim razie spróbuję tu i ówdzie szepnąć słówko, żeby sprawę przyspieszyć. Nasza Vera musi, oczywiście, pozostać w Berlinie. Jest zbyt ekstrawagancka, żeby mieszkać w Monachium. Nie wyobrażam jej sobie wśród tych wszystkich jodłujących facetów w spodniach na szeleczkach. Poza tym to katolicy.

- Vera jest katoliczką - zauważyła chłodno Toni. - Wszyscy von Rathenbergowie są katolikami. Tylko ja przeszłam na protestantyzm - z miłości do ciebie.

- Masz rację, mój aniele, przepraszam. Tak czy inaczej, Bawaria to inny świat. Vera do niego nie pasuje. Zobaczę, co się da zrobić.

- Johannesie, jesteś u d o w n y - T o n i wycisnęła nagładkowy gołonym policzku męża gorący pocałunek. - Nie ma problemu, którego nie potrafiłbyś rozwiązać.

- Ze wszystkich, które rozwiązywałem do tej pory, wydanie Very za mąż wydaje mi się najtrudniejszym - zastrzegł się pan von Klinck. Jego żona zaś pomyślała: „Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo trudnym!”

Miesiąc później Christian złożył państwu von Klinck oficjalną wizytę. Nad jej właściwym wyreżyserowaniem Toni łamała sobie głowę przez cały tydzień, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że nieopanowanie Very może pokrzyżować najbardziej nawet misterne plany.

- Czy wciąż upierasz się, żeby mu powiedzieć prawdę?

- Oczywiście.

- W takim razie musisz ją odpowiednio opakować.

- Opakować? Prosto z mostu i już.

Doświadczenie mówiło Toni, że jest to najgłupsza metoda pod słońcem. Żadne z jej dzieci nie połknęłoby gorzkiego lekarstwa, gdyby mu je tak po prostu wlała do gardła. Należało odwrócić uwagę, zagadać, wsunąć do ust czekoladkę, obiecać zabawkę i wcisnąć w zęby łyżkę, kiedy się tego najmniej spodziewało.

- Wprost przeciwnie. Posłuchaj: najpierw teatr. Śpiewasz Toscę i umierasz bardzo przekonująco, poza tym masz piękną suknię na sobie i wyglądasz w niej jak anioł. Niech zobaczy, z czego dla niego rezygnujesz.

- Ależ ja wcale nie rezygnuję.

- Rezygnujesz i już. Publiczność obsypie cię kwiatami, ja sama pošlę dwa kosze. Potem kolacja we dwoje, przy świecach, w jakiejś romantycznej, małej knajpce. Tylko nie we włoskiej, bo będziesz śmierdziała czosnkiem. Powiesz mu, że rzucasz teatr, ponieważ pragniesz być dobrą żoną i tylko jemu się poświęcić. To powinno nim wstrząsnąć.

- Nie powiem.

- Powiesz. A jak już zapłaci rachunek, to wspomnisz, że coś tam było, nieszczęśliwe nieporozumienie, zupełnie bez znaczenia. Najlepiej już w płaszczu, żeby nie miał czasu zastanawiać się nad detalami. Zanim ochłonie, bierz taksówkę, pędź do domu i wyślij go do Johanna. Będzie czekał w gabinecie z miłymi wiadomościami. Zamierza cię po królewsku wyposażyć.

- Och! To bardzo miłe z jego strony.

- Też tak uważam. Poza tym własnoręcznie przyniósł z piwnicy trzy butelki tego starego burgunda, którego trzymał na specjalne okazje - wyobraź to sobie! Widocznie się obawia, że na trzeźwo nikt się z tobą nie ożeni.

- Bardzo możliwe, że ma rację. Toni, ja chyba tak nie potrafię, to dla mnie za skomplikowane. Śpiewać, umierać, przy świecach, ale bez czosnku, dowlec do Johanna, żeby go na czas spoić...

- Potrafisz, potrafisz. Chociaż raz posłuchaj mojej rady i zrób coś z głową, bo do tej pory podejmowałaś decyzje pochopnie i wynikały z tego same kłopoty.

Samotna łąza zaskliła się w oku Very. Sptynęła wolno po jej nosie, zawahała się na jego koniuszku i rozprysnęła na tafli stołu.

- Bardzo kochałam, Toni. Nie rozumiesz?

Toni wstała i ścisnęła ramiona Very, bezbronne i kruche, przyniecione ciężarem winy.

- Rozumiem, wszystko rozumiem. Ale kochanie to jedno, a prawdziwe życie to co innego. Teraz chodzi o życie.

Ślub Very i Christiana odbył się w maju 1938 roku. Poprzedziły go nerwowe debaty, dotyczące gości, potraw i szczegółów organizacyjnych. Prowadziły je głównie Alberta i Toni, Vera prawie w nich nie uczestniczyła. Choć miała w planowanej ceremonii odegrać główną rolę, rzadko pytano ją o zdanie. Toni była za eleganckim ślubem w Berlinie, Alberta nawet słuchać o tym nie chciała. Nareszcie mogła doprowadzić córkę do ołtarza, pokazać całemu Klein Kruckow, że zbłąkana owca znalazła drogę do świętego sakramentu małżeństwa, i za nic na świecie nie zamierzała z tego zrezygnować. Ileż to plotek krążyło o Verze! Panie z towarzystwa nie szczędziły Albercie fałszywego współczucia. Ich własne córki nie kształciły się w wielkich miastach, nie występowały w teatrach, nie ondulowały włosów i nie paliły - w ogóle nie zdarzało się w ich życiu nic szczególnego. Dlatego otoczone były już gromadką dzieci i cieszyły się ogólnym szacunkiem.

- Tylko nie w Klein Kruckow! - buntowała się Vera. - Nie w tej okropnej dziurze. Pół wsi się zleci, tylko po to, żeby się na mnie pogapić. Nic mnie z nimi nie łączy.

- Owszem, cała twoja rodzina, którą chcę poznać. Ślub na wsi, to takie romantyczne, do tego w maju, kiedy kwitnie rzepak i kłaskają słowiki. Byłem kiedyś z Alexem w Klein Kruckow na wiosnę, wszystko było złote aż po horyzont, bardzo mi się podobało - Christian pozostawał niewzruszenie optymistyczny. Ciężko mu przyszło pogodzić się z myślą, że jego przyszła żona miała, jak to jego matka określała, „przeszłość”, ale z czasem radość, że ten rajski ptak zgodził się dzielić z nim życie, przesłoniła wszystko inne. Co z tego, że nie potrafiła obierać kartofli? Za to rzuciła dla niego teatr!

W lutym Christian zaczął pracować u Speera i współuczestniczył w tworzeniu projektów tak fantastycznych, że czasami wydawały mu się sennym marzeniem. Dyskretna pomoc Johannaesa pozwoliła mu na kupno domu w eleganckiej dzielnicy Dahlem, przy którego urządzaniu pozostawił Verze wolną rękę. Na szczęście miała dobry gust, podobały jej się niebieskie konie i nie dzieliła ogólnego upodobania do bombastycznego, ale modnego, stylu „staroniemieckiego”. Czuł się człowiekiem bardzo szczęśliwym i było mu całkowicie obojętne, gdzie odbędzie się ślub - byleby się odbył.

W dzień ślubu Vera wyglądała w sukni z białego atłasu, który pan von Klinck sprowadził dla niej specjalnie z Paryża, jak egzotyczny kwiat. Krawcowa Toni wszyła w rąbek sól i złote monety - na szczęście. Długi welon ze starej koronki należał do rodzinnych skarbów von Rathenbergów, brały w nim śluby babki i prababki Very. Przechowywano go w kufrze na strychu, zawinięty w białą bibułkę. Niosły go za panną młodą Caro i Else, pękając z dumy. Dzieci rozlicznych kuzynów sypały z koszyczków kwiaty, także mały Fryderyk miał koszyczek i, przyciskając go do piersi, toczył się na tłuściutkich nóżkach z wielką powagą. Młoda para jechała do kościoła zaprzężonym w cztery siwki landem - przynajmniej przy tej okazji stary grat wyglądał naprawdę stylowo - za nimi całe okoliczne ziemiaństwo, goście z Berlina i Monachium, dzierżawcy, chłopci i służba. Kościół pękał w szwach, gdyż nikt nie chciał odmówić sobie przyjemności popatrzenia na Verę, która na zawsze żegnała się ze swoim rozpustnym życiem. Ojciec Norbert nie mógł opanować wzruszenia i radości - kiedy przewiązywał stułą ręce oblubieńców, drżały mu pomarszczone dłonie. Po udzieleniu sakramentu zaskoczył wszystkich, pytając Verę, czy nie zechciałaby zaśpiewać „Ave Maria”.

- Tu, w kościele? Na moim ślubie? - zdumiała się Vera.

- A jakież miejsce jest odpowiedniejsze? I jaka okazja lepsza?

Odrzuciła więc welon z twarzy, odwróciła do wypelnionej tłumem nawy i zaśpiewała to samo „Ave Maria”, które kiedyś zapoczątkowało jej karierę. Dziś ją kończyło.

Po powrocie do Berlina myślała jednak wielokrotnie, że jej ofiara nie okazała się próżna. Miłość Christiana była bezpieczna i pewna, czuła się przy nim, jakby unosiły ją spokojne fale rzeki. Nie brakowało jej wcale teatru, przynajmniej nie od razu, była bowiem bardzo zajęta. Przestała ją otaczać armia służby państwa von Klinck i musiała zadowolić się jedną dochodzącą, a trzeba było przecież urządzić dom.

Pani Monke była kościstą, pozbawioną wdzięku kobietą o zaciętym wyrazie twarzy. Robiła swoje - pastowała podłogi, prała bieliznę, prasowała koszule - i wychodziła. Vera nie mogła pozbyć



się wrażenia, że pani Monke żywi do niej bezbrzeżną pogardę. Od-  
dychała z ulgą, kiedy posługaczka wbijała energicznie w kapelusz  
szpilki i opuszczała dom, który natychmiast się rozjaśniał.

Vera polubiła go od pierwszej chwili. Solennie sobie przyrzekła,  
że zrobi wszystko, żeby Christian chętnie do niego wracał. Kwia-  
ty, obrazy, zapach świeżo upieczonego ciasta, uśmiechnięta żona  
w fartuszku - jak już, to już. Będzie teraz primadonną w kuchni:  
skoncentruje się nad uwerturą siekania pietruszki, operą buffa na  
garnki i pokrywki, tarantellą tłuczenia przypraw w moździerz, al-  
legro furioso ubijania piany. W rzeczywistości tylko po to były te  
wszystkie gamy, nuty, partytury, po to języki obce, historia starożyt-  
nego Rzymu i literatura francuska: żeby doprowadzić ją do ołtarza,  
do męża, do kuchni, gdzie zapomni z czasem wszystkiego, czego  
się nauczyła. A niech to wszyscy diabli.

- Powinnaś dziękować Bogu, że w ogóle znalazłaś męża - powie-  
działa jej matka w przeddzień ślubu. Jak zwykle weszła do pokoju,  
nie pukając, w Klein Kruckow było to normalne: dzieci nie powinny  
mieć żadnych tajemnic przed rodzicami. Zastała córkę w bieliźnie,  
zarzuciła więc na jej ramiona szlafroczek i ciągnęła dalej: - Szczególnie  
biorąc pod uwagę twój skandaliczny tryb życia w ostatnich  
latach. Mam nadzieję, że wchodzisz czysta w związek małżeński?

Vera popatrzyła na nią chłodno.

- Nie wiem, o czym mówisz. Nie uświadomiłaś mnie.  
- Uczciwej dziewczyny nie trzeba uświadamiać. Dowie się  
wszystkiego, kiedy nadejdzie na to czas.

- W noc poślubną?

- Właśnie.

- Nie uważasz, że to trochę za późno?

Z odmętów pamięci Alberty wyłoniły się strzępki nieprzyjem-  
nych wspomnień wielkiego upokorzenia, bólu i zenujących akrobacji  
w łóżku z mężczyzną, którego prawie nie znała i który najwyraźniej  
oszalał. Nie było do czego się spieszyć.

- Na to nigdy nie jest za późno. Będziesz miała jeszcze całe życie  
na wypełnianie swoich obowiązków małżeńskich.

- Nie brzmi to zachęcająco.

- Bo i nie jest, ale taki jest los kobiety.

„Może twój, ale nie mój” - pomyślała Vera, ale głośno powiedziała tylko:

- Mam nadzieję, że małżeństwo ma też jakieś radośniejsze strony.

Małżeństwo z Christianem miało. Jak wierny psiak dreptał za nią z pokoju do pokoju, wodził za nią rozkochanymi oczami, kiedy kręciła się po kuchni. Uszczęśliwiała go sama jej obecność, gest, jakim odrzucała z czoła włosy, szelest jej sukni. Niewątpliwie miała szczęście - czuły mąż, przytulny dom. Czego chcieć więcej?

Czego? Szaleństwa, zatracenia, jakim była miłość do Maxa. Upojenia, którego doznawała, wychodząc na scenę. Przekraczania granic. Entuzjazmu, z jakim biegła kiedyś przez Kurfurstendamm, głodna życia, głodna wrażeń.

Ale namiętność do Maxa zakończyła się w gabinecie doktora Sondegaarda, jej strzępki spoczęły w metalowym wiadrze - „Zaledwie parę komórek, kilka tkanek - powiedział lekarz pocieszająco. - Nie większe od fasolki”. Verze jednak wydawało się, że została wypatroszona, że wyrwano z niej jej kobiecość, czuła się zupełnie pusta. Cała jej miłość zniknęła w tym wiadrze, pozostał tylko wielki żal do tego, który naraził ją na upokorzenie, i odbierający przytomność ból. Christian nigdy by do tego nie dopuścił - i dlatego została jego żoną. Patrzyła na jego szczerą, wrażliwą twarz, wiedząc, że będzie przy niej trwał niewzruszenie, że nie spotkają jej z jego strony żadne niespodzianki. Pełna skruchy, że wciąż tęskni za Maxem, za blaskiem reflektorów i grzmotem aplauzu, rzucała się do kuchni, żeby trzeć, mielić i ugniatać.

- Paszтет z zająca według przepisu twojej matki - zapowiadała uroczyście, stawiając półmisek na stole. - Z odrobiną wątróbki, podobno tak lubisz.

- Moja mała, dzielna żona! Pewnie cały dzień musiałaś spędzić w kuchni - cieszył się Christian. - Wspaniale, jestem głodny jak wilk. Nie miałem czasu nawet na kanapkę, uwijamy się jak w ukropie. Fuhrer chce w przyszłym tygodniu zobaczyć modele. Prawie je skończyliśmy - są fantastyczne. Główna oś będzie miała sto dwadzieścia metrów szerokości, możesz to sobie wyobrazić? To znaczy, że wjed-

nym szeregu będzie mogło kroczyć sto pięćdziesiąt osób, pomyśl tylko! Średnica kopuły Hali Ludowej wyniesie dwieście pięćdziesiąt metrów, niczym siedem kopuł katedry Świętego Piotra w Rzymie. Nie mam pojęcia, czy to technicznie w ogóle możliwe, konstrukcji o takiej rozpiętości nigdy jeszcze nie wzniesiono.

- Niezwykłe - przyznawała uprzejmie Vera. Plany przebudowy Berlina nudziły ją śmiertelnie, ale Christian był taki szczęśliwy, starała się więc okazywać gorące zainteresowanie. Jej praktyczny umysł nie znajdował żadnego sensu w budowaniu kolosalnych budynków, mających na celu wyłącznie pomieszczenie jak największej liczby ludzi. Po co? Tylko po to, żeby móc ich oglądać w formie oceanu? Wydawało się jej to straszliwą rozrzutnością. Wiedziała, jakim uniesieniem może napełnić aktora nabita publicznością sala - ale czy musiały to być od razu miliony? Jej podobał się Berlin taki, jaki był, wcale nie musiał przerastać Rzymu. Traktowała jednak szaleństwo Christiana pobłażliwie i udawała, że dzieli jego entuzjazm.

- Brzmi to imponująco - powiedziała z szacunkiem. - Jeżeli dobrze cię zrozumiałam, na połowie obszaru Berlina kamień na kamieniu nie pozostanie. Ale tam przecież są jakieś budynki, mieszkają ludzie. Co się z nimi stanie?

- Przesiedli się ich - odparł Christian lekko, jakby przerzucanie milionów mieszkańców z miejsca na miejsce było jego chlebem powszednim. - To tylko kwestia precyzyjnej logistyki.

- Zbudujecie mieszkania zastępcze? Ależ to potrwa lata!
- Profesor Speer ma lepszy pomysł.
- Doprawdy? Jaki?

Christian zawahał się przez chwilę. Projekt Speera miał być traktowany poufnie, pracowano jeszcze nad uregulowaniem kwestii prawnych, ale chyba nie musiał mieć tajemnic przed własną żoną? Vera nie miała plotkarskiej natury, jak na kobietę była wręcz skryta.

- Zaproponował, żeby wykwaterować Żydów. W ten sposób stałyby natychmiast do dyspozycji ogromna powierzchnia mieszkaniowa.

Vera powoli rozwiązała troczki obszytego koronką fartuszka, który nadawał jej wzruszający wygląd zapobiegliwej żony. Złoży-

ła go starannie i wygładziła dłonią. Jeszcze niedawno okrywały ją krynoliny z teatralnej rekwizytorni, teraz występowała dla jednego tylko widza w kostiumach młodej gosposi.

- Przecież to bezprawie.

- Nad stroną prawną jeszcze się pracuje. Zakładam, że zostaną wprowadzone w życie odpowiednie przepisy, które to uregulują.

- W takim razie będzie to prawnie uregulowane bezprawie. Ludzie, których się wyrzuci na bruk, tak czy inaczej pozostaną bez dachu nad głową - z parasolem, czy bez.

Christian westchnął. Zawsze marzył o mądrej, myślącej towarzysze życia, ale żona myśląca za dużo też mogła okazać się kłopotliwa. W biurze jakoś nikt sobie nad tym aspektem nie łamał głowy. Pracowali z szalonym entuzjazmem nad najśmielszym projektem wszech czasów, byli z tego dumni i nie mogli cofać się przed każdą przeszkodą. Na jego realizację potrzebna była przestrzeń, trzeba więc było ją jakoś zdobyć. Pomysł profesora Speera to umożliwił.

- Gdy wy ich wysiedlicie... dokąd pójdą?

To „wy” zabolowało Christiana. Tworzyło mur między Verą a twórcami projektu, odgrodziła się nim od nich, a więc i od niego. Do tej pory nazywała siebie i Christiana „my”, teraz umieściła go po drugiej stronie. Wolałby, żeby tego nie zrobiła.

- Nie wiem. Jestem architektem, nie zajmuję się logistyką. Pewnie zaproponuje się im jakieś inne tereny pod zasiedlenie.

- Gdzie? Przecież jesteśmy podobno narodem, któremu brak jest przestrzeni życiowej - *Volk ohne Raum*.

Czyżby to miała być ich pierwsza kłótnia małżeńska? O gospodarkę mieszkaniową w Berlinie? Christian poczuł się okropnie rozczarowany.

- Veró, bardzo cię proszę - powiedział chłodno. - Jestem zmęczony. Cały dzień stałem przy rajzbracie. Pozwól mi spokojnie zjeść kolację. Nie odpowiadam za takie decyzje, jestem tylko projektantem. Organizuję przestrzeń, nie ludzi.

„Ale na tej przestrzeni żyją ludzie” - chciała zawołać Vera, ugryzła się jednak w język.

- Masz rację, mój drogi, przepraszam. Już podaję deser. Upiekłam placek ze śliwkami, mam nadzieję, że nie ma zakalca. A może przedtem rozmasuję ci skronie?

Delikatne palce zaczęły rozcierać umęczoną głowę Christiana. Rozdrażnienie minęło i zalała go fala czułości. Przymknął oczy, pomrukując jak kot.

- Ach, jak dobrze... cudownie... jeszcze, jeszcze...

- Bardzo mi przykro, że cię wyprowadziłam z równowagi, przecież wiem, jak ciężko pracujesz. Po prostu zastanawiam się czasami, dlaczego ludzie nie potrafią postawić się w sytuacji innych. Żydów na przykład.

- Bo to nie jest ich sytuacja. Bo tak jest wygodniej.

- T a k , chyba przede wszystkim jest to wygodne. Takie praktyczne. Można wykwaterować pół Berlina. Christian... nasz dom... czy to też była jakaś specjalna okazja? - Vera z niepokojem omiotła wzrokiem delikatny fryz z gipsowych girland i francuskie okna, za którymi mroczył ogród.

- Nie - skłamał Christian. - Naturalnie nie, skąd ci to przyszło do głowy?

Na jakim świecie żyła jego śliczna żona? Czy naprawdę wyobrażała sobie, że stać ich było na dom w Dahlem? Nigdy by go nie kupili, gdyby nie był specjalną okazją.

- Chwała Bogu. Nie mogłabym w nim spać spokojnie, gdybym wiedziała, że jego właściciele musieli go opuścić.

- A l e możesz, a ja będę czuwał nad twoim snem.

Ja tam nic nie mówię, ale najwyższy czas na dziecko - powiedziała pani Monke znad kotła, w którym gotowała obrusy. Buchała z niego para i włosy posługaczki oblepiały mokrymi kosmykami jej kościstą czaszkę, czyniąc ją jeszcze bardziej podobną do czarownicy niż kiedykolwiek. - Pół roku po ślubie i nic.

- J a k pani nic nie mówi, to niech pani trzyma język za zębami - poradziła jej ze złością Vera. Nie uszło jej uwagi, że ile razy pani Monke się pojawiała, już w progu obrzucała taksującym spojrzeniem jej brzuch.

Posługaczka udała, że nie słyszy, pociągnęła nosem i z furią zamieszała drewnianą kopyścią obrusy. Młoda, zdrowa i bezdietna - też coś! To pewnie te lata, spędzone w teatrze, przewróciły pani Starck w głowie. Jak nic, bała się, że straci figurę. Jakby to talia była dla kobiety najważniejsza.

„Stara, paskudna i sześciokrotna matka” - pomyślała Vera nie bez zawiści. Samo wyobrażenie, że jakiś mężczyzna może pragnąć ciała tak pozbawionego powabu, było obsceniczne. Pan Monke musiał być nieustraszonym człowiekiem. Albo wielkim patriotą. Być może rzucał się na małżonkę z poczucia obowiązku, żeby zapewnić narodowi przetrwanie. Tak czy inaczej, los obdarzył tę niesympatyczną kobietę licznym potomstwem, którego jej odmawiał. Pani Monke wypowiedziała na głos tylko to, co Vera sama widziała w oczach otaczających ją ludzi. Skąd mieli wiedzieć, jak bardzo pragnęła dziecka i jakim rozczarowaniem napełniają ją każda nieubłagane punktualna miesięczka? Nie mogła zająć w ciążę i coraz częściej przytapywała się na myśli, że Bóg ją ukarał za beztroskie lata w teatrze, za lekkomyślny związek z Maxem, a przede wszystkim za to, że pozwoliła zabić jego dziecko. Razem z nim wyszarpnęło z niej poczucie nietykalności, ufność i niewinność. Jeżeli istnieje Bóg, to jest to Bóg Alberty, który nigdy nie wybacza.

Spowita w obłok pary pani Monke, w długim białym fartuchu, z ptasią twarzą i podobnym do wielkiego dzioba nosem, wydała

się Verze jednym z demonów, które na obrazach Boscha ściągają w dzień Sądu Ostatecznego grzeszników w otchłań. Poczula, że nie zniesie jej w swoim domu ani chwili dłużej. Zebrała całą swoją odwagę i powiedziała:

- Wie pani co, pani Monke? Widzę, że jest pani ze mnie niezadowolona. To dobrze się składa, bo ja z pani też jestem niezadowolona. Dla nas obu będzie lepiej, jeśli poszuka sobie pani innego obowiązku. Zapłacę pani za miesiąc z góry i od jutra nie musi pani już przychodzić.

Posługaczka z hałasem rzuciła pokrywę na kocioł, wytarła czerwone ręce o biodra i odwiązała fartuch.

- Może i lepiej. Pani myśli, że w życiu jak w teatrze. Tylko bawić by się pani chciała, a małżeństwo to nie zabawa, tylko obowiązek.

- Może pani już iść, pani Monke.

- Z przyjemnością. Co to za dom, w którym nawet portretu Fuhrera nie ma? W takim domu Bóg nie mieszka i nie pobłogosławi pani dzieciątkiem. Popamięta pani moje słowa.

- Odprawiłam ją, Toni. Nie mogłam dłużej przebywać pod tym samym dachem z kimś, kto dzień w dzień okazywał mi bezgraniczną pogardę. Do wszystkiego pchała ten swój długi nos i miała czelność wytykać mi moją bezdzietność - zupełnie, jakby to ode mnie zależało. Ach, Toni, a jeżeli ja już nigdy nie zajdę w ciążę? Może Bóg mnie karze za to, że usunęłam?

- Nie miałaś innego wyjścia. Nie myśl o tym.

- Christian bardzo pragnie dzieci. Czuję się taka... wybrakowana. Niepełnowartościowa.

- Bóg jest miłosierny, Vero.

Alberta obiecała, że wyszuka w Klein Kruckow pracownicę, pogodną służącą i przyśle ją córce. Do tego czasu Toni wspaniałomyślnie wypożyczyła Verze swoją dziewczynę z nakazu pracy. Lena zamierzała zostać kreślarką i jak wszystkie inne młode kobiety, które chciały pracować w zawodzie niezwiązanym z gospodarstwem domowym, musiała odbyć roczną praktykę w dużej rodzinie. Okazało się, że

rysuje jak anioł, ale nie potrafi ugotować nawet jajka. Była jednak pogodna, miała miłą buzię i dużo zapału - co za ulga po wiecznie skwaszonej pani Monke!

Po dwóch tygodniach przybyła odsiecz z Klein Kruckow w postaci Gretchen, pasierbicy kowala Rieppke. Z tą Gretchen wiązała się przykra historia, którą Vera jeszcze dobrze miała w pamięci. Dziewczyna zawdzięczała swoje istnienie kilkudniowej wizycie kuzyna Alfreda von Rathenberg, wielkiego entuzjasty natury i zdrowego, prostego życia na wsi. Po jego wyjeździe okazało się, że wszedł z tą naturą w bliższy kontakt, czego dowodem był rosnący brzuch pokojówki Rosi. Wzięta przez Albertę w krzyżowy ogień pytań Rosi płakała i przysięgała, że to nie jej wina: „pan Alfred ją przymusił”. Matka Vera, mimo całego oburzenia, odczuła pewną ulgę. Podejrzewała w pierwszej kolejności męża, a także Alexa, któremu ledwie co sypnął się wąs - ale mało to głupstw robią opętani hormonami chłopcy? Napisała do kuzyna Alfreda utrzymany w biblijnym tonie list pełen wyrzutów i pogrózek, na który nigdy nie otrzymała odpowiedzi. Oczywiście przestał być do Klein Kruckow zapraszany.

Rozumiało się samo przez się, że Rosi odprawiono - tak kończyły wszystkie dziewczęta, które się „nie pilnowały”. Obowiązek chrześcijański kazał jednak Albercie ruszyć na poszukiwanie męża dla nieszczęśliwej. Kowal Rieppke nadawał się do tego celu wprost idealnie, bo akurat zmarła mu na suchoty żona, pozostawiając trójkę dzieci do odchowania. Zawzięcie się targował, ale za kawałek pola pod lasem w końcu zgodził się wziąć Rosi do siebie. Ze ślubem zdążono jeszcze na czas, choć sukienka pękała na pannie młodej w szwach i ojciec Norbert nie ukrywał swojego niezadowolenia. Cała wieś wiedziała jednak, że Gretę zrobił pan z dworu i nie miała u kowala łatwego życia, szczególnie, kiedy sobie wypił. Musiała harować jak wół i wciąż chodziła posiniaczona. Po długich konsultacjach z ojcem Norbertem Alberta uznała, że dziewczyna powinna zejść ojczymowi z oczu, zanim ją na dobre zatłucze.

- Pamiętaj, żebyś się dobrze pilnowała - przykazała Grecie surowo. - Berlin jest bezbożnym miastem, gorszym od Sodomy. Siedz w domu i nigdzie nie lataj, chyba że do kościoła.



- Tak, proszę pani.

- Sama wiesz, do czego prowadzi lekkomyślność.

- Tak, proszę pani.

- Nie daj się skusić pięknym słówkom, fatałaszkom i świecidełkom. Pracuj ciężko i odkładaj na swoją wyprawę, żebyś mogła kiedyś wyjść za mąż za jakiegoś porządnego człowieka. I módl się codziennie.

- Tak, proszę pani.

Vera przyjęła Gretę z otwartymi ramionami - po raz pierwszy w życiu matka zrobiła jej naprawdę dobry prezent. Dziewczyna miała zaledwie piętnaście lat, ale przyzwyczajona była do ciężkiej pracy i robota paliła jej się w rękach. Grecie dom państwa Starck wydał się rajem: jeszcze nigdy nie widziała tak lśniących posadzek, lecącej z kurków w ścianach wody i lamp, które zapalały się po przekręceniu kontaktu. Nie trzeba było nawet biegać na podwórko do wygodki, siedziało się w cieple jak król na tronie - widział to kto takie zbytki? Miała swój własny pokój na mansardzie, tylko trochę za zimny zimą i za gorący latem, a w nim łóżko, którego z nikim nie musiała dzielić. Modliła się więc codziennie, jak jej poleciła pani von Rathenberg, dziękując gorąco Bogu, że tak cudownie odmienił jej los. Także i Vera była wdzięczna Opatrzności za to pogodne stworzenie, które, podśpiewując, paliło w piecach, prało i prasowało, froterowało podłogi i wciąż chciało ją całować w rękę za całe szczęście, które je spotkało. Greta była bystra, szybko się uczyła i tylko od jednego nie można jej było odzwyczaić: z wielkiego szacunku dla błyszczących jak lustro parkietów chodziła boso i nic nie mogło jej skłonić do włożenia butów. Trzy pary pantofli, które jej podarowała Vera, stały pięknie wyczyszczone i nigdy nie używane pod jej łóżkiem. Zakładała je tylko do kościoła, a i to dopiero za progiem.

- Kiedyś się i tego nauczy, a poza tym to prawdziwy skarb - stwierdziła filozoficznie Toni. - Modli się i pracuje - gdzie w Berlinie znajdziesz taką drugą? Oby tylko służące z sąsiedztwa nie przewróciły jej w głowie.

Jesienią 1938 roku wiara pana von Klinck w pokojowe współżycie z tarantulami poważnie się zachwiała. We wrześniu Hitler zażądał przyłączenia Kraju Sudeckiego do Rzeszy i Europa znalazła się o krok od wojny. Czechosłowacja związana była sojuszami militarnymi z Francją i Związkiem Radzieckim, wydawało się, że konflikt zbrojny jest nieunikniony. Przez kilka straszliwie nerwowych dni ważyły się w Monachium losy kontynentu. Konferencja zakończyła się jednak zgodą na natychmiastowe przyłączenie Kraju Sudeckiego do Rzeszy i oświadczeniem, że Anglia i Niemcy nigdy nie będą prowadziły przeciwko sobie działań militarnych.

- Przywożę wam pokój - zadeklarował uroczyście Chamberlain po powrocie z Monachium.

- Hitler nie dopuści do wojny, prawda? - zapytała z niepokojem Toni.

- Nie, oczywiście nie - odpał pan von Klinck, myśląc w duchu: „Jeszcze nie”. Ale do czego miały prowadzić zamówienia w fabrykach zbrojeniowych? Do pokoju?

- Joachim...

- Joachim jest dzieckiem. Ma dopiero szesnaście lat.

Na razie.

Na razie Hitler odniósł kolejny sukces i utwierdził swój nimb genialnego wodza i stratega - bo czyż nie rzucano mu pod nogi terytorium za terytorium? Jakże miło było myśleć, że Fuhrer znowu miał rację, jak kojąca była wiara w jego nieomylność! Naród spoglądał ku niemu z ufnością i radosną dumą. Tylko pan von Klinck, który nadal codziennie czytał „Timesa”, nie potrafił się cieszyć. Nie miał wątpliwości, że będzie wojna. Im częściej Hitler zapewniał o swoim umiłowaniu pokoju, tym bardziej chmurzyło się jego czoło, a oczy w zamyśleniu szukały Joachima, który - wysoki, smukły, zgrabny w mundurze Hitlerjugend - z zapałem śpiewał o słodczy śmierci na polu chwały.

„Völkischer Beobachter” zaprenumerowany został głównie po to, żeby pan Handtke, obwąchując skrzynkę pocztową państwa von Klinck, mógł wyczuć zdrowy zapach organu NSDAP. Toni nie czytała

go wcale, pan von Klinck czasami do niego zaglądał, żeby porównać oficjalną wersję wydarzeń z treścią „Timesa”. Tym razem rzucił mu się w oczy artykuł wstępny na pierwszej stronie:

*To oczywiste, że naród niemiecki wyciągnie z tego czynu konsekwencje. Nie do przyjęcia jest sytuacja, w której w zasięgu naszych granic setki tysięcy Żydów wciąż jeszcze panują nad całymi ulicami handlowymi, zamieszkując lokale rozrywkowe i wyciągają pieniądze z kieszeni niemieckich lokatorów, podczas gdy za granicą ich współplemieńcy zagrzewają do wojny przeciwko Niemcom i strzelają do niemieckich urzędników. Strzały w niemieckiej ambasadzie będą oznaczały nie tylko początek nowej ery w kwestii żydowskiej, ale również, miejmy nadzieję, sygnał dla tych cudzoziemców, którzy jeszcze nie przyjęli do wiadomości, że na przeszkodzie porozumieniu narodów stoi wyłącznie międzynarodowe Żydostwo’.*

Okropna historia z tym von Rathem. Bóg jeden wie, czym to się skończy, jeśli umrze - pomyślał pan von Klinck. Von Ratha, sekretarza ambasady niemieckiej w Paryżu, postrzelił poprzedniego dnia siedemnastoletni Herszel Grynszpan. Powodem tego desperackiego czynu była podobno deportacja jego rodziny wraz z tysiącami innych Żydów polskiego obywatelstwa do Zbąszynia.

Jakie konsekwencje mogły jeszcze Żydom grozić? Nie mieli przecież praktycznie już żadnych praw. Ich majątki były poddawane aryżacji<sup>2</sup>, sklepy oznakowane gwiazdą Dawida, Kennkarty ostemplowane czerwoną literą „J”. W sierpniu zostało wprowadzone przymusowe drugie imię - „Sara” dla kobiet, „Izrael” dla mężczyzn. Odebrano im nawet resztkę godności - co można było jeszcze zabrać?

Pan von Klinck pokręcił głową i odłożył gazetę.

Kula młodego Grynszpana okazała się śmiertelna. Von Rath zmarł następnego dnia, choć Hitler natychmiast po zamachu wystąpił do Paryża swojego osobistego lekarza. Pan von Klinck dobrze zapamiętał sobie, że był to czwartek, bo w czwartki miał zwyczaj jadać w swoim klubie kolację z doktorem Freiskornem i rozgrywać z nim partyjkę szachów. Niestety Freiskornowi daleko było do mistrzostwa doktora

<sup>1</sup> *Volkischer Beobachter*, 08.11.1938

<sup>2</sup> Nazistowski termin, oznaczający odbieranie majątku nie - Aryjczykom.

Goldberga i gra z nim nie sprawiała panu von Klinck nawet w połowie tej samej przyjemności. Za każdym razem musiał to stwierdzić z dużym rozczarowaniem. Jednak zabawił tego dnia dłużej na mieście, odprawił Kurta i wracał wieczorem do domu taksówką.

Na Kurfurstendamm zagroził im drogę wzburzony tłum. Pan von Klinck wysiadł, żeby zobaczyć, co się dzieje i pod jego nogami chrupnęło szkło - miliony szklanych kryształków z rozbitych szyb, które migotały w świetle latarni jak drogocenne kamienie. Grupy młodych mężczyzn uzbrojonych w łomy i kije baseballowe szły rozkołtysanym krokiem od domu do domu i tłukły dobre, belgijskie witryny, systematycznie, oszczędzając siły, jak drwale przy wyrębie lasu - zamach, uderzenie, zamach. Szklane iskry sypały się na chodnik jak lodowy firn. Ulicę zaściewały wywleczone z wystaw towary, rozdeptana żywność, poszarpane zasłony i połamane meble, manekiny wyciągały powykręcane członki ku niebu jak trupy na polu bitwy. Z górnych pięter leciały z okien części garderoby, bibeloty, naczynia, książki i podarte gazety. W pobliżu coś się paliło, swąd dymu drażnił oczy pana von Klinck i kręcił w nosie. Ktoś krzyczał, że na Friedrichstrafse płonie synagoga.

- Piekło Dantego - pomyślał pan von Klinck. - Tak musi wyglądać piekło. Ale gdzie jest policja?

Policja znikła bez śladu. W oddali słychać było syrenę wozu strażackiego, ale właściwie poza dźwiękiem rozpryskujących się szyb cała scena odbywała się w upiornej ciszy. Ludzie stali i przyglądali się w milczeniu. Tylko przed sklepem delikatesowym, gdzie dwaj chłopcy w mundurkach Hitlerjugend rozdawali z wystawy puszki z tuńczykiem, francuskie sery i owoce, rozlegały się śmiechy. Po drodze przysmaki wyciągały się liczne ręce, obdarowani chowali je szybko za pazuchę i znikali chyłkiem.

- Hańba! - krzyknął oburzony pan von Klinck. - Jak wam nie wstyd! Policja!

Kierowca taksówki pociągnął go za rękaw i szorstko popchnął w kierunku auta.

- Czyś pan zwariował? A może policja sama ich tu nastąpiła, skąd pan wiesz? Zabierajmy się stąd, nic tu po nas.

- Ależ to przecież bezprawie! - gorączkował się pan von Klinck. -  
Płądrowanie cudzego mienia! Nie możemy tak stać i się przyglądać!

- Nie stoimy, tylko znikamy i nie bezprawie, tylko sprawiedliwy  
gniew ludu. Z choinki się pan urwał, czy co? Nad Żydami będziesz się  
pan litował? Wsiadaj pan w końcu, bo tu pana samego zostawię.

Pan von Klinck podniósł z ziemi fotografię i oczyścił starannie  
rozbite szkielekó rękawem płaszcza, choć zdawał sobie sprawę z ab-  
surdalności tego gestu. Wsunął ją do kieszeni i niezgrabnie wdrapał  
się do taksówki, jakby mu nagle przybyło lat.

- Ci chłopcy z Hitlerjugend... mógłby między nimi być mój syn  
- powiedział nieszczęśliwym głosem. - Może nawet i jest - przy  
jakimś innym sklepie.

- Może i jest - zgodził się taksówkarz. - Może nawet razem  
z moim. No i co z tego?

- Nie wiem. Kiedyś lubił wiersze - westchnął pan von Klinck  
i pogłaskał fotografię. - A teraz lubi co innego.

Po tej nocy, którą później nazywano „nocą kryształową”, kwestia  
żydowska właściwie przestała istnieć, bo Żydzi na dobre zniknęli  
z życia publicznego. Nie mieli wstępu do kin i teatrów, usunięto ich  
ze szkół, odebrano prawa jazdy. Ci, których stać było na emigrację,  
wyjechali. Jednym z ostatnich Żydów, których pan von Klinck widział,  
był stary Minzberg. Minzberg miał dużą firmę, produkującą części  
zamienne do maszyn i przez wiele lat był handlowym partnerem  
pana von Klinck. Kiedyś obaj panowie utrzymywali nawet stosunki  
towarzyskie, zapraszali się wzajemnie, teraz nie mogło być o tym,  
naturalnie, mowy. Interesy Minzberga szły coraz gorzej, chciał już  
tylko sprzedać zakład i wyjechać.

- Na jakiś czas tylko - zastrzegął się. - Aż się wszystko uspokoi.  
Bo przecież kiedyś się uspokoi, prawda? Nie wyobrażam sobie na  
stare lata życia w obcym kraju. Tu jest moje miejsce, tu chciałbym  
umrzeć.

Stał przed biurkiem pana von Klinck z kapeluszem w ręku, przy-  
garbiony, posiwiały, prawie przezroczyisty ze zgryzoty. Wyglądał tak  
źle, że pan von Klinck poczuł się zaniepokojony.

- Oby tylko «tu» nie oznaczało mojego gabinetu - pomyślał.

- Niech pan siada, Minzberg. Musi się uspokoić, na pewno. Za-granica nie pozwoli, żeby było inaczej. Wiem z pewnego źródła, że po tych... zajściach wpłynęły liczne noty protestacyjne. Amerykanie odwołali nawet swojego ambasadora, słyszał pan o tym?

Miał nadzieję, że brzmiało to przekonująco.

- Słyszałem, ale co z tego? - westchnął Minzberg. - Wolałbym, żeby mi zezwolili na wjazd do Stanów. W każdym razie muszę sprzedać zakład i chciałbym sprzedać panu. Jest pan człowiekiem honoru, wiem, że pozwoli mi pan odkupić, jak to wszystko minie.

- Naturalnie! - zapewnił go pan von Klinck. - Może pan odku-pić w każdej chwili. Głowa do góry, Minzberg, to nie może trwać wiecznie. Wie pan, jak ludzie nazywają NSDAP? *Nur so lange dieAffen parieren* - tylko tak długo, jak małpy się słuchają. Dobrze, co?

- Ludzie? Jacy ludzie? Ci, co mi okna wytłukli i wyrzucili przez okna meble? Co synagogi z dymem puścili? Proszę pana, małpy nie tylko są posłuszne, małpy są tak pełne zapału, że wręcz twórcze.

- No tak - zmarkotniał pan von Klinck. - Ale ja wciąż jeszcze wierzę w sprawiedliwość. Jak nie przed ludzkim sądem, to przed Boskim. *Bóg nie da się z siebie naśmiewać, albowiem co człowiek sieje, to i żąć będzie*<sup>1</sup>.

- Mnie się wydaje, że Bóg jest tym wszystkim zupełnie niezain-teresowany, panie von Klinck. Może uciął sobie drzemkę? Nie mogę czekać, aż się obudzi.

- Tak, oczywiście. No więc - o jakiej sumie pan myślał?

- Kazałem wycenić. Jestem wart osiemdziesiąt tysięcy. Powiedz-my: siedemdziesiąt pięć? Bo sprawa jest raczej nagląca.

- J a k osiemdziesiąt, to osiemdziesiąt, Minzberg. Nie chcę ko-rzystać na pańskiej krzywdzie.

- To bardzo wielkodusznie z pana strony. Niech Bóg pana ma w swojej opiece.

Władze finansowe okazały się jednak pozbawione jakiegokolwiek wielkoduszności. Zbrojenia szły już pełną parą i ich finansowanie

<sup>1</sup> List do Galatów

wymagało najwyższej pomysłowości. Rzesza stała na krawędzi bankructwa. Skomplikowany system coraz to nowych podatków, przepisów i rozporządzeń, miał w sumie jeden tylko cel: zasilenie kasy państwa majątkiem Żydów.

W przypadku Minzberga uznano, że wycena jest zawyżona. Żydowi Minzbergowi pozwolono zatrzymać zaledwie połowę, reszta miała przypaść Rzeszy z tytułu „podatku wyrównawczego”. Ale i ta suma nie została mu wypłacona. Po zawarciu transakcji pieniądze pana von Klinck trafiły na konto powiernicze, którym Minzberg nie mógł swobodnie dysponować. W 1942 roku napisał do pana von Klinck, że zakupił za nie nieruchomość w Theresienstadt. Tam też umarł.

Niczego dla pani zrobić nie mogę. Nigdy nie będzie pani miała dzieci.

W głosie profesora Tischlera nie było współczucia. Nawet nie starał się złagodzić brzmienia tego wyroku. Przyglądał się Verze beznamyślnie przez okulary w złotej oprawce i bębnił palcami o blat biurka. Palce miał krótkie i grube jak serdelki. Z wyglądu profesor Tischler przypominał bardziej rzeźnika niż lekarza.

- To niemożliwe, panie profesorze. Oboje z mężem bardzo pragniemy dziecka, niech mi pan nie odbiera nadziei. Tylu kobietom pan pomógł, wszyscy mówią, że potrafi pan zdziałać cuda. W ostatnich latach medycyna zrobiła tak wielkie postępy, podobno możliwe jest nawet sztuczne zapłodnienie.

- Ale nie w pani przypadku, pani Starck.

Z oczu Very posypały się łzy. Nerwy miała napięte do ostateczności, jej ręce trzepotały się jak spłoszone zwierzątka. Z trudem mogła utrzymać torebkę. Badanie było udręką, jeszcze jedną w niekończącym się łańcuchu przykrych chwil, spędzonych w ostatnim roku na fotelach ginekologicznych w gabinetach różnych sław. Poddanie się dotknięciu szorstkich rąk obcego mężczyzny nadal wymagało przewyciężenia się, za każdym razem odczuwała bezbrzeżne upokorzenie.

- Błagam pana, niech pan chociaż spróbuje.

Profesor wstał, obszedł biurko i pochylił nad nią swoje potężne ciało, opięte białym fartuchem.

- Trzeba było się wcześniej nad tym zastanowić, pani Starck. Usunęła pani ciążę, prawda? Popęłniła pani przestępstwo w stosunku do siebie samej, pani męża i pani narodu. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co panią do tego skłoniło, prawdopodobnie miała pani ważne ku temu powody. Niemniej była to bardzo pochopna decyzja i teraz ponosi pani jej konsekwencje.

- Panie doktorze!



Profesor Tischler już otwierał przed nią drzwi gabinetu. Siedzące w poczekalni kobiety przerwały rozmowy i z ciekawością obrzuciły wzrokiem zapłakaną twarz Very.

- Do widzenia, pani Starck. Następną, proszę!

Ulica zalana była słońcem. Kwitły bzy i kasztany, ćwierkały podniecone wiosną wróble, dzieci podskakiwały wesoło, dziewczęta przyciskały do piersi pęki żonkili, młodzietki gazeciarz przemknął na rowerze, dzwoniąc jak szalony. Oślepiiona łzami Vera szła przed siebie, niczego nie widząc, potrącana przez przechodniów. Słowo „nigdy” nieubłaganie brzmiało w jej uszach. Ocknęła się dopiero na Orzechowej i, szlochając rozpaczliwie, rzuciła się w ramiona Toni.

- Och, Toni, wiedziałam, że Pan Bóg mnie pokarze za to, co zrobiłam. Profesor Tischler powiedział, że nigdy nie będę miała dzieci. Co mam teraz ze sobą począć? Moje życie jest takie beznadziejnie puste. Przedtem miałam chociaż teatr.

- Masz męża - powiedziała surowo Toni, choć jej serce pełne było współczucia.

- Christian jest cały dzień poza domem. Ma te swoje projekty i najchętniej nie odchodziłby od rajzbretu. A ja? Jak długo można kręcić się po domu, gotować i sprzątać? Ty to co innego, ty masz czworo dzieci, które nadają twojemu życiu sens.

Toni bezwiednie położyła rękę na piersi. W klapę jej wiosennego kostiumiku wpięty był Krzyż Matki, odznaczenie, które otrzymała niedawno i z którego była bardzo dumna. Od czasu, kiedy je nosiła, chłopcy z Hitlerjugend pozdrawiali ją na ulicy podniesieniem ręki i pełnym szacunku „Heil Hitler”, co sprawiało jej wciąż nową radość. Johannes wyśmiewał się z niej niemiłosiernie, ale ona uważała, że zupełnie słusznie honoruje się zasługi kobiet, odniesione na tym polu chwały, które jest im dostępne.

- Kiedy to tak, jak u zarodowych kłaczy, mój aniele. Tak samo premiuje się dobre pochodzenie i krew. Moja żona zasługuje na każdy order świata - ale żeby akurat za dzieci? W dodatku nagradzana jest przede wszystkim ilość, a nie jakość. Nasza praczka ma ośmioro, więc dostała złoty, my mamy tylko czwórkę, więc udekorowano cię zaledwie brązowym. Nie mogę brać na serio odznaczenia,

które praczkę stawia wyżej od mojej żony. Mogłoby się wydawać, że cię przewyższa - co nie jest, oczywiście, prawdą. Jest co najwyżej półdniejsza.

Johannes mógł sobie z krzyża żartować, ale Toni wiedziała swoje. Macierzyństwo było poważnym i odpowiedzialnym zadaniem kobiety, najważniejszym, jakie miała do wypełnienia w życiu. Bardzo dobrze, że zostało nareszcie docenione.

- Vera, głowa do góry. To bardzo smutne, co cię spotkało, ale przecież istnieją inne możliwości. Czy myślałaś już o adopcji? Mogłabyś stworzyć ciepły dom jakiegoś biednemu dziecku z sierocińca. Zastanów się nad tym.

Ale zanim Vera zdążyła się nad czymkolwiek zastanowić, wybuchła wojna.

Niby to się jej spodziewano, niby to o niczym innym się nie mówiło, a jednak zaskoczyła wszystkich. Hitler nieustająco zapewniał o swoim umiłowaniu pokoju i właśnie podpisał ze Związkiem Radzieckim pakt o nieagresji - a teraz wojna. Od ostatniej minęło zaledwie dwadzieścia lat i zakończyła się katastrofą. Co przyniesie nowa?

Kiedy pan von Klinck spieszył w pochmurny, piątkowy poranek do biura, napotkał na konwój rządowych czarnych mercedesów, zdążających do Reichstagu. Reichstag nadal obradował w Operze Krolla, która znajdowała się w pobliżu siedziby firmy pana von Klinck, co dawało mu często okazję obserwowania przejazdu Fuhrera. Do tej pory, jak tylko pojawiał się samochód policyjny z żółtą flagą, zapowiadający zbliżającego się wodza, ze wszystkich stron pędził tłum, żeby zobaczyć Hitlera na własne oczy. Ludzie wiwatowali i szaleli z entuzjazmu, niektórzy potrafili całymi godzinami czekać na ulicy, żeby ujrzeć go ponownie. Rezultatem były okropne korki, w których pan von Klinck niejedną raz utknął i zdarzało mu się spóźnić z tego powodu na jakieś ważne spotkanie. Tego dnia żadnych owacji jednak nie było. Przechodnie przemykali spiesznie pod ścianami, rzucając spłoszone spojrzenia na boki.

- W mieście spokój - zameldował żonie przez telefon. - Tyle tylko, że radio nadaje na zmianę marsze i komunikaty. Poza tym nic się nie dzieje. Nie denerwuj się.

Pod wieczór jednak zawyły nagle syreny przeciwlotnicze i na niebie ukazały się dwa samoloty - podobno polskie. Pan von Klinck kazał personelowi natychmiast zejść do piwnicy, ale żadne bomby nie spadły. Samoloty pokrzyły trochę nad miastem i zawróciły. Po tym przeżyciu pan von Klinck zdecydował się skoczyć na piwo do baru w sąsiedniej kamienicy - żeby zasięgnąć języka i uspokoić nerwy. Z ulgą stwierdził, że mimo zaciemnienia lokal był tłoczny i gwarny jak zwykle.

Również i w następnych dniach nastroje mieszkańców Berlina nie uległy zmianie. Ludzie byli dalecy od entuzjazmu, choć komentatorzy w radiu zachęcali się patriotycznym uniesieniem i donosili o fantastycznych zwycięstwach odnoszonych w Polsce. Szczerze mówiąc, nikt im nie dowierzał. Potem jednak Vera otrzymała list od Alexa, którego już w końcu lipca wysłano na manewry pod polską granicę. List przekazał jej znajomy oficer ze sztabu, który przyjechał do Berlina w jakiejś ważnej i naturalnie ściśle tajnej misji. Alex pisał, że znajduje się gdzieś niedaleko Kutna. Ofensywa parła do przodu jak taran i nie przyniosła do tej pory po stronie niemieckiej prawie żadnych strat w ludziach. Wszystko wskazywało na to, że armia polska zostanie w ciągu co najwyżej czternastu dni okrążona i zniszczona.

Zaledwie parę dni po tych optymistycznych wiadomościach Alex stracił dwie trzecie swojego batalionu w zażartych walkach pod Łowiczem - tego jednak Vera już się nie dowiedziała.

Polska broniła się rozpaczliwie, ale po uderzeniu Armii Czerwonej od wschodu nie miała żadnych szans. Jej sojusznicy, Anglia i Francja, wypowiedzieli, co prawda, Trzeciej Rzeszy wojnę, nie podjęli jednak żadnych działań militarnych. Po miesiącu oblężenia Warszawa skapitulowała i już na początku października Hitler mógł odebrać w pokonanej stolicy defiladę zwycięskich wojsk. Pomorze, Wielkopolska, Śląsk i rejon Łodzi zostały przyłączone do Rzeszy, na pozostałym skrawku Polski powstała Generalna Gubernia.

Dopiero po tym olśniewającym zwycięstwie wybuchł w Berlinie szalony entuzjazm - a to był zaledwie początek! W kwietniu 1940 roku Wehrmacht wkroczył do Danii i Norwegii, w maju do Francji,

Belgii i Holandii. Kapitulację Francji Hitler przyjął w Compiègne, w tym samym wagonie kolejowym i przy tym samym stole, przy którym w 1918 roku podpisany został tak krzywdzący dla Niemiec rozejm. Historia zatoczyła koło - odwieczny wróg został rzucony na kolana. Kiedy Fuhrer przybył pociągiem specjalnym do Berlina z pokonanej Francji, zgromadzone na ulicach tłumy wiwatowały frenetycznie, a jezdnie usłane były kwiatami. Radość i duma narodu nie miały granic.

Cóż to były za podniosłe, pełne emocji dni! Wojna toczyła się gdzieś daleko, jakby na innej planecie, nie leciały na głowę bomby, nie płonęły domy, nie toczyły się po ulicach czotgi. Jeszcze nie. Z podbitych regionów zaczęły napływać pocztą polową do rodzin w kraju egzotyczne towary: jedwabie i koniaki z Francji, futra i wódki z Generalnej Guberni, zegarki i buty z Protektoratu Czech i Moraw, nieznane do tej pory luksusy. Za granicą ceny były wszędzie wprost śmiesznie niskie, ale najlepsze zakupy można było robić, oczywiście, w Paryżu. Martha nie posiadała się z zachwytem, że szczęśliwy przypadek rzucił Antona akurat nad Sekwanę, do tego cudownie zepsutego miasta z najwspanialszymi na świecie domami towarowymi. Dla przedsiębiorczego człowieka - a Anton niewątpliwie miał głowę na karku - obojętnie obowiązujących przepisów celnych i ograniczeń dewizowych było dziecinnie proste. Martha wysyłała synowi pieniądze w domowym cieście z kruszonką albo ukrywała je w kartkach książki i nieomalże codziennie otrzymywała paczkę z kawą, herbatą, czekoladą, kakao i perfumami. Czego nie zużytkowała sama, sprzedawała albo wymieniała - jeszcze nigdy tak dobrze jej się nie powodziło. Wszystkie jej kumy pękały z zawiści.

Jesienią 1941 roku Anton przyjechał na urlop. Obładowany nieprawdopodobną ilością obwiązanych sznurkiem paczek na plecach dźwigał spiętą żołnierskim pasem walizkę. Na widok przywiezionych przez niego skarbów - kuponów wzorzystego materiału, jedwabnych pończoch, pięknie pachnących kolorowych mydełek, rękawiczek z najcieńszej skórki i baterii butelek z koniakiem - Martha plasnęła z podziwu w ręce. Jej obwisłe policzki zatrzęśły się ze wzruszenia, oczy wypełniły łzami.

- Jezus, Maria, Józefie święty: ileś ty tego wszelkiego dobra nakupował, synku! - zawołała z szacunkiem.

- Tylko się przed nikim nie chwal, matka - sapnął Anton, zrzucając z grzbietu walizkę. - Jeszcze się kto przyczepi, względem honoru niemieckiego oficera i tak dalej. Jakby to inni tego nie robili. Trzeba przecież ulżyć trochę bliskim w kraju, no nie? Ja to wszystko musiałem na własnym grzbiecie wlec, a taki urzędnik pocztowy to może sobie spokojnie cały wagon kawy zaplombować i wysłać - ci to dopiero robią interesy! Większość się sprzedaje, ale tu, popatrz, masz lisa na szyję i koronki na głowę. Dla ciebie, prosto z Paryża. No jak, zadowolona?

Martha zarzuciła drżącymi z przejęcia rękami srebrzyste futerko na ramiona i udrapowała na głowie szal. Śliskie koronki spłynęły z eleganckim szelestem po jej szarych, zlepionych potem włosach.

- Bardzo szykownie - pochwalił Anton. - Wyglądasz jak prawdziwa dama. A to dopiero początek! Idziemy jak huragan i zatrzymamy się dopiero na Uralu. Skończy się wtedy kucharzenie, bryczką będziesz jeździła po naszych dobrach na Ukrainie. Pamiętasz - obiecałem ci.

- Pamiętam, pamiętam, syneczku, jakże bym mogła zapomnieć. Jaka szkoda, że ojciec tego nie doczekał, że nie widzi, jakie dobre, troskliwe dziecko mamy. Jak on by się cieszył, jak by się cieszył! Ale może i siedzi sobie teraz na jakiejś chmurce, patrzy na ciebie i serce mu rośnie z dumy.

- Dopiero by się cieszył, gdyby wiedział, że go pomściłem. Zawsze sobie myślałem, że dobrze byłoby zabić jakiegoś francuskiego sukinsyna - za tatę - no i teraz nadarzyła mi się okazja.

- Zabiłeś człowieka? - wyszeptęła Martha i jej ocienione paryskimi koronkami oczy rozszerzyły się ze zgrozy. - O Jezus, a jakby on zdążył cię przedtem zastrzelić?

- To nie miałybyś srebrnego lisa, matka. Jest wojna, nie wiedziałas? Na wojnie się zabija. Zresztą wcale nie było to takie proste, bo Francuzi poddawali się bez walki. Za grosz w nich nie ma ducha bojowego, tchórzliwy naród. Żołnierz niemiecki nie może strzelać

do kogoś, kto macha białą szmatą, nie godzi się. Dopiero tuż przed Paryżem natknęliśmy się na partyzantów, no i wtedy udało mi się jednego z nich ukatrupić.

- Całe szczęście, że nic ci się nie stało, synku. Chłopakowi praczki pocisk urwał obie nogi w Polsce i wykrwawił się, biedaczek. Gdzieś pod Kutnem. Co ja bym poczęła bez ciebie?

- Nie piłabyś tej dobrej kawy - roześmiał się Anton. - A teraz daj mi coś do jedzenia, bo zgłodniałem jak wilk.

Piętro wyżej, w salonie, państwo von Klinck sprzeczali się zawzięcie. Oczywiście półgłosem, ze względu na służbę, i, jak przystało na ludzi ich klasy, tonem uprzedzająco uprzejmym. Niemniej harmonia małżeńska była poważnie zachwiana.

- Musimy go zaprosić chociażby na kieliszeczek wina, mój drogi - tłumaczyła Toni mężowi. - Nie możemy inaczej. W końcu to żołnierz, który przybył prosto z frontu, gdzie narażał za nas swoje życie. Jest to nasz obowiązek patriotyczny i czysto ludzki. Jego matka od lat należy do naszego personelu, jest niejako członkiem rodziny i, nawiasem mówiąc, wyśmienicie gotuje.

- Ja go do Francji nie wysyłałem. Wcale nie chcę, żeby się za mnie narażał. Anton pod katedrą Notre Dame: co za marnotrawstwo! Moi francuscy znajomi pozrywali ze mną kontakty. Uważają nas za barbarzyńców. Czy naprawdę musimy prowadzić wojnę z całym światem? I czy ktoś przy zdrowych zmysłach może wierzyć, że ją wygramy?

- Cały naród jest o tym głęboko przekonany.

- W takim razie cały naród stracił rozum. Bo i po co mu rozum, skoro to pudło za niego myśli? - Pan von Klinck wycelował oskarżycielko palec w odbiornik radiowy. - Od rana do nocy sący w mózgi propagandę, a ludzie chłoną ją z takim nabożeństwem, jakby przyjmowali komunię. Zupełnie im się w głowach od tego pomieszało. Widziałaś nekrolog syna naszej praczki? *Pełni dumy, choć pograżeni w głębokiej żałobie, zawiadamiamy, że syn nasz Hans poległ na polu chwały, oddając swoje młode życie za ojczyznę i Fuhrera.* Czy ta kobieta oszalała? Jaka matka może być dumna z tego, że pocisk rozerwał

jej dziecko na strzępy? Powinna była jeszcze napisać: *Przepętieni wdzięcznością dla naszego wodza, Adolfa Hitlera.*

- Johannesie, czy ty, nie daj Bóg, znowu słuchałeś zagranicznych radiostacji? Wiesz przecież, że to zabronione. Gdybym cię tak dobrze nie znała, mogłabym pomyśleć, że szerzysz defetyzm. Chcesz wylądować w więzieniu? Gdyby personel...

- Gdybym nie mógł ufać ludziom, którzy dla mnie pracują, wolałbym siedzieć w kryminale. Nikt mi nie będzie mówił, czego mam słuchać, po to mam uszy, żeby ich używać.

- Ale to niebezpieczne. Właśnie dlatego trzeba z Fronkiem ostrożnie, po co robić sobie z niego wroga. Prosta przyzwoitość wymaga, żeby go przyjąć małym poczęstunkiem i lampką wina. Okaż choć odrobinę dobrej woli.

- Niczego nie okażę. Nie będę z nim siedział przy tym samym stole. Idę do biura i nie wiem, kiedy wrócę.

Pan von Klinck wymaszerował z pokoju, z podbródkiem dumnie zadartym do góry i wąsami zjeżonymi ze złości jak u kota. Anton, bohater wojenny! Syn jego kucharki w historycznej misji budowania nowej Europy - śmiechu warte. Pan von Klinck sam był na wojnie i nad Sommą uczciwie zarobił na swój Krzyż Żelazny, był jednak bardzo daleki od tego rozbuchanego entuzjazmu, którym ziały przemówienia Goebbelsa i kroniki filmowe. Trzeba było walczyć, jeśli było to konieczne, ale w wojnie nie widział nic wzniosłego. Tylko na filmach umierało się z godnością i uśmiechem na ustach, na polu bitwy śmierć nie miała ani wielkości, ani powagi. Nie mógł się dopatrzyć żadnego piękna w żałosnych szczątkach ciał, rozdartych bagnetem, rozerwanym granatem. Coraz częściej odnosił wrażenie, że rodzaj ludzki wciąż dąży do wojny, bo ona najdoskonalej odpowiada najciemniejszym stronom jego natury: okrucieństwu, egoizmowi, zamiłowaniu do grabieży. Tak cieniutka była otoczka cywilizacji, tak łatwo było ją z siebie zerwać, spuścić z łańcucha najprymitywniejsze instynkty, wymazać z pamięci Dziesięcioro Przykazań! Dlaczego miałby wierzyć, że z grozy śmierci mógłby powstać lepszy, sprawiedliwszy i dostatniejszy świat? I że ten świat stworzą ręce takich, jak Anton Fronk, któremu obce były pojęcia miłosierdzia i miłości bliźniego?

Podczas gdy pan von Klinck szeleścił rozdrażniony papierami i trzaskał szufladami w swoim biurze, jego syn spijał każde słowo z ust rozpartego wygodnie w fotelu Antona. Gdyby mógł, zaciągnąłby się już jutro-cierpiał straszliwe męki na myśl, że wojna mogłaby się skończyć zanim pozwolił mu wziąć w niej udział. Rozpaczliwie pragnął udowodnić, że jest dorosły i gotów do wielkich czynów. Codziennie skrobał zawzięcie policzki brzytwą w nadziei, że pobudzi to zarost, ale pozostawały nadal rozpaczliwie gładkie. Nic dziwnego, że dziewczyny nie zwracały na niego uwagi. Siedemnaście lat i ani wojny, ani seksu, ani zarostu. Życie bywało czasami nieprawdopodobnie niesprawiedliwe.

- No więc, zbliżyliśmy się właśnie do Paryża szeroką, obsadzoną starymi drzewami drogą - opowiadał Anton, balansując nonszalancko kieliszkiem. - Ładny kraj, zadbany, pola starannie zaorane, pod sznur, po gospodarstwu. Miasteczka z szarego kamienia, inaczej niż u nas. Cały czas nie napotykalimy na żaden opór - Francuzi to śmierdzące tchórze - och, przepraszam, pani von Klinck - szarmancko skłonił się w stronę Toni - chciałem powiedzieć: podszyci są zającem, do niczego taka armia. Spuścili po prostu żaluzje i poszli do knajp, żeby się pooburzać. W jednej wiosce dziewczęta do nas machały przyjaźnie i częstowały wodą - ładniutkie bestyjki były - ale zdarzały się też wrogie reakcje.

Przed oczami Antona znów pojawiły się te dwie chichoczące Francuzeczki, ciemnowłose i smagłe jak Cyganki, w letnich, gębokoboki wyciętych bluzeczkach, pod którymi rysowały się rozkoszne piersiątko. Może udałoby się dostać od nich coś więcej niż kubek wody, ale zza płotu wyleciał jakiś okropnie rozindyczony staruch i wyrznął je w różowe policzki.

- *Salopes putains*, brudne ścierki! - wrzeszczał. - Z Niemcami zachciało się wam flirtować? No dalej, kiecki w górę, na co jeszcze czekacie?

W swoim baskijskim bereciku i okularach wyglądał na wiejskiego nauczyciela, może nawet nim był. Dziewczyny spłonęły rumieńcem i czmychnęły natychmiast za opłotki. Staruszek długo wygrażał za nimi pięścią, potem splunął Antonowi na buty. Anton najchętniej



przyłożyłby mu kolbą karabinu, ale był rozkaz, żeby traktować ludność miejscową jak najuprzejmiej, więc machnął ręką.

- Parę kilometrów przed Paryżem partyzanci zrobili zasadzkę. Droga robiła ostry zakręt, dlatego zauważyliśmy barykadę dopiero w ostatniej chwili. Przewrócony wóz drabiniasty, jakieś graty, materace. Mój kierowca zahamował gwałtownie i wtedy posypały się strzały. Złapałem za karabin, wyskoczyłem z samochodu i...

Fantazja Joachima rzuciła go na rozgrzany asfalt francuskiej drogi. Ukryty za drzewkami wozu patrolowego, leżał na ziemi i raz za razem posyłał krótkie serie z pistoletu maszynowego w stronę ciemnej ściany lasu, gdzie czał się wróg. Pod nim drżało gorące ciało sanitariuszki, którą ośłaniał swoim własnym. Z jego draśniętej kulą skroni spływały na jej obnażoną pierś krople krwi, ale nie czuł bólu.

Zgłoszę się na ochotnika - postanowił zbuntowany. - Nie będę czekał, aż zdążą podbić całą Europę bez mojego udziału. Inni walczą, a ja tu tłukę logarytmy. Najlepiej do Luftwaffe, lotnicy są tacy nonszalanccy. Niczego się nie boją, latają sobie po całej Europie, dziś Warszawa, jutro Londyn, i mają kupę forsy. Kobiety leżą przed nimi plackiem.

Tego wieczoru Joachim poszedł spać z niezłomnym przekonaniem, że już wkrótce znajdzie się tam, gdzie jest jego miejsce, czyli na froncie, i udowodni wszystkim, że jest mężczyzną. Przez całą noc śniły mu się pikujące samoloty, wylatujące w powietrze mosty, stojące w krwawej łunie miasta i cudownie miękkie piersi dziewcząt.

Niestety, następnego dnia okazało się, że pan von Klinck nawet słuchać o tym nie chciał. Najpierw matura, a potem się zobaczy. Fiih-ner miał tak wielkie plany, że Joachim zawsze jeszcze zdąży na wojnę. Nadzieje, że już niedługo dokona bohaterских czynów i przystąpi swoje wystające jabłko Adama Krzyżem Żelaznym, musiały więc na razie pozostać niespełnione. Jediną kampanią, w jakiej wolno mu było wziąć udział tego lata, była kampania żniwna.

Pociąg jechał całą noc przez pusty, płaski krajobraz. Okna były szczelnie zaciemnione, pasażerowie rozmawiali półgłosem, jakby z obawy, że wróg może ich usłyszeć. Dwa razy z głębi ciemności doleciało buczenie bombowców i lokomotywa zatrzymała się z gwałtownym szarpnięciem w szczerym polu. Podróżni wypadli z wagonów i rzucili się do rowów przy torach, szukając ukrycia, ale samoloty przesunęły się po ołowianym niebie ociężale i znikły za horyzontem.

Vera przysypiała na ramieniu Christiana. - Litzmannstadt - myślała sennie - to przecież Łódź. Max pochodził z Łodzi.

Z mroku wyłoniła się przed nią szczupła twarz, wrażliwe usta, zmrużone w uśmiechu oczy. Jaki kolor miały oczy Maxa? Nie mogła sobie przypomnieć. Widziała go jak przez mgłę, jak odbicie w powleczonym bielmem starości lustrze, zmatowiałe, niewyraźne. Myślała, że nic nie będzie w stanie wymazać go z jej pamięci, a teraz...

A teraz jechała do Łodzi po jego dziecko.

Nie, oczywiście nie, musiała znowu się zdrzemnąć. Dziecko Maxa umarło w tej ohydnej klinice doktora Sondegaarda. Do Łodzi jechała po dziecko do adopcji. Małego chłopczyka, który od tej pory będzie jej synem. Jakie to dziwne, że akurat do Łodzi. Łódź nazywa się teraz Litzmannstadt, to łatwiejsze do wymówienia. Nie ma już Łodzi, nie ma Maxa, nie ma ich dziecka. Nawet nie wie, czy to był chłopczyk, czy dziewczynka. Ta miła duńska siostra powiedziała, że było za wcześnie, żeby dało się rozpoznać. Pewnie kłamała.

Vera przywarła mocniej do Christiana. Przytulił ją i przesunął czule ręką po jej włosach. Ciepło jego ciała było cudownie kojące, odganiało udrękę wspomnień i rozpraszało lęk przed niebem, po którym zamiast ptaków latały samoloty. Kochany Christian. Bardzo się zapalił do projektu adopcji, wciąż zastanawiał się, czym zdobyć serce ich przyszłego syna. Kupił nawet psa, żeby dziecko miało się z kim bawić. W walizce wiozł śliczny model szybowca ze swastykami na skrzydłach.

Teraz Łódź leżała w Kraju Warty. Czy rodzice Maxa wciąż tam mieszkają? Podobno Polaków wysiedlono do Generalnej Gubernii, ale oni byli przecież Niemcami. Jeżeli jednak jego babka była Żydówką... Pewnie nigdy się nie dowie, co się z nimi stało. Nawet nie zdążyła ich poznać. W dzisiejszych czasach ludzie tak często znikali i wszelki ślad po nich ginął. Czy Max żyje?

Obudziła się, kiedy pociąg ze zgrzytem hamulców wjechał na dworzec. Było szaro, zimno i padał paskudny kapuśniaczek. Konduktor szedł korytarzem, stukał latarką w drzwi przedziałów i wołał:

- Litzmannstadt! Koniec jazdy!

Vera przeciągnęła się i sięgnęła po torebkę. Była zziębnięta, zeszywniała i wystraszona. Nagle zapragnęła odwlec moment, w którym stanie przed ich przyszłym synem. Czy to obce dziecko ją pokocha? Czy ona je pokocha? Czy w ogóle poczuje do niego cokolwiek?

- Wypijmy najpierw herbatę w jakimś barze i zjedzmy coś - poprosiła. - Chciałabym trochę się odświeżyć.

Christian skinął głową i przywołał gestem ręki tragarza. Potężny mężczyzna, patrząc ponuro spode łba, zarzucił bez słowa walizkę na ramię i szybko ruszył ku wyjściu. Po drodze wymijał ławki z napisem *Nur für Deutsche*.

- Pewnie Polak - pomyślała Vera. - Najchętniej poderznąłby nam gardła. Trudno mu się dziwić.

Na wigilię przyjechał z frontu Alex. Od kampanii wrześniowej był na froncie wschodnim, bitwa pod Białymstokiem przyniosła mu Krzyż Żelazny, od którego Joachim nie mógł oderwać oczu. Smoleńsk, Kijów, Nowogród, nazwy dalekich miast, tak dobrze mu znane z nagłówek gazet i kronik filmowych, punkty na mapie, w które wbijał kolorowe chorągiewki, kiedy przesuwiał się front - wszędzie tam brat Very był, wszędzie walczył. W odróżnieniu jednak od Antona okazał się bardzo małomówny.

-Wigilia, mój drogi, jest świętem pokoju - oświadczył. - Daj mi więc święty spokój. Mam zamiar spędzić dwa tygodnie bez wojny.

Przed wyjazdem Alex zamknął się z Verą i butelką francuskiego koniaku w odosobnieniu gabinetu pana von Klinck. Potrafił teraz pić metodycznie, w skupieniu, nie tracąc przytomności.

- Veró, módl się, żebyśmy wygrali tę wojnę - powiedział. - Nie możemy sobie pozwolić na jej przegranie. Tam, na wschodzie... nie wyobrażasz sobie, co się dzieje. Nikt z was sobie nie wyobraża. To nie wojna, to rzeź. W Generalnej Guberni ziemia jest grząska od krwi. Frank panuje na Wawelu jak starożytny tyran. My tam nie szerzymy żadnej idei narodowosocjalistycznej, my tam mordujemy i grabimy. Rządzimy nie jak rasa panów, tylko jak rasa katów. Wyciskamy podbite kraje jak cytrynę, traktujemy ich ludność jak bydło - gorzej nawet od bydła, jak wszy. Świnie w Klein Kruckow mają lepiej. I właśnie o to chodzi: żeby nic tam nie pozostało z kultury, sztuki, gospodarki, nic poza kupą gruzów. Terror jest niewyobrażalny, publiczne egzekucje, aresztowania, deportacje są na porządku dziennym. Za niedostarczenie kontyngentu: śmierć, za ukrycie Żyda: śmierć, za zawyżoną cenę na rynku: śmierć, za odmowę wykonania jakiegokolwiek polecenia: śmierć. Frank nazywa to szumnie Niemieckim Dziełem Odbudowy. Wstydzę się, że jestem Niemcem.

- A l e przecież prasa, radio...

- Wszystko propaganda. Ta wojna, to przede wszystkim mord na cywilach, na kobietach, starcach, dzieciach. Za nami idzie SS i na tyłach frontu oczyszcza podbite terytoria z Żydów - nie pytaj, w jaki sposób. Hasso podśmiewał się z Himmlera, że wariat, że marzyciel, że śnią mu się jasnowłosi germańscy samuraje, mistyczne rytuały, zdrowe ziółka i tak dalej. Ale ten wariat ma nieograniczoną władzę, żeby się wyżyć, żeby wprowadzić w czyn swoje chore marzenia i nikt mu w tym nie przeszkadza. Nie daj Bóg, żebyśmy przegrali tę wojnę.

- Dlaczego mi to mówisz?

- A komu mam powiedzieć? To, co widziałem, ciąży na mnie jak straszliwe brzemie, od którego nie mogę się uwolnić. Za szerzenie defetyzmu grozi kulka w łeb. A zresztą - kto tego chce słuchać? Popatrz na Joachima: aż trzęsie się do walki i nawet przez chwilę sobie nie wyobraża, że trzeba sobie przy niej ręce ubrudzić. Nie da się przejść przez morze krwi i pozostać nieskalanym. Prowadzimy wojnę z połową świata i połowa świata ma wszelkie powody, żeby nas nienawidzić.

- Czy Fuhrer o tym wszystkim wie?
- Nic się nie dzieje bez jego wiedzy. Fuhrer... to szaleniec.

Vera patrzyła na brata z przerażeniem. Jeszcze rok temu Alex uważał Hitlera za genialnego wodza, a wojnę za konieczną i usprawiedliwioną. Co musiał przeżyć na wschodzie, że tak radykalnie zmienił zdanie?

- Jeżeli jest tak, jak myślisz, to dlaczego bierzesz w tym udział? Czy nie mógłbyś starać się o przeniesienie, na przykład do Danii? Jeśli wierzyć Hassowi, to musi tam być zupełnie inaczej, spokojnie... Król nadal pozostaje u władzy, rząd i parlament funkcjonują, nawet konstytucji nie zmieniono.

Hasso, genialny dekokownik, korzystając ze znajomości kilku duńskich słów, umościł się wygodnie w Kopenhadze. Jak twierdził, przebywał tam w „misji specjalnej”. Organizował zaopatrzenie dla armii w Norwegii, co pozwalało mu przede wszystkim zaopatrywać swoją własną kuchnię w łososia i kawior.

- Jestem oficerem. Składałem przysięgę. Jeszcze żaden von Rathenberg nie złamał przysięgi i nie odmówił wykonania rozkazu - odparł ze smutkiem Alex. - Może masz rację, może powinienem starać się o przeniesienie. Ale sytuacji to nie zmieni - tyle tylko, że nie będę musiał na to wszystko patrzeć.

Vera rzuciła ukradkowe spojrzenie na ponurego Polaka, niośącego ich walizkę. Jeden z tych, którzy ich nienawidzili i, jak twierdził Alex, mieli ku temu wszelkie powody. Czy mogła rozmawiać o tym z Christianem, który z takim entuzjazmem pracował nad planami Germanii, stolicy świata? Niemieckiego świata, oczywiście. Lepszego, sprawiedliwego, sytego - ale *nur fur Deutsche*. Czy Christian kiedykolwiek się nad tym zastanawiał? Chyba nie. Interesowało go tylko, żeby jego szkice zamieniły się w place i budynki, było mu całkowicie obojętne, dla kogo je budował. Gdyby szatan zamówił u niego atrakcyjne piekło, też by mu je z radością zaprojektował.

- Jestem tylko architektem. Polityka interesuje mnie tylko o tyle, o ile daje mi szansę zrealizowania moich idei - mówił i z rezygnacją wpinał w klapę odznakę NSDAP.

Nie, nie teraz. Nie w chwili, kiedy ich rodzina miała się powiększyć. Dziecko to przyszłość, ufność w to, że będzie dobrze. Vera wsunęła ramię pod pachę Christiana i przyspieszyła kroku.

Dom Lebensbornu był jasny, wesoły i pogrążony w zieleni. Na powitanie Starcków wybiegły na ganek z radosnym szczebiotem sympatycznie wyglądające siostry w czystych, wykrochmalonych czepeczkach. Towarzyszył im zwalisty lekarz w czarnym mundurze i czapce ze srebrną trupią czaszką.

- Niech się państwo po prostu najpierw rozejrzą wśród naszych maluchów - doradził z uśmiechem. - Wszystkie sam przebadałem, są zdrowiutkie jak rybki i rasowo bez zarzutu.

- Wiadomo coś o ich rodzicach? - zapytał Christian, nieco skrępowany.

- Ależ oczywiście. Na ogół to dzieci oficerów, którzy zginęli na froncie wschodnim. Matki zmarły w wyniku jakiejś infekcji albo w połogu. No cóż - mamy wojnę.

- Za chwilę będzie obiad - wtrąciła młodzianka pielęgniarka z zabawnymi dołeczkami w policzkach i długim warkoczem. - Najlepiej niech państwo siądą sobie w jadalni i spokojnie przyjrzą się dzieciom. Radziłabym państwu zabrać potem dwóch, trzech chłopców na spacer, żeby ich lepiej poznać. Może któryś trafi do waszych serc? Chcielibyśmy, żeby nasze dzieciaki jak najszybciej znalazły nowych rodziców i nowe domy - biedactwa o niczym innym nie mówią. Przez cały tydzień czekają na niedzielę. Byłoby cudownie, gdybyście się na jakiegoś malucha zdecydowali.

Wymawiając słowo „cudownie” złożyła usta jak do pocałunku i zamknęła oczy. Wyglądała na studentkę, która - jak wiele innych - zgłosiła się na ochotnika do pracy na Wschodzie, żeby przyłożyć się do wielkiego dzieła budowy Nowego Ładu. W Kraju Warty potrzebne były każde ręce do pracy, dziesiątki tysięcy niemieckich osadników z Besarabii, Galicji i Wołynia czekały na przydział ziemi. Przez przyłączone do Rzeszy tereny przetaczały się nieprawdopodobne ludzkie masy: jedni

napływali ze wszystkich stron świata posłuszni hasłu *heim ins Reich*; inni je opuszczali, gdyż ludność pochodzenia polskiego wysiedlano do Generalnej Guberni. Do Litzmannstadt, gdzie znajdował się sztab kolonizacyjny SS, przybywali licznie młodzi zapaleńcy, którzy chcieli na własne oczy zobaczyć tę wędrówkę ludów i aktywnie przyczynić się do urzeczywistnienia ambitnych planów. Siostrzyczka z warkoczem mogła do nich należeć.

Jadalnia była przestronna i zalana słońcem. Na ścianach wisiały kolorowe obrazki, przedstawiające zwierzaki i krasnale, na długich stołach parowały już wazy z zupą. Chłopcy stali po obu stronach stołów wyprężeni na baczność. Na widok lekarza wyrzucili ręce w górę i zawołali:

- Heil Hitler, Herr Major!

- Heil Hitler, chłopcy - odparł lekarz i dość niedbale zgiął ramię w łokciu. - Spocznij. Możecie siadać.

Dzieci zajęły miejsca i ujęły łyżki, nie spuszczać wzroku z Very i Christiana. Dla nich przygotowane były nakrycia przy stoliku doktora. Stał na nim dzban polnych kwiatów.

- Chłopcy sami nazbierali dla państwa - szepnęła pielęgniarka konspiracyjnie do ucha Very.

Czterdzieści par oczu wpatrywało się w nowo przybyłych z błaganiem i nadzieją. Czterdziestu małych chłopców w krótkich spodenkach na szeleczkach, z chustami na szyjach, podobnych do siebie jak krople wody. Jak wybrać tego jednego, który spędzi z nimi całe życie? Verze wszyscy wydali się jednakowi: jasne niczym spójnicy łebki, niebieskie oczy, króciutko obcięte włosy. Tylko jeden z nich, najmłodszy, miał skręcone w pierścionki loki, upodabniające go do dziewczynki.

- Nasz beniaminek - pochylił się nad Verą lekarz. - Nie ma jeszcze trzech lat. Nazywa się Martin, Martin Wittke. Ojciec poległ pod Mińskiem, matka zmarła na raka piersi. Przez jakiś czas opiekowała się nim babka, ale wpadła w demencję starczą, musieliśmy go jej odebrać. Siostra Uschi - wskazał na pielęgniarkę z dołeczkami w policzkach

\* Do domu, do Rzeszy

- walczyła o te loki jak lwica. Nie pozwoliła go ostrzyc i w końcu ustąpiłem, choć jest to niezgodne z regulaminem, a teraz żałuję. Reszta dzieci dokucza mu z tego powodu - że baba i nigdy nie będzie z niego oficer. Martwimy się nim, bo prawie nie mówi, moczy się, niestety, i wciąż płacze po nocach. Nie to, co ten mały zabijaka - wskazał na dużego chłopczyka ze stojącym na sztorc językiem na głowie i odstających uszach. - Z nim nie mielibyście państwo najmniejszych kłopotów. Arthur niczego się nie boi, jest zdyscyplinowany, celuje we wszystkich sportach i trzyma całą bandę za pysk. Prawda, Arthur?

Malec nazwany Arthurem zerwał się z krzesła, trzasnął obcasami i zawołał wesoło:

- *Jawohl*, Herr Major!

- No właśnie. Arthur już nie może się doczekać, żeby zostać przyjętym do Hitlerjugend. Chłopcy z HJ przychodzą czasami, żeby się z maluchami pobawić w podchody i inne gry terenowe, Arthur chodzi za nimi jak psiak. A tam, pod oknem, siedzi nasz słowik. Robert jest bardzo muzykalny, ma doskonały słuch i śpiewa jak anioł. To bardzo utalentowane dziecko.

Vera spojrzała na chłopca z zainteresowaniem. Muzykalny? Byłoby to coś, co mogłoby ich połączyć, pozwoliłoby jej nawiązać z nim więź. Już widziała, jak układa jego paluszki na klawiszach fortepianu, jak uczy go piosenek i kolęd w adwencie. Do tej chwili wydawało jej się, że znalazła się w domu towarowym, w którym na regałach posadzono czterdziestu małych chłopców i kazano jej wybrać tego odpowiedniego. Odpowiedniego do czego? Do koloru tapet, do zasłon i portier w ich domu? Do koloru jej sukni? Była zupełnie bezradna.

Wstała i zrobiła parę kroków w stronę chłopca, nazwanego przez lekarza Robertem. Dziecko zaczerwieniło się ze szczęścia, ale w tym momencie zerwał się malec z loczkami, rzucił łyżkę, rozpryskując zupę na wszystkie strony, jednym skokiem znalazł się u jej kolan i mocno go nich przywarł.

- Nie! Mama, moja mama!

Vera zachwiała się pod impetem tego niespodziewanego ataku i zawiosowała w powietrzu ramionami, żeby utrzymać równowagę. Zaskoczona pogłaskała wtulony w jej kolana łeppek.



- Martin! Na miejsce! - huknął lekarz.

Dziecko podniosło na nią oczy - fiołkowe oczy Toni.

- Mama? - zapytało z nadzieją.

Vera poszukała wzrokiem pomocy u męża. Christian podniósł się i przykucnął przy wczepionym w żonę małym ciążku.

- Zjedz ładnie obiad, to zabierzemy cię na spacer, a potem do kawiarni.

Czterdziestu chłopców obrzuciło Martina spojrzeniem pełnym nienawiści, przysięgając sobie, że stłuczą go na kwaśne jabłko, jak tylko goście wyjadą. Wszyscy chcieli mieć nowych rodziców, ale nie przepychali się przed innymi i trzymali się reguł gry.

- Mała strata, to tylko cywil - mruknął pogardliwie Arthur. - Mój tata jest lotnikiem. Albo marynarzem. Tego może sobie Martin wziąć.

Cywile kompletnie się nie liczyli, więc chłopcy uspokojeni powrócili do pracowitego wyskrobywania talerzy. Potencjalny ojciec musiał być, oczywiście, oficerem, w mundurze, z Krzyżem Żelaznym na szyi i piersią obwieszoną orderami. Faceci w garniturach byli mięczakami. Nadawali się akurat dla takiego Martina.

Christian delikatnie odgiął paluszki dziecka od tydek Very i zaprowadził je z powrotem do stołu. Mały posłusznie usiadł, ale zamiast jeść wcisnął pięści w oczy i zaniósł się rykiem.

- Masz babo placek - jęknął Christian. - I co teraz?

- Teraz Martin dostanie lanie - zapowiedział groźnie lekarz. - Wszyscy dobrze wiemy, jak ważna jest dyscyplina i czym się kończy niesubordynacja. Prawda, chłopcy?

- *Jawohl*, panie majorze! - krzyknęli radośnie wychowankowie, uszczęśliwieni perspektywą egzekucji ulubieńca wszystkich siostrzyczek.

Lekarz sięgnął po leżącą przed jego talerzem linijkę. Vera przez cały czas zachodziła w głowę, do czego mu jest potrzebna - czyżby miał zamiar wymierzyć nią kotlety? Poklepując rytmicznie linijką o tęgie udo, ruszył w kierunku wyjącego rozpaczliwie dziecka. Vera zagroziła mu drogę.

- A c h nie, bardzo pana proszę. Ja to załatwię.

Wzięła Martina na kolana i wsunęła mu do ręki łyżkę. Malec uspokoił się natychmiast. Na jego buzi pojawił się anielski uśmiech i wyraz najwyższej koncentracji: teraz pokaże tej ślicznej pani, która będzie jego mamusią, że potrafi być bardzo, bardzo grzeczny. Krzaczaste brwi lekarza powędrowały z niezadowoleniem do góry na znak, że absolutnie nie pochwała takich metod wychowawczych.

- No tak, myśmy sobie tego dziecka nie wybrali - stwierdził filozoficznie Christian. - Powiedziałbym, że ono wybrało się samo.

Po tygodniu wrócili do domu we trójkę.

Teraz liczyło się tylko dziecko. Wszystko inne straciło znaczenie - nawet wojna. Jak tylko Vera otwierała rano oczy, jej pierwsze spojrzenie wędrowało w stronę białego łóżeczka z opuszczanymi siatkami po bokach. Czy Martin już się obudził? Uparła się, że będzie spał w ich pokoju, ku oburzeniu Alberty i Toni. Dziecko w sypialni rodziców - kto to słyszał? Vera nie miała pojęcia o nowoczesnej pedagogice, była na najlepszej drodze, żeby rozpuścić chłopca jak dziadowski bicz. Christian koniecznie powinien to ukrócić, dzieci potrzebują od początku silnej ręki. Ale Christian wcale nie miał zamiaru ingerować, bez słowa skargi przekazał władzę w ręce małego tyrana i cierpliwie pełzał na czworakach po domu z Martinem na grzbiecie. Rola ojca wypełniała go całkowicie, projekt „syn” odsunął w cień nawet projekt „Germania”.

- J a k tam mój wnuk? - chciała wiedzieć Alberta, która założyła sobie telefon tylko po to, żeby móc codziennie zadać to pytanie. Po konsultacji z ojcem Norbertem, oczywiście, bo nie była pewna, czy posiadając taki nowoczesny wynalazek nie popełnia jednego z siedmiu grzechów głównych - grzesząc pychą, na przykład, albo nieumiarkowaniem.

Dom przestał być miejscem dyskretnej elegancji i stonowanych barw. Na ścianach zawisły wesołe obrazki ze scenkami z bajek, w łazience pojawiły się gumowe kacuszki i rybki w najdziwniejszych kolorach, dywany zakwitły zabawkami i klockami, w ogrodzie królowały wiaderka, rowerki i taczki, klomb z irysami na środku trawnika zastąpiła piaskownica. Greta z miejsca podbiła serce Martina, bo

pokazała mu, jak buduje się domki, oblepiając bosą stopę mokrym piaskiem. Cała sztuka polegała na tym, żeby chatka nie zawaliła się, kiedy się nogę ostrożnie wyciągnie. Ćwiczyli całymi godzinami, aż umiejętność tę opanował także i Martin - jego domki były tak zgrabnie przesklepione, że Christian na ich widok zawołał z dumą:

- Mój syn będzie architektem!

Dni Very były teraz po brzegi wypełnione gotowaniem dla dziecka, karmieniem dziecka, zabawą z dzieckiem, pokazywaniem dziecku obrazków i rozmowami z dzieckiem, w których centralną rolę odgrywały pytania w rodzaju: „Co mówi konik? Jak robi świnka?” Wszystkie te zajęcia wydawały się sprawami wielkiej wagi i trudno jej było uwierzyć, że kiedykolwiek absorbowało jej myśli coś innego. Czasy, w których najważniejszy był dla niej teatr, stały się bardzo odległe. Czy naprawdę żyła tylko dla tych krótkich chwil, spędzonych w świetle reflektorów? Czy rzeczywiście przesiadywała do północy w szumie rozmów i siwych obłokach dymu w Osterii delia Lirica? Teraz padała na łóżko jak kłoda. Ostatnie jej myśli przed zaśnięciem krążyły wokół zadrapanego kolana Martina, jego zaczerwienionego gardła, powiększonych migdałków. Teatr? Od czasu do czasu spotykała się z dawnymi koleżankami, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że przyglądają jej się z politowaniem. Nie szkodzi, miała teraz mnóstwo nowych znajomych, młodych matek, z którymi mogła wymieniać poglądy na interesujące ją tematy: Szczepić czy nie szczepić? Zupy mleczne na śniadanie - tak czy nie? Przedszkole, ale jakie? Rozplotkowane teatralne bajorko, rozstrząsające bezustannie, kto z kim śpi i jaką rolę dzięki temu dostał, zupełnie jej zobojętniało. Wtulała nos w pachnące włosy Martina, przytulała do siebie drobne ciało i wszystko inne dookoła stawało się nieistotne. Nawet naloty, kartki na żywność i wiadomości z frontu. Szybko i mocno wrosła w swoje nowe życie, jakby dopiero teraz znalazła podłoże, z którego mogła czerpać siłę.

- Nigdy bym nie pomyślał, że Vera tak się zmieni - powiedział kiedyś pan von Klinck do żony. - Niewiarygodne, jak wielki wpływ może mieć dziecko na kobietę.

- Zbyt wielki. Wydaje mi się, że Vera znowu przesadza. Pogrążyła się w macierzyństwie z takim samym zapamiętaniem, jak przedtem

w robieniu kariery. Przydałoby się jej trochę więcej zrównoważenia. Ale nareszcie robi wrażenie szczęśliwej.

Vera była szczęśliwa. Nawet wizyta jej dawnego dyrektora nie naruszyła jej spokojnego zadowolenia. Odwiedził ją, żeby ostrożnie wypytać o plany na przyszłość: A może jednak...? Koledzy wyjeżdżali na front, żeby podtrzymywać morale armii, wciąż zdarzał się jakiś wakat. Dla artystów nastały teraz złote czasy, sam Goebbels starał się o ich względy. Najważniejsze były obecnie nastroje ludności, więc się na wielką skalę grało, śpiewało, kręciło filmy. Na wszystko znajdowały się pieniądze - byle tylko było do śmiechu, na pogodnie. No więc jak?

Vera bez słowa wskazała na taplającego się w blaszanej balii przed domem Martina.

- Rozumiem, synek... - westchnął dyrektor. - Śliczny chłopaczek, prawdziwy nordyk. Wie pani, my mamy pięcioro. Zona też całym sercem oddaje się wychowaniu dzieci, ale jej słoń na ucho nastąpił, więc dla sceny to żadna strata. Pani natomiast ma talent, Vero, nie wolno go pani zmarnować.

- Ja niczego nie marnuję, wprost przeciwnie. Nigdy moje życie nie było tak pełne.

- Naturalnie. Ale poza pani zobowiązaniami macierzyńskimi istnieją jeszcze inne. Te w stosunku do naszych dzielnych chłopców, którzy odmrażają sobie palce pod Stalingradem. Jedyna ich radość, to ta wiązanka melodii w radiu, przesłana z dalekiego kraju, za który narażają życie. Wie pani, jak to podtrzymuje ich bojowego ducha? Przynajmniej tyle może ojczyzna od pani oczekiwać. Nawiasem mówiąc, słuchaliby pani niemieccy żołnierze na całym świecie - wielki zaszczyt, a zarazem świetna reklama. Niech się więc pani zastanowi.

Stalingrad. Alex znowu był na froncie wschodnim, na szczęście nie pod Stalingradem, tylko z Armią Północną gdzieś na granicy estońskiej. Estonia! Kto przed wojną słyszał o Estonii? Krym, Ukraina, Montenegro, Norwegia, Afryka - Niemcy prowadziły wojnę z całym światem. Bardzo to poprawiło znajomość geografii, ale czy można pokonać cały świat? Front był jednak daleko, w Berlinie życie wciąż

nosiło wszelkie pozory normalności, teatry, kina i restauracje były czynne, chociaż w lokalach płaciło się kartkami. Tylko od czasu do czasu wyły syreny i ludzie pędzili do schronów przeciwlotniczych. Ale wojna nieustannie o sobie przypominała, pukała do drzwi telegramami, które donosiły, że jakieś młode życie dobiegło końca. Za Niemcy, za Fuhrera, za miasta, których nazwy były obce i których istnienia do tej pory nawet się nie podejrzewało. W niekończących się stepach, w wiecznych śniegach, w rozpalonych piaskach pustyni, leżeli w okopach żołnierze i czekali, żeby spełnił się ich los. Tacy jak Alex, tacy jak Joachim, który właśnie dostał powołanie do baterii przeciwlotniczej w Zagłębiu Ruhry.

- Ma pan rację - powiedziała Vera. - Będę dla nich śpiewała. Pod warunkiem, że wolno mi zabierać mojego syna do studia.

Nagrania w radiu okazały się bardzo przyjemne. Praca w rozgłośni była pracą dla dobra kraju i nie podlegała zakazowi poruszania się prywatnymi samochodami, przysyłano więc po Verę elegancką czarną limuzynę z szoferem. Greta długo i powoli mościła się z ważną miną na tylnym siedzeniu, żeby wszystkie służące z sąsiedztwa zdążyły ją zobaczyć. Brała na kolana Martina, stawiała w nogach kosz z zabawkami i nadymała się z dumy: gdybyż to kowal Rieppke wiedział, jak daleko zaszła! Cóż to była za radość, w wyciszonym studiu zanurzyć się na parę godzin w cudowny, nierealny świat, który tam właśnie powstawał: świat dobrych wiadomości i lekkiej rozrywki. Naród był w nim solidarny i gotów do poświęceń, armia niezwyciężona, a Fuhrer nieomylny. Było to tak pokrzepiające, że wracając z radia Greta czuła się bardziej podniesiona na duchu niż po mszy świętej.

Podobnie jak w teatrze, Vera odniosła wrażenie, że wśród redaktorów niewielu spotykało się narodowych socjalistów z przekonania, choć większość nosiła w klapie odznakę partyjną. Nie interesowali się polityką, a to z tego prostego powodu, że rzeczywistość w ogóle ich nie interesowała: liczyła się tylko iluzja, którą sami tworzyli.

Czasami robiło się straszliwe zamieszanie, bo wpadał Goebbels - szarmancki, roześmiany, z wyraźną przyjemnością gawędzący z artystami. Raz pojawił się sam marszałek Göring, ubrany

w jakiś cudaczny, operetkowy mundur i podzwaniający orderami niczym zegar z kurantem. Uszczypnął serdecznie Martina w policzek i wygrzebał dla niego z kieszeni trochę rozmięktą czekoladkę. Kolosalne rozmiary zadu marszałka, rozsadzającego białe spodnie z lampasami, wzbudziły w Martinie bogobożny szacunek. Był przekonany, że obwieszony świecidełkami dziwny pan jest nadmuchany i za chwilę pęknie z wielkim hukiem. Żaden człowiek nie mógł być aż tak gruby!

Greta puchła z dumy. Na własne oczy zobaczyła przywódców narodu i mogła teraz w rozmowach z innymi służącymi wtrącić skromnie: „To było tego dnia, kiedy do radia przyjechał minister Goebbels”, albo: „Słyszałam na własne uszy, jak marszałek Göring powiedział, że..” Zazdrościły jej okropnie. Kto by to pomyślał, że to małe popychadło z zabitej dechami wiochy zrobi taką karierę i będzie miało wstęp do tego tajemniczego miejsca, z którego wysyłano w eter przemówienia Fihrera, komunikaty o zwycięskich ofensywach i muzykę tak piękną, że człowiekowi łyż ciurkiem z oczu leciały! A cóż dopiero, kiedy któregoś dnia z odbiornika popłynął głos pani Starck - zupełnie tak, jakby stała tuż obok. Pozycja Greta była od tej pory niewzruszona.

Martinowi dzieci z sąsiedztwa zazdrościły przede wszystkim przejażdżek czarną limuzyną, umundurowanego szofera, który otwierał przed nim drzwiczki i kieszeni pełnych cukierków, które przynosił z radia. Zanim jednak Vera zdążyła zatęsknić na dobre za sceną, a Grecie do reszty przewróciło się w głowie, nagrania się nagle skończyły. Położyły im kres mordercze naloty.

Pierwsze brytyjskie bomby spadły na Berlin już na początku wojny, ale nie wyrządziły większych szkód. Ludzie lecieli pogapić się na leje po wybuchach, komentarze w pracowni Christiana były cyniczne: Anglicy przygotowują nam przestrzeń pod rozbudowę Germanii. Projektanci byli oburzeni, kiedy się okazało, że Bormann<sup>1</sup> przeznaczył opróżnione przez Żydów mieszkania dla zbombardowanych.

† Sekretarz Hitlera, kierownik Kancelarii Partyjnej

Ale naloty dywanowe, które rozpoczęły się wiosną 1943, to była groza. Bombowce jak fala pokrywały niebo, zrzucali swój śmiertelny ładunek i jak fala powracały - wciąż i wciąż. Pędzący w popłochu do schronów ludzie i płonące domy stały się codziennym widokiem. Układając się do snu, stawiało się w nogach łóżka walizkę z niezbędnym w razie alarmu bagażem. Naloty miały zastraszyć ludność cywilną i podważyć jej morale tak dalece, żeby obróciła się przeciwko reżimowi, podsycali jednak tylko nienawiść do aliantów. Jedynie Anglicy i Amerykanie byli zdolni do takiego barbarzyństwa, niemieccy lotnicy nigdy nie zrzucaliby bomb na kobiety i dzieci.

Dom Starcków nie ucierpiał w czasie bombardowań. Mimo to Christian postanowił wysłać żonę i dziecko do mieszkającej w Lesie Frankońskim ciotki, gdzie diabeł mówił dobranoc i panował kompletny spokój. Vera gwałtownie protestowała, ale kiedy zasypało ją razem z Martinem w piwnicy, zmieniła zdanie. Oszałała z paniki, oślepiąca wapiennym pyłem, spędziła z krzyczącym dzieckiem na kolanach całą noc wśród śmierdzących potem strachu ludzi, przekonana, że wygięte belki stropu za chwilę puszcza i tony betonu runą na ich głowy. A niech będzie Las Frankoński. Wszystko lepsze od tego piekła.

Znienawidziła ten ponury krajobraz od pierwszej chwili. Diabeł nie mówił tu dobranoc, diabeł tu mieszkał. Jak okiem sięgnąć ciągnęło się pustkowia. Porozrzucane ręką kapryśnego olbrzyma dziwaczne, nagie skały, niegościnne świerkowe lasy, pełgające błędnymi ognikami bagna, podobne do grobowców domy, obite ciemnym łupkiem. Ziemia rodziła tu tylko kamienie i nieprzyjaznych, mrukliwych ludzi. Od stuleci przymierali głodem, bo jałowym poletkom trudno było wydrzeć choćby garść pszenicy. Żeby jakoś przeżyć, wypalali w mielerzach węgiel, wycinali torf, spławiali drewno, wypalali kosze. Wielu wyjechało do Ameryki w nadziei na lepszy los. Na początku wojny zgłaszali się na ochotnika, bo powiedziano im, że na wschodzie czeka na nich tłusta, urodzajna ziemia w nieograniczonych ilościach - trzeba było ją tylko sobie wywalczyć. Niejednego kości pozostały w tej dobrej ziemi na zawsze.

Ciotka Frieda nie miała w sobie nic ciepłego i miękkiego. Składała się z samych ostrości i kantów, obleczonych we wdowią czerń. Wyglądała jak czarownica i idealnie pasowała do tego posępnego krajobrazu, który zaludniały złe duchy i złośliwe koboldy. Przyjmując pod swój dach Verę, nie kierowała się poczuciem rodzinnej więzi i chrześcijańskiej miłości bliźniego, tylko potrzebą podreperowania domowego budżetu. Christian był skłonny płacić na utrzymanie żony i dziecka okrągłą sumkę, a w tych trudnych czasach każdy grosz się przydawał. W rzeczywistości Vera i jej rozbisurmaniony bachor okropnie działali ciotce Friedzie na nerwy.

- Psujesz go, Vero! Stanowczo poświęcasz mu za dużo uwagi. Lecisz, jak tylko zawołała, bez przerwy nim się zajmujesz, pieścisz, całujesz, bierzesz na kolana, pozwalasz mu nawet włączyć do twojego łóżka - do czego to podobne? Ja też miałam dzieci, ale nie robiłam z tego powodu wielkich ceregieli. Dzieci trzeba trzymać krótko, inaczej wejdą człowiekowi na głowę. Rozpuściłaś go.

- Ciociu, to moje dziecko. Pozwól mi je wychowywać po swojemu.

- W ogóle go nie wychowujesz, robisz z niego życiową kalekę. Co z niego wyrośnie? Nigdy nie jest za wcześnie, żeby przygotować chłopca do jego przyszłej roli w społeczeństwie.

- Ach tak? A skąd wiesz, jaka będzie ta jego przyszła rola?

- Teraz jest wojna. Potrzebujemy twardych, mocnych mężczyzn. Jak zwyciężymy, czekają nas wielkie zadania. Trzeba będzie zagospodarować ogromne tereny na wschodzie, zbudować Nowy Ład. Charakter, dyscyplina, męstwo - to jest najważniejsze.

- Malarze, muzycy, architekci w Nowym Ładzie potrzebni nie będą?

Ciotka sznurowała ze złością usta i wychodziła z pokoju. Szła do kościoła, pomodlić się. Była zawziętą bigotką. Miłość do Chrystusa biegle łączyła z miłością do Fuhrera, który był Jego namiestnikiem na ziemi. Vera podejrzewała, że ciotka modliła się do obu.

Z Gretą starły się zaraz po przyjeździe. Greta obrzuciła fachowym okiem rabatki z nagietkami i powiedziała z zadowoleniem:

- Tu się zrobi warzywnik.



- Tu się niczego nie robi - zaprotestowała ciotka Frieda. - Tu jest mój ogród.

- A I e je ść trzeba. Dziecko potrzebuje witamin. Kwiatkami nawet kozy się nie wykarmi. Posadzi się kapustę, marchew, buraki i groch. I koniecznie trzeba zrobić kurnik, żeby Martin miał świeże jajeczka. Ogród jest po to, żeby żywił, a nie do ozdoby.

W Berlinie Greta była wiejską dziewczyną w wielkim mieście, ale tutaj znalazła się w swoim żywiole: o biedzie, głodzie i przetrwaniu od przednówka do przednówka wiedziała wszystko. Czuła się odpowiedzialna za młodą panią Starck, która miała w głowie tylko muzykę i bardzo słabe pojęcie o prawdziwym życiu. Postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce i nie miała zamiaru przejmować się jakąś starą wiedźmą. Najważniejsze, żeby pani i Martinowi niczego nie brakowało. Berlin był Berlinem, ale tu była wieś, a na wiejskim życiu Greta się znała.

- Vero, jak żyję, nie widziałam równie bezczelnej służącej.

- Greta jest bardziej przyjaciółką niż służącą i ma rację. Jest wojna. Coś jeść musimy.

W ten sposób Vera wkroczyła w nowy rozdział swojego życia, w którym wszystko, czego się do tej pory nauczyła: gamy, solfeż, francuskie słówka i sos cumberland - okazało się nieprzydatne. Pod energicznym kierownictwem Greta starała się przemienić w żonę osadnika na nieprzychylnym terytorium. Zbierała w lesie chrust, jagody i grzyby, wiosną młecz i młode pędy pokrzywy, piekła chleb, sadziła ziemniaki, gotowała syrop z buraków cukrowych. Pod gankiem skleciła z siatki i desek klatki dla kur i dwóch szarych królików. Króliki okazały się nieudaną inwestycją, bo Martin darzył je gorącą miłością i nikt nie miał serca wrzucić ich do garnka.

- Będą na czarną godzinę - stwierdziła filozoficznie Greta. Doświadczenie życiowe mówiło jej, że taka godzina jeszcze nadejdzie. Na razie jednak nic na to, w tym zapomnianym przez Boga frankońskim miasteczku, nie wskazywało. W styczniu 1944 Sowieci przekroczyli co prawda Bug, ale radio zapewniało, że armia niemiecka cofa się wyłącznie ze względów strategicznych. *Posunięcia te w niczym nie zagrażają ostatecznemu zwycięstwu, powstrzymamy wroga i nadejdzie godzina nieubłaganego odwetu. Z fanatyczną wiarą, z fanatycznym*

*oddaniem dla naszego ukochanego wodza Adolfa Hitlera: Sieg heil! Sieg heil! Sieg heil!*

Ciotka Frieda słuchała tych komunikatów z oczami wilgotnymi ze wzruszenia: jej fanatycznej wiary nic nie mogło zachwiać, za Fiihrera skłonna była oddać życie. Vera przyciskała do siebie mocniej Martina. Za niego gotowa była umrzeć, ale za Hitlera? „Führer to szaleniec” - powiedział Alex. Alex był oficerem, walczył na froncie, musiał wiedzieć więcej niż podawało radio. A jeżeli miał rację? Vera nie wyobrażała sobie, żeby Rzesza, w której spędziła całe swoje dorosłe życie, mogła - ot tak - rozsypać się w proch. W głębi duszy pragnęła, żeby Alex się mylił, chciała wierzyć w geniusz Hitlera. Na myśl, że hordy Sowietów mogłyby przekroczyć Wisłę i jak potężna fala rozlać się po Niemczech, serce zaczynało miotać się w jej piersi jak przerażony ptak. Jak ochroni wtedy swoje dziecko?

Nie możemy przegrać tej wojny.

Od Alexa wiadomości przychodziły coraz rzadziej. Pisał z frontu pogodne listy bez znaczenia - ciężarówka zamarzają nocą i trzeba pod nimi rozpalać ogień, pije się na umór, ale akurat wódki w tym kraju nie brakuje, jakimś cudem doszła paczka od matki - ciasto z kruszonką, cóż to była za radość! Vera próbowała czytać między wierszami, ale nie znajdowała ani słowa rozterki, ani śladu rozpaczki. Czyżby ta rozmowa tylko jej się przyśniła? Czyżby była wytworem jej fantazji, produktem jej własnych lęków?

Tylko raz, w wigilię spędzoną w śniegu, tysiące mil od kraju, Alex napisał: „Na Boga, co ja tu robię?” Potem listy przestały przychodzić i Vera zaczęła przyzwyczajać się do myśli, że padł.

Ale to mały Joachim zginął pierwszy. Tak rwał się do wojny, tak nie mógł się doczekać wielkich przygód, bohaterskich czynów i podziwu w oczach dziewcząt, tak bardzo chciał, żeby go w końcu powołano. Kiedy nareszcie otrzymał upragnioną szarą kopertę ze stemplem: „Wolny od opłaty pocztowej”, podskoczył z radości i wydał indiański okrzyk wojenny. Miał stawić się do służby pomocniczej w artylerii przeciwlotniczej gdzieś w Zagłębiu Ruhry - nie tracił nadziei, że wróg będzie atakował bezlitośnie i da mu możliwość wykazania się męstwem. Toni krzyknęła strasznym głosem: „Nie

pozwolę! Jesteś jeszcze dzieckiem!", ale Joachim już pędził jak na skrzydłach do Komendy Uzupełnień.

W pierwszych tygodniach szkolenia był zachwycony: tyle nowego! Okopy, zamaskowane działa, radiopelengatory. Szkolenie odbywało się jednak w okolicy, nad którą nigdy jeszcze nie zabłąkał się żaden wrogi samolot, i Joachim wkrótce poczuł się zniechęcony. Wydawało mu się, że nigdy nie wyślą go do akcji.

Rozkaz wyjazdu spadł na rekrutów jak grom z jasnego nieba. Bateria Joachima miała zająć stanowisko w okolicach Gelsenkirchen i bronić fabryki zbrojeniowej. Chłopczy byli przejęci i dumni - tylko od nich zależało, czy zakłady nie zostaną zniszczone i ważna dla potrzeb wojennych produkcja nie ulegnie przerwaniu. Joachim napisał do ojca bardzo wzniosły list, w którym go zapewnił, że jest gotów oddać życie za Niemcy i Fiihrera. Zginął już po dwóch tygodniach. W odróżnieniu jednak od jasnowłosych junaków w mundurkach Hitlerjugend z filmów propagandowych, jego ostatnie słowa nie brzmiały: „Jak słodko jest umierać za ojczyznę”. Powiedział tylko:

- Mamo, nie!

Wiadomość o śmierci Alexa zbiegła się z komunikatem o zamachu na Hitlera. W pierwszej chwili Vera myślała, że należał do spiskowców i został zabity. W radiu o niczym innym nie mówiono: banda pozbawionych sumienia oficerów podniosła rękę na największego wodza wszech czasów. Na szczęście Opatrzność nie dopuściła do zbrodni - podłożona przez pułkownika hrabiego Stauffenberga bomba wybuchła zaledwie o dwa metry od Fiihrera, prawie go nie raniąc.

- Uważam to za potwierdzenie wyznaczonej mi przez Opatrzność misji - powiedział Hitler w radiu. - Widzę w tym jej palec, wskazujący mi, że mam nadal prowadzić moje dzieło i dlatego też będę je dalej prowadził.

Ciotka Frieda rozplakała się ze wzruszenia. Zawsze wiedziała, że Niemcy i Fuhrer to jedno, że Fuhrer i Opatrzność to jedno, i czyż nie był to najlepszy dowód na to, że się nie myliła? Bóg czuwał nad Fiihrerem, Bóg czuwał nad Niemcami i prowadził je do ostatecznego zwycięstwa.

W sierpniu zapadły wyroki, spiskowcy zostali skazani na karę śmierci. Hitler zdecydował, że mają umrzeć jak zdrajcy - stryczek zamiast kuli. Kiedy Verę wezwano na pocztę do telefonu - ciocia Frieda nie posiadała tego luksusu - i usłyszała w słuchawce głos przyjaciela Alexa, Josta Geblera, który mówił: „Vero, musisz być dzielna. Alex nie żyje.” - była przekonana, że jej brat brał udział w zamachu i został stracony. Tak jednak nie było. Alex wierzył w siłę złożonej Hitlerowi przysięgi i chociaż wiedział, że wojna jest przegrana, walczył do końca.

- Nie cierpia! - powiedział Gebler. - Biorąc pod uwagę, jak umierali moi żołnierze z postrzałem brzuszny, zaplątani we własne wnętrzności, miał godną zazdrości śmierć. Powiedział: „Cholera, Jost, dostało mi się.” i zasnął w moich ramionach. Niewielka to pociecha, ale zawsze jakaś.

Tak w życiu Very wtargnęła z całą nieubłaganą siłą wojna. Wyrwała z niego dwie bliskie jej osoby - małego Joachima, który bał się koni, ale nie bał się wojny, i Alexa, towarzysza dziecięcych zabaw, powiernika małych tajemnic i wielkich marzeń. Vera zamknęła oczy, przycisnęła rękami uszy i postanowiła, że nie będzie wierzyła w jego śmierć. Może wtedy uda jej się obudzić któregoś dnia i zobaczyć, że brat siedzi przy jej łóżku i trzyma jej dłoń - jak wówczas, kiedy miała wietrzną ospę i pokryta była straszliwie swędzącymi strupami, a Alex wachlował ją godzinami, żeby strupy przyschły.

- Tylko nie drap - mówił. - Już sam fakt, że jesteś babą, jest przygnębiający, ale gdybyś była babą ospowatą, byłoby to nie do zniesienia. Najprawdopodobniej trzeba by cię było uśpić.

Dzięki niemu nie pozostały jej po ospie żadne blizny - a teraz go nie było. Nie było już nikogo, komu mogłaby powiedzieć: „Czy pamiętasz... wtedy, kiedy byliśmy dziećmi... wtedy, dawno temu. Przed wojną”. Ostateczność tego stwierdzenia wypełniała ją mdlącym bólem i jej ręce bezwiednie zaciskały się na ramionach Martina. Tylko nie on, tylko nie Martin. Panie, już zabrałeś, co Twoje. Zostaw mi chociaż moje dziecko. Nie dopuść, żeby trafiła je zbląkana kula, zaciekawit znalezionej w lesie niewypał. Spraw, żeby ta wojna się skończyła, zanim wyciągnie ręce po mojego syna.

Christiana powołano do artylerii przeciwlotniczej pod koniec 1944 roku. Stacjonował najpierw w Berlinie, potem udało mu się przenieść do Drezna, żeby być bliżej żony i dziecka. Germania musiała poczekać. Wszystkie prace przy projekcie na razie wstrzymano, chociaż wciąż przybywało wolnej przestrzeni pod przyszłe osie, place i budynki. Jej rozmiary nareszcie zaczynały odpowiadać gigantycznej skali przedsięwzięcia. Christian przyjeżdżał w odwiedziny, jak tylko udało mu się dostać urlop i znaleźć jakiś środek transportu. Cieszył się, że Vera i Martin są u ciotki Friedy bezpieczni, zachwycał się ich zdrowym wyglądem. Opalili się, okrzepli, mieli podrapane kolana i połamane paznokcie - jak para wieśniaków. Już w niczym nie przypominali delikatnych roślinek, wyrostłych na berlińskim bruku.

Ostatni raz odwiedził ich w końcu stycznia 1945. Żartował, że jego bateria nie ma nic do roboty, w Dreźnie był spokój, tyle tylko, że pękał w szwach od uchodźców ze Śląska. Wszyscy byli przekonani, że alianci nie będą bombardowali miasta, bo i po co? Same zabytki, żadnych celów strategicznych albo przemysłowych.

W trzy tygodnie później ognisty huragan zmiotł Drezno z powierzchni ziemi, a razem z nim Christiana.

Do ostatniej kropli krwi, zwyciężyć albo zginąć!

Radio obiecywało tajną superbroń, Ortsgruppenleiter gorączkowo organizował Volkssturm, zbrojąc dzieci i starców w karabiny bez amunicji. Fuhrer zapewniał, że Berlin zawsze pozostanie niemiecki, ale ludzie już wiedzieli, że jedyne, co im pozostanie, to wybór między Amerykanami i Sowietami. Wszyscy modlili się, żeby Amerykanie nadeszli pierwsi, bo o Sowietach krążyły przerażające pogłoski: mordowali, gwałcili i plądrowali.

- Dlaczego nie? - powiedział obojętnie pan von Klinck. - Oko za oko, ząb za ząb. Plądrowanie od starożytności należało do sztuki wojennej. Myśmy też rabowali, tylko nie tak prymitywnie. Zamiast łapać za zegarek, katalogowaliśmy dzieła sztuki, nakładaliśmy kontrybucje, kontyngenty, podatki. Odwołaliśmy się do zdrowego, prymitywnego zewu krwi, to go teraz mamy.

Pan von Klinck też miał na ramieniu opaskę Volkssturmu, ale pozwolono mu opuścić Berlin, żeby mógł odwiedzić żonę i dzieci w spokojniejsze okolice. Na dom na Orzechowej spadła bomba, fabryka też już nie istniała. Wydawało się, że wszystko to nie wywarło na nim większego wrażenia - w pewien sposób umarł razem z Joachimem. Bezustannie przebiegał w myślach swoje rozmowy z synem, obsesyjnie roztrząsał każde słowo, przypominał sobie wyrzuty, które mu kiedyś robił - że za miękki, że za słaby, że zbyt rozmarzony - późniejszą dumę, kiedy Joachim nagle przemienił się w dziarskiego HJ-FUhrera, pierwsze wątpliwości, czy wyjdzie to chłopcu na zdrowie. To on był winny, tylko on, bo przecież wiedział od początku, że system, który neguje wszystkie dotychczasowe wartości moralne, nie może stworzyć niczego naprawdę wielkiego. Jego sumienie dobrego chrześcijanina ostrzegało go przed tymi, którzy postawili Dziesięcioro Przykazań na głowie, a jednak robił z nimi interesy i przyjmował ich w swoim domu. Nie uczynił nic, żeby ich zatrzymać, w naiwnej nadziei, że jakoś to będzie. Nie protestował,

kiedy mordowali komunistów - nie był przecież komunistą - nie oburzał się głośno, kiedy deportowali Żydów - Żydem też nie był - i nie zagroził im drogi, kiedy ruszyli na wschód, żeby wydrzeć Polakom ich ziemie. Cóż go obchodzili Polacy? Ale teraz zabrali mu jego dziecko i wielka była jego wina, że do tego dopuścił. Za co umarł Joachim? Za Wawel dla gubernatora Franka? Za Cranacha dla Göringa? Za dobra rycerskie na Ukrainie dla Antona Fronka? Za ten biedny naród, pogrążony w rozpacz? Cóż jednak było tej rozpacz przyczyną? Omamienie ideą, która sprowadziła nieopisane cierpienia na ludy Europy, czy też żal, że nie udało jej się urzeczywistnić? W panu von Klinck coraz bardziej przeważało przekonanie, że główną przyczyną ogólnej desperacji były zawiedzione nadzieje. Bo też i było nad czym łamać ręce: z Nowego Ładu nic nie wyszło, rasa panów została powalona na kolana, na rubieżach stali dyszący żądzą zemsty heloci. Otwierał Biblię i czytał w Księdze Izajasza:

*Biada tym, którzy zło nazywają dobrem, a dobro złem,  
którzy zamieniają ciemności na światło, a światło na ciemności,  
którzy przemieniają gorycz na słodycz, a słodycz na gorycz. Biada tym,  
którzy się uważają za mądrych i są sprytnymi we własnym mniemaniu.*

*Dlatego się rozpałił gniew Pana przeciw swojemu ludowi,  
wyciągnął na niego rękę, by wymierzyć cios, aż góry zdrząły.*

Widocznie tak już musiało być.

Dlaczego nie do Klein Kruckow? - zbuntowała się ciotka Frieda.  
- Miejsca tam chyba pod dostatkiem? To w końcu wasza rodzina, nie moja. Solidarność solidarnością, ale dlaczego akurat pod moim dachem?

- Do Klein Kruckow łąda dzień wejdą Sowieci, ciociu - powiedziała spokojnie Vera. - Każdy musi przyjąć uciekinierów, miliony błąkają się po kraju. Chyba wolisz mieć w swoim domu naszych krewnych niż zupełnie obcych ludzi? Dziewczynki będą spały w moim pokoju, a Toni i Fryderyk w jadalni.

- Cztery dodatkowe gęby do wyżywienia!

Przez Niemcy płynęła rzeka uchodźców i naród ratował się przed nią jak przed każdą inną powodzią: próbował się od tego nurtu odgrodzić albo przynajmniej skierować go do sąsiada. Solidarności, wychwalanej pod niebo w komunikatach radiowych, na co dzień nie było widać.

- Gromada dzieci w domu, wszystko mi poniszczą, dywany tapety, meble... Chryste Panie, moja porcelana!

Ciotka Frieda złapała się za serce i pognęła do salonu, żeby ratować swój serwis do kawy, który kolekcjonowała od lat. Każda filiżanka miała inny kolor i kształt, jedna ładniejsza od drugiej. Jeżeli ciotka Frieda w swoim życiu coś w ogóle kochała, to ten serwis.

- Ciociu, jak przyjdą Rosjanie, to i tak ci wszystko zabiorą! - krzyknęła za nią Vera. - I nie sądzę, żeby wchodząc do domu, wycierali nogi. Wstydź się, dzieci są największą dumą naszego Fihrera, co by na to powiedział?

- No to zostańcie z Bogiem - powiedział pan von Klinck, rozglądając się niezdecydowanie po pokoju, gdzie Toni rozpacziała niczym Niobe po stracie dzieci, siedząc na stercie powiązanych sznurkiem paczek. - Chyba dobrze wam tu będzie. Przyjadę, jak tylko będę mógł.

Nigdy więcej go nie zobaczyli. Nigdy się nie wie, kiedy się widzi kogoś bliskiego po raz ostatni.



Wszelki ślad zaginął też po Ortsgruppenleiterze, który zniknął którejś nocy wraz z prowiantem dla Volkssturmu. Prowiant przygotowany był na wypadek oblężenia miasteczka i składał się z tak drogocennych i od dawna nieosiągalnych produktów jak konserwy mięsne, marmolada, masło i sznaps. Dzielni obrońcy postali chwilę w milczeniu przed opróżnioną piwniczką, po czym zdjęli opaski Volkssturmu i poszli orać pola. Wojna wojną, a kto nie sieje, ten nie je. Tylko chłopcy z Hitlerjugend rwali się do boju. Dla podniesienia waleczności oddziału rywalizowali między sobą w rozkręcaniu niewypałów. Cała sztuka polegała na tym, żeby ostrożnie odśrubować zapalnik, zdjęć stożkowaty wierzchołek łuski, aż ukażą się skręcone jak makaron lonty i wrzucić nabój w ogień. Im głośniejszy był wybuch, tym większą odwagą odznaczał się rzucający.

- Ani mi się waż - przykazała surowo Vera Martinowi, który gorąco marzył o opasce Volkssturmu i walce z bronią w ręku. - Nie dotykaj niczego, co znajdziesz w lesie. Nie przeżyłabym, gdyby ci się coś stało.

Ludzie już zaczęli chyłkiem ukrywać ślady partyjnej aktywności. Z kłap marynarek poznikały odznaki NSDAP, z jadalni portrety Hitlera i egzemplarze „Mein Kampf”, z flag starannie wycięto swastyki i schowano głęboko na dnie kufrów. Materiał był solidny i mógł się jeszcze przydać.

Polskim parobkom, przysłanym z Generalnej Guberni na przymusowe roboty, zaczęło się powodzić znacznie lepiej. Powiększyły się ich racje żywnościowe, niektórzy gospodarze zapraszali ich nawet do własnego stołu, chociaż przepisy nadal zabraniały fraternizacji: *Pamiętaj, że Polak czy Rosjanin nigdy nie może ci być przyjacielem! Szanuj swoją krew! Nie zapominaj, że należysz do rasy panów!* Gotowość do trzymania się litery prawa jakby znikła wraz z Ortsgruppenleiterem i dało się zaobserwować wyraźne rozprężenie obyczajów. Ten czy ów klepał „swojego” Polaka po ramieniu i mówił:

- No, Franek, masz tu ciepłą kurtkę, żebyś nie marzł. Tak źle ci chyba u mnie nie było, co?

Kiedy do miasteczka wkroczyli Amerykanie, o oporze nikt nawet nie śnił. We wszystkich oknach powiewały białe prześcieradła.

- U nas żadnych nazistów nie ma - powiedział burmistrz do amerykańskiego kapitana, patrząc mu prosto w oczy. - My zawsze wierzyliśmy tylko w Boga.

I rzeczywiście, kościoły były pełne jak nigdy. Szpilki nie dałyby się wepchnąć. Odzyskali wiarę nawet ci, którzy z miłości do partii z Kościoła wystąpili i w rubryce „przynależność religijna” pisali *deutschgläubig*. Teraz szukali pocieszenia w pięknej przypowieści o Hiobie, którą sobie proboszcz Kornfeld w tym czasie szczególnie upodobał. Jak wszyscy inni zdjął z wieży flagę ze swastyką i zastąpił ją białym obrusem z ołtarza.

- Amis to też chrześcijanie - powiedział, podziwiając swoje dzieło z zadartą do góry głową. - Chyba nie będą strzelać do domu Bożego?

Jakby zupełnie zapomniał, do czego mogą być zdolni dobrzy chrześcijanie. W noc kryształową jego owieczki nie miały żadnych obiekcji, puszczając z dymem żydowskie domy Boże. Nawet się z tego nie wyświadały.

Vera śpiewała w niedzielę pobożne pieśni w kościelnym chórze, a w tygodniu przeboje w amerykańskim barze - ku wielkiemu oburzeniu ciotki Friedy, która uważała to za kolaborację z wrogiem i zdradę narodu. Zdanie to podzielali widocznie inni mieszkańcy miasteczka, bo na ścianie domu ktoś napisał nocą: *Ami-Flittchen*<sup>1</sup>.

- Pod moim dachem! Taka hańba!

- Hańba nie hańba, Amerykanie dają mi dla dzieci mleko w proszku. Prawdziwi patrioci mogą sobie pisać, co im się żywnie podoba, a ja i tak będę śpiewała.

Śpiewać, znowu śpiewać! Wszystko jedno co i dla kogo, byle zatracić się w muzyce, byle zapomnieć. Wszyscy chcieli zapomnieć. Każdy dzień był krokiem naprzód, przeżyło się, patrzyło w przyszłość, po co spoglądać za siebie? Wystarczyło, że Amis grzebali człowiekowi w przeszłości. Jakbyśmy nie dość wycierpieли. Jakbyśmy nie przeszli przez piekło. Właściwie to my byliśmy ofiarami.

<sup>1</sup> Amerykańska dziwka

Na Verę przeszłość spadła jak grom z jasnego nieba w postaci czarnej limuzyny, z której wysiadło dwóch obcych mężczyzn.

- Pani Starck? - zapytał młodszy z nich, w mundurze amerykańskiego kapitana.

Skinęła głową.

- Ma pani syna?

W Verze serce zamarło. Po lasach wciąż jeszcze leżały niewypały, miny, granaty. Przedmioty niebezpieczne i surowo zakazane, a więc niezwykle kuszące dla małych chłopców.

- Czy coś mu się stało?

- Nie, nie, niech się pani uspokoi. Ten pan - oficer wskazał na drugiego mężczyznę - jest z Międzynarodowej Organizacji Repatriacyjnej. Dziecko jest adoptowane, prawda? Chcemy zadać pani tylko kilka pytań. Pozwoli pani, że wejdziemy?

Zanim Vera zdążyła odpowiedzieć, już byli w domu. - Pewnie odnalazła się jakaś rodzina Martina - pomyślała. Ale dlaczego szukają go dopiero teraz, po tylu latach?

- Ile lat ma synek? - zapytał ten od repatriacji, wyciągając z podniszczonej aktówki papiery. Mówił po niemiecku z silnym, obcym akcentem - słowiańskim może? Podobnie mówili Polacy, których w czasie wojny przysyłano z Generalnej Guberni na przymusowe roboty.

- Osiem.

- Jak ma na imię?

- Martin.

- Nazwisko?

- Starck, oczywiście.

- Miałem na myśli poprzednie nazwisko. Przed adopcją.

- Wuttke. Nie, chyba Wittke. Nie pamiętam.

Mężczyzna skinął głową, jakby nie spodziewał się żadnej innej odpowiedzi. Jego twarz była zamknięta, niezgłębiona, oczy, jak wypolerowane dwa stalowe guziki, patrzyły na Verę twardo. Nagle zaczęła się bać.

- O co właściwie chodzi?

Toni, która do tej pory nie odrywała wzroku od igły, którą pilnie kłuła naciągniętą na cynowy kubek dziecienną skarpetkę, wstała cicho i wyszła z pokoju.

Nie zostawiaj mnie z nimi samej! Przecież masz jeszcze górę tych przekłębionych skarpet do cerowania! - chciała za nią zawołać Vera, ale Toni już zamknęła za sobą drzwi. Wciąż trzeba było coś cerować, szyć i nicować, ubrania dzieci wydzierały się w szalonym tempie, a na nowe brakowało pieniędzy. Vera dziękowała Bogu, że w Instytucie Anny Amalii opanowała sztukę cerowania na grzybku: nigdy nie przypuszczała, że okaże się ona kiedyś umiejętnością pierwszej potrzeby.

Spojrzała w oczy ze stalowych guzików i poczuła, że stało się coś strasznego.

- Czy zgłosili się do pana jacyś krewni Martina? Powiedziano nam, że nikt nie żyje.

- Owszem, żyje. Matka.

- Ja jestem jego matką. Rodzice Martina nie żyją. Ojciec poległ pod Mińskiem, matka zmarła na raka.

- Na nic nie zmarła. Dziecko zostało uprowadzone. Nazywa się Marcin Witkowski i jest Polakiem.

Vera zaczęła się histerycznie śmiać. Polakiem? Martin, którego supernordyckim wyglądem wszyscy się zachwycali w czasach, kiedy nordycki wygląd coś jeszcze znaczył?

- Pan żartuje, prawda? Mój Martin miałby być Polakiem? Ależ, proszę pana, Martin ani trochę nie jest podobny do Polaka.

- A jak, zdaniem pani, powinien wyglądać Polak? Jak Chopin, jak Paderewski, a może raczej jak Mickiewicz?

Jak wyglądali Polacy? Jedyńi, jakich poznała, robotnicy przymusowi, pracujący u chłopów, byli wychudzeni, obdarci i patrzyli spode łba. Trudno było powiedzieć, jakie mieli włosy, nosy czy oczy. Nie zwracała na to uwagi.

- Dlaczego ktoś miałby uprowadzać dziecko?

- Właśnie dlatego: bo miało nordycki wygląd. Jasne włosy, niebieskie oczy. Takie dzieci były na terenach okupowanych odbierane rodzicom i oddawane do adopcji w Rzeszy. Żeby wyrosły na dobrych Niemców. Wychodzono z założenia, że mają w sobie domieszkę dobrej rasowo krwi, która znalazła się w obcej narodowości niejako przez pomyłkę i powinna być odzyskana dla Niemiec. Każda kropelka się liczyła, prawda?

- To jakiś absurd. Nie wierzę. Nikt nie mógł wymyślić czegoś równie potwornego.

- Ach, proszę pani, pojęcia pani nie ma, ile potworności pani rodacy nie tylko wymyślili, ale i wprowadzili w czyn. Spodziewałem się, że mi pani nie uwierzy, więc przywożłem pani kopię rozporządzenia Himmlera z maja 1940 roku. Na tej podstawie przeprowadzono selekcję i wywożono dzieci.

Vera szybko przebiegła tekst wzrokiem.

- To jakiś falsyfikat.

- Nie, proszę pani, to Generalny Plan Wschód. W dużym stopniu urzeczywistniony w czasie okupacji dzięki wielkiemu zaangażowaniu gubernatora Franka. Wie pani, myśmy mieli stać się waszą kolonią na wschodzie, niewolniczą siłą roboczą. Narodem bez kultury, bez przeszłości, bez teatrów, muzeów, uniwersytetów. Cztery klasy szkoły podstawowej, umiejętność podpisania się, liczenia do pięciuset - i wystarczy. Najważniejsze, żeby nasze dzieci się nauczyły, że posłuszeństwo wobec Niemców jest nakazem Bożym.

- Wszystko to jest bardzo smutne, ale wcale nie dowodzi, że Martin nie jest synem niemieckiego oficera. Czy ma pan jakieś dowody?

- Chyba nie sądzi pani, że rodzice dostawali pokwitowanie? Dzieciom wystawiano nowe dokumenty i wszelki ślad po nich ginął. Marcin nie jest jedynym, którego uprowadzono. Takich dzieci były tysiące.

- W takim razie nie mamy o czym mówić. Nie ma pan dowodów, a żaden sąd nie odbierze mi syna na podstawie równie mglistych spekulacji. Żegnam panów.

- Nie myśli pani o jego matce? Co przeżyła, co czuje?

- Nie, nie myślę. Ja jestem jego matką, a pan mi tu...

Amerikanin, który do tej pory w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie, przerwał jej władczo:

- Starczy tego. Chcemy zobaczyć chłopca. Gdzie jest?

- W ogrodzie, bawi się ze swoimi kuzynkami. Nie mogę tego panom zabronić, ale bardzo proszę, nie mąćcie mu w głowie: ma zaledwie osiem lat!

W ogrodzie, tonącym niegdyś w nagietkach i pelargoniach, a dziś w praktycznych fasolkach i burakach, Caro i Elzę, jak dwa grzeczne Kopciuszki, łąskały pilnie groszek do miski.

- Martina tu nie było - powiedziała Caro, podnosząc na oficera niewinne, fiołkowe oczy. Nosiła teraz loki, zakręcała je co wieczór na papiloty z gazet. Wyglądała jak aniołek. - Myślałyśmy, że jest w domu.

-W takim razie bardzo mi przykro - Vera wzruszyła ramionami.

- Panowie trudzili się na próżno.

- Nie sądzę. Jeszcze pani o nas usłyszy.

Zabrzmiało to jak groźba.

- Toni, co teraz zrobimy?

Vera opadła w kuchni ciężko na stołek i wczepiła zniszczone pracą ręce we włosy. Czy naprawdę chodziła kiedyś do fryzjera? Czy kiedykolwiek istniał świat, w którym były teatry, neony, szmer rozmów w kawiarniach, strojenie smyczków przed uwerturą, niańki z wózekkami w parkach? W wózkach przywoziło się teraz kartofle od chłopca, włosy obwiązywało chustką, żeby nie przeszkadzały przy kopaniu buraków. Boże, jak miała dość tej zatopionej w bagnach wiochy! Wszystko jej zabrano, wszystko, co kochała, a teraz groziła jej utrata Martina. Nigdy!

- Będziemy chowały Martina, jak dzisiaj. Powiemy dzieciom Hartmannów, żeby do nas pędem leciały, jak tylko zobaczą obcy samochód. Tu prawie nic nie jeździ, każde auto rzuca się w oczy.

Hartmannowie mieszkali przy wjeździe do miasteczka i mieli stadko umorusanych, zdziczałych dzieci, które przez cały dzień wałęsały się po drodze, trochę żebrząc, trochę kradnąc, żeby podreperować rodzinny budżet. Hartmann należał do starej gwardii, brał udział w puczu monachijskim i za dawnych, dobrych czasów paradował ze złotą odznaką partyjną na piersi. Wykazał się wielką gorliwością przy podpalaniu synagogi, za co partia nagrodziła go domem doktora Blumenfelda. Doktorowi dom przestał być potrzebny, bo przeniósł się z rodziną do Generalnej Gubernii i słuch o nim zaginął. Kto Hartmanna zadenuncjował przed Amerykanami,

nie było wiadomo, pewnie jakiś inny bażant złocisty, w nadziei, że się zasłuży i zostawią go w spokoju. Niestety, tylko w zwycięstwie naród się jednoczył, klęska go podzieliła. Każdy miał swoje własne złociste upierzenie do uratowania i nie mógł zawracać sobie głowy cudzym.

W każdym razie Hartmann zniknął w obozie, skąd przysyłał dzieciom zrobione z chleba warcaby i inne podobnie wzruszające dowody pamięci. Jego rodzinę z willi doktora Blumenfelda wyrzucono, musiała zadowolić się rozsypującym się domkiem dróżnika z wygodką w ogródku. Hartmannowa wynajmowała się u zamożniejszych chłopów do pracy w polu za kawałek chleba i skórkę słoniny. Więcej nie była warta, bo lata wygodnego życia wydelikacły jej ręce.

Mając rodziców tak nieprzydatnych, małe Hartmanniątka same wzięły sprawy w swoje ręce i rozwinęły imponujący talent organizacyjny. Wolf-Dieter pakował do wózka najmłodszą siostrę - urodzoną w ostatnich tygodniach wojny i nazwaną w niezłomnej wierze w geniusz Fihrera i ostateczne zwycięstwo Viktorią - i zajmował strategiczną pozycję pod amerykańską kantyną. Od czasu do czasu podszczypywał małą, żeby płakała przekonująco, co bardzo wzruszało czarnych żołnierzy. Pod koniec dnia miał kieszenie pełne gumy do żucia, czekolady i papierosów, które były na wagę złota, bo na czarnym rynku wymieniało się najedzenie. Wolf-Dieter prowadził też ożywiony handel nazistowskimi dewocjonaliami, na które Amis byli szczególnie łasi, uważając je za idealne pamiątki z *old Germany*. Dzięki samemu Złotemu Krzyżowi Matki, który powędrował do plecaka sierżanta z Nebraski, Hartmanniątka chodziły syte przez cały tydzień. Dzieci te miały lisi spryt, wysoką motywację i były solidnymi partnerami w interesach.

- Mali Hartmannowie, masz rację, na nich można liczyć. Zaraz tam pójde. Ale nie możemy ukrywać Martina w nieskończoność. Musi chodzić do szkoły.

- Pani Pohl straciła na wojnie syna, na pewno ci pomoże. Ale dyrektor Stahl jest niepewny.

Dyrektora Stahla wszyscy uważali za niepewnego. Wyjechał do Ameryki zaraz po 1933, ciągnęła się więc za nim opinia zdrajcy.

W dodatku miał czelność przyłączyć się do wrogiej armii, wrócił z Amerykanami i, jakby nigdy nic, objął swoje dawne stanowisko w szkole. Oczywiście, nikt nie utrzymywał z nim stosunków towarzyskich. Wysoce podejrzany człowiek.

- Boże jedyny, Toni - a jeśli to prawda? Jeśli Martin rzeczywiście został odebrany rodzicom? Może okłamano nas w sierocińcu? Był taki malutki, prawie nie mówił - skąd wiem, czy nie był Polakiem?

- Wykluczone - zapewniła Toni Verę z mocą. - Wszystko to propaganda - te bzdury z porywaniem dzieci, te okropności o obozach koncentracyjnych i tak dalej. Jesteśmy cywilizowanym narodem, takie rzeczy się w XX wieku nie zdarzają.

Vera wcale nie była tego pewna. Alex musiał widzieć na froncie wschodnim okropności, które się jednak zdarzały, inaczej nie powiedziałaby, że wstydzi się być Niemcem. Co działo się tam naprawdę? Po całym świecie skrupulatnie zbierano każdą kroplę niemieckiej krwi, żeby powróciła *heim ins Reich* - jakie wynaturzone formy mogła przybrać ta zapobiegliwość? Wykluczone? Czy po wszystkim, co się stało, można było cokolwiek uznać za wykluczone?

Johannes - och, jakże mi ciebie brak, Johannesie! - nielitościwie wyśmiewał się z tego rasowego szaleństwa, uważając po prostu, że jedyną naprawdę szlachetną krwią jest jego własna. Pochodzenie, tradycja, długi sznur przodków, owszem, to się w jego oczach liczyło, ale w wyższość jednego szczepu nad innymi ani trochę nie wierzył. „Wspólnota? - mówił. - Wypraszam sobie jakąkolwiek wspólnotę z Fronkiem i panem Handtke. Mówimy co prawda tym samym językiem - no, prawie tym samym - ale w naszych żyłach nie krąży ta sama krew”.

A jaka krew krążyła w żyłach Martina?

Czarna limuzyna pojawiła się wkrótce znowu. Pikieta Hartmanów działała niezawodnie i jak tylko auto wyłaniało się zza zakrętu, Wolf-Dieter albo Adolf (co za nieszczęśliwe imię w obecnych czasach!) rwał niczym młody chart do domu ciotki Friedy. Toni lub Elbę pędziła z Martinem do lasu i przeczekiwała w zaroślach, aż alarm został odwołany. Za trzecim razem samochód zatrzymał się



przed szkołą, ale ostrzeżona w porę przez Hartmannów pani Pohl wepchnęła chłopca do komórki z pomocami przyrodniczymi. Było tam ciemno jak w grobie i Martin prawie umarł ze strachu, wciśnięty między okropny szkielet i wypchaną sowę. Nie pisnął jednak ani słowa, tylko płakał bezgłośnie i zsiusiał się w majtki. Pani Pohl nie robiła mu jednak z tego powodu żadnych wyrzutów.

- Moje biedne dziecko - powiedziała ze współczuciem i pogłaskała go po głowie, co Martina do reszty przeraziło. Pani Pohl była nauczycielką bardzo surową i ta łagodność mogła tylko oznaczać, że jego sytuacja jest beznadziejna. Wszyscy się jej bali, nawet woźny, pan Otter, który stracił nogę pod Stalingradem i na pewno nie był tchórzem. Pan Otter dostał za Stalingrad Krzyż Żelazny, niestety, czasy były takie, że nie mógł go nosić, ale i tak traktowano go z wielkim szacunkiem.

- Tak dalej być nie może - oświadczyła Toni. - Dziecko jest kłębkim nerwów. Musimy go gdzieś wysłać, gdzie przeczeka bezpiecznie, aż cała sprawa przyschnie.

Słyszając, że chcą go rozdzielić z mamą, Martin ryknął wielkim głosem. Vera zawołała: „Mowy nie ma!” i projekt ewakuacji upadł.

Następnym razem przyjechał z Berlina jakiś urzędnik z Polskiej Misji Wojskowej. Również i jemu nie udało się chłopca zobaczyć, bo sąsiadka schowała go na strychu wśród worków z mąką i półci wędzonego boczku. Sąsiadka zawsze narzekała na wielką biedę i broniła się rękami i nogami przed przyjęciem uchodźców z Kraju Sudeckiego, więc Martin wbił zęby w boczek bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

Urzędnik z Misji Wojskowej rozejrzał się po domu, zajrzał w każdy kąt, nawet do wygodki. W pokoju Vera znalazł zdjęcie Martina i wyjął je z ramki.

- To zabieram. Niech pani nie sądzi, że może nas pani wiecznie wodzić za nos. Przez sześć lat panoszyliście się u nas, mordowaliście, wysyłaliście do gazu, rabowaliście, co się dało - nawet nasze dzieci. Myśli pani, że ujdzie to pani płazem? Sumienia pani nie ma? Nigdy się pani nie zastanawia, co czuje jego matka?

- Ja jestem jego matką - powtórzyła Vera z uporem. - Tylko on mi został. Kocham go.

Mężczyzna rzucił jej spojrzenie pełne nienawiści.

- Ja też kochałem mojego syna. Miał trzynaście lat, jak zginął w powstaniu. Żonę zatłukło gestapo. A ja wciąż żyję. Może po to, żeby tej kobiecie zwrócić jej dziecko?

Rozsypał na stole przed Verą paczkę nadpalonych po brzegach zdjęć.

- Tylko te ocalały po powstaniu. Proszę się im dobrze przyjrzeć: to jest Marcin, jak miał dwa lata, na krótko przed uprowadzeniem. A teraz niech je pani sama porówna ze zdjęciem syna - chyba nie zaprzeczy pani, że to jedno i to samo dziecko?

- Proszę przestać. Nie chcę tego dłużej słuchać. Martin ma papiery w najlepszym porządku, jego adopcja przebiegała na normalnej, legalnej drodze. Żaden sąd nie odbierze mi syna na podstawie starych zdjęć - to śmieszne.

- A c h , sąd... są sądy ludzkie i sądy boskie. Być może nie musi się pani obawiać ludzkiego, przed tym innym każdy z nas kiedyś stanie. I co pani wtedy powie? Że ukradła pani innej kobiecie dziecko?

- Niech pan wyjdzie. Natychmiast.

Zatrzasnęła za mężczyzną drzwi i padła na łóżko. Z twarzą ukrytą w poduszce opłakiwała wszystkich, których w swoim życiu utraciła: Maxa, Alexa, Christiana, mądrego Johannesesa, małego Joachima i Martina. Bo już wiedziała, że go utraci.

- Ja mu wierzę, Toni. Czegoś takiego nie można wymyślić. Oni byli do tego zdolni. Wciąż przecież mówili o dobrej krwi, zupełnie prawdopodobne, że w pogoni za nią selekcjonowali wszystko, co im się wydało wartościowe. Kiedy Rosjanie zwyciężali, twierdzono, że ich dowódcy musieli być potomkami Niemców, których sprowadziła Katarzyna Wielka - pamiętasz? Bo niby skąd taka waleczność u podludzi. Zniszczyć albo pozyskać dla siebie - taka była dewiza. Było to równie chore, jak odprawianie starogermańskich sobótek na zamku Viktora i te wszystkie inne gusła.

Viktor z całą ufnością oddał się w ręce Amerykanów, uważając, że nie ma niczego na sumieniu: ot, kształcił młodych ludzi, dbał o ich kondycję fizyczną i tyle. Niestety, Amerykanie nie podzielali

tego zdania i zamknęli go w obozie. Co innego Hasso, mistrz lawirowania w mętnej wodzie. Mimo wytatuowanej pod pachą grupy krwi, która niezbitcie świadczyła o jego przynależności do SS, pięknie się wyprał z brunatnej przeszłości. Akurat konnica SS nie została uznana za organizację przestępczą, pewnie dlatego, że należeli do niej liczni przedstawiciele arystokracji i ziemiaństwa, skoligaceni z najlepszymi rodzinami w Europie. Kruk krukowi oka nie wykolę. Hasso zupełnie dobrze się urządził w jakiejś firmie, handlującej francuskimi szampanami i z całą niewinnością utrzymywał przyjacielskie stosunki z wysoko postawionymi osobistościami wszystkich zwycięskich armii. Zapotrzebowanie na szampana w tych kręgach wciąż rośnie, więc pozycja Hassa też się stale umacniała. Toni nadal żywiła w głębi ducha nadzieję, że jak czasy się uspokoją, to i ich związek znowu odżyje. Niestety, Hasso włókł za sobą balast z przeszłości w postaci żony, Dagmary z końskimi zębami, z którą się ożenił, ulegając naciskowi Reichsführera SS. Reichsführer dawno gnił w ziemi, ale Dagmara i trójka dzieci pozostały. Bardzo to Toni komplikowało plany na przyszłość.

- A c h , bzdura. Kierownik sierocińca zeznawał przecież w Norymberdze. Przysięgał, że w jego placówce były wyłącznie niemieckie dzieci. Sąd mu uwierzył, dlaczego ty miałabyś nie wierzyć? Przystań się zdręczać, nikt ci Martina nie zabierze.

Ale następnym razem czarna limuzyna przywiozła obok znanego już Verze mężczyzny z Misji Wojskowej młodą kobietę. Sztafeta małych Hartmannów pognała natychmiast do Very i do pana Ottera, który na widok biało-czerwonego proporczyka na masce samochodu bardzo się zasępił, bo z Białegostoku też miał paskudne wspomnienia. Prawie równie paskudne jak ze Stalingradu. Pokuśtykał szybko po panią Pohl, ale miał pecha, bo akurat tego dnia dręczyła ją okropna migrena i lekcję prowadził sam dyrektor Stahl. Pan Otter od razu wiedział, że po człowieku tak niepewnym można się wszystkiego spodziewać i nie mylił się. Zamiast schować Martina w schowku, dyrektor wyszedł na przywitanie gości, co pana Ottera utwierdziło w przekonaniu, że jest człowiekiem pozbawionym honoru. Szofer limuzyny rozdał dzieciom cukierki, przykrył oczy czapką

i natychmiast zasnął, a mężczyzna z Misji Wojskowej zaczął wyciągać z aktówki jakieś papiery i machać nimi przed oczami dyrektora. Pan Stahl niczego nie zrozumiał, poza tym, że chodzi o Martina, więc kazał go przyprowadzić.

Na widok chłopca kobieta zawołała: „Marcin!”, wyciągnęła do niego ręce i osunęła się na kolana prosto w kałużę, którą pozostawił po sobie przelotny deszcz. Zupełnie na to nie zwróciła uwagi, mówiąc coś szybko w niezrozumiałym języku. Martin przyglądał jej się nieufnie: czy była jedną z tych obcych, przed którymi ostrzegała go mama?

- On pani nie rozumie - zauważył pan Otter z satysfakcją.

- A c h , Boże... - jęknęła kobieta. Złapała się za głowę i powtórzył po niemiecku:

- Marcinku, to ja, twoja mama. Twoja mama z Polski.

- Kiedy ja już mam mamę - Martin cofnął się o krok. - Gdzie jest moja mama? Ja chcę do mamy! Mamo!

Ale Vera już pędziła przez dziedziniec, jak wichur, jak orkan, jak burza, żeby zmieść z powierzchni ziemi tę intruzkę, która wyciągnęła ręce po jej dziecko, wcisnąć w błoto jej mokrą od łez twarz, wbić palce w świetliste oczy, oczy Martina, wyszarpnąć snop jasnych włosów, włosów Martina, zdeptać, stratawać, zabić.

- Hola, pani Starck, tak nie można - zastąpił jej drogę dyrektor.

- Trzeba tym ludziom pozwolić wyjaśnić, o co im chodzi.

- Sprzedawczyk - syknęła Vera i plunęła mu w twarz. - Im chodzi o mojego syna.

- O mojego syna - powtórzyła obca kobieta jak echo. Martin zasłonił sobie uszy rękami i zaczął krzyczeć.

- Przestraszyła go pani! - zawołały obie jednocześnie i obie wyciągnęły do niego ręce, ale Martin już wczepił się w kolana Very tak jak wtedy, kiedy w domu Lebensbornu wybrał ją sobie na matkę.

- Ukradli mi moje dziecko - wyszeptała kobieta, opuszczając ramiona. - Zrobili z niego Niemca. Nie rozumie po polsku. Nie wie, że jest Polakiem.

- Nie jestem żadnym Polakiem! - ryknął Martin oburzony. Naturalnie nie był Polakiem, Polacy i Rosjanie byli okropnymi brudasami,

niewiele lepszymi od bydła - przynajmniej tak ich chłopi w czasie wojny traktowali. Dostawali odpadki ze stołu i chodzili w łachmanach. Mama nie pozwalała się do nich zbliżać, bo mieli wszy.

- Proponuję, żebyśmy przeszli do mojego gabinetu - westchnął dyrektor - i o wszystkim porozmawiali spokojnie. Panie Otter, niech pan pójdzie do klasy i czymś ją zajmie.

Z rezygnacją pomyślał, że tym czymś będą, jak amen w pacierzu, mrozące krew w żyłach opowieści o bohaterskich czynach woźnego na froncie wschodnim. Absolutnie nie na miejscu w dzisiejszych czasach, ale chłopcy słuchali z zapartym tchem i stary nie potrafił sobie odmówić tej przyjemności. Kiedyś się te przechwałki jeszcze dla Ottera źle skończyły.

- No więc, proszę państwa, o co właściwie chodzi? - zapytał, zasiadając za swoim biurkiem. Biurko odgrodziło go od obu rozhisteryzowanych kobiet i natychmiast poczuł się lepiej. Jak go nazwała pani Starck? Zdrajcą? Sprzedawczykiem? Niczego innego się po krewnej starej Friedy nie spodziewał.

- Nazywam się Anna Witkowska i jestem matką tego dziecka. Gestapo aresztowało mnie w 1942 roku i tego samego dnia odebrano mi syna. Chłopiec nazywa się Marcin Witkowski. Witkowski, nie Wittke.

- Nieprawda! - zawołała Vera.

- Niech pani nie przerywa, pani Starck - skarcił ją dyrektor.  
- Proszę mówić dalej, pani Witkowska. Pozwolę sobie zauważyć, że doskonale zna pani niemiecki.

- Dziękuję. Wywieziono mnie na roboty do Frankfurtu nad Odrą, więc miałam okazję poprawić sobie akcent.

- No cóż, ja wyemigrowałem do Stanów w 1933, ale po angielsku wciąż mówię z niemieckim akcentem.

Polka popatrzyła na dyrektora przychylniej.

- Mój mąż wtedy już nie żył, rozstrzelano go w ulicznej łapance. Zalepiono mu usta gipsem i postawiono pod ścianę. Marcina zawieziono do Łodzi i umieszczono w sierocińcu Lebensbornu. Tam go przebadano - no, wie pan, pomiary czaszki, rozstaw kości policzkowych i tak dalej - a ponieważ spełniał wszystkie kryteria

rasowe, przeznaczono go do adopcji. Dostał nowe papiery, nowy życiorys, zabroniono mu mówić po polsku, nauczono paru słów po niemiecku. Bardzo możliwe, że pani Starck tego wszystkiego nie wiedziała, ale teraz wie i musi mi moje dziecko oddać.

- Nie! - wrzasnął Martin i znów wtulił się w kolana Very. Kobieta popatrzyła na niego bezradnie, oczy miała pełne łez.

- Pani Starck, czy może pani sobie wyobrazić, co ja w tej chwili czuję? Widząc, że mój syn się mnie boi? Szukałam Marcina przez tyle lat. Po tych dzieciach zacierano wszystkie ślady, mało które udaje się odnaleźć. Jedno z tych nielicznych, które wróciły do Polski, starszy już chłopiec, pamiętał Marcina i małżeństwo, które go ze sobą zabrało - bo pojechała pani do Łodzi z mężem, prawda, pani Starck? Wiedział nawet, że zabraliście go do Berlina. Artur pamiętał wszystko tak dobrze, bo miał nadzieję, że to jego państwo wybiorą. Te biedne dzieci czuły się tak okropnie samotne i tak bardzo chciały mieć rodziców... ale Artur był już duży i nikt go nie chciał. W końcu wziął go jakiś bauer.

Arthur. Chłopiec z odstającymi uszami i językiem na głowie. *Arthur już nie może się doczekać, żeby zostać przyjętym do Hitlerjugend.* Vera spuściła głowę. Ta kobieta nie kłamała.

- Zaklinam panią, niech pani chociaż spróbuje postawić się w mojej sytuacji. Marcin jest moim jedynym dzieckiem. Zabiliście mojego męża, zburzyliście mój dom. Oddajcie mi chociaż syna. Wierzę, że go pani kocha, ale to jest mój syn.

- Ja... - zaczęła Vera, ale mężczyzna z Misji Wojskowej przerwał jej w pół słowa, zanim zdążyła powiedzieć, że ona też straciła męża, dom i pozostał jej tylko Martin. Może i lepiej, że nie zdążyła, bo Polka na pewno wykrzyczałaby jej w twarz: „Ale to wy rozpętaliście tę straszną wojnę, wy kosiliście nas z karabinów maszynowych jak łąny zboża, wy rozwiesiliście w moim kraju napisy *Nur fur Deutsche* i zrobiliście z nas helotów, ku waszej chwale, dla waszej pychy!” - i Vera nie mogłaby zaprzeczyć. Więc lepiej się stało, że nie pozwolił jej dalej mówić.

- To bezcelowe, pani Starck. Poruszymy niebo i ziemię, zwrócimy się do Organizacji Narodów Zjednoczonych, pójdziemy do prezy-

denta Ameryki, a jeśli trzeba będzie, to nawet i do papieża. Dziecko musi wrócić do matki.

- Ja tu widzę zupełnie inny problem, proszę państwa - włączył się dyrektor. - Niezależny od sytuacji prawnej. Bardzo możliwe, że pani Witkowska jest matką Martina, ale on jej zupełnie nie pamięta. Kocha swoją przybraną matkę i nie wyobraża sobie rozłąki z nią. Jak to chcecie rozwiązać, nie robiąc mu krzywdy? Dobro dziecka powinno być dla was najważniejsze.

Polka załamała ręce i wyszeptwała:

- Tak, to okropne... ale przecież przyzwyczai się. Zapomni.

- Czego to on już nie musiał zapomnieć w swoim krótkim życiu! Doprawdy, moje panie: w interesie chłopca powinnyście się wspólnie zastanowić, jak go przygotować do nowej sytuacji. Wydzieracie go sobie jakwteż biblijnej opowieści o dwóch matkach i królu Salomonie. Rozumiem, obie go kochacie, więc z miłości do niego działajcie mądrze i oszczędźcie mu rozterki. Przełamcie nienawiść, która was w tej chwili oślepia, to zobaczycie właściwą drogę. Dłuższą może niż myślałyście, ale taką, która jest dla dziecka najlepsza. A teraz przepraszam, ale muszę wracać do klasy.

Przez otwarte okno dobiegały podniecone okrzyki chłopców i coraz donośniejszy głos bohatera spod Stalingradu:

- A ja ten czołg wtedy: rrryms! z pancerfausta! I jeszcze raz: rrryms! A on - bum! z lufy, płomień długi na pół kilometra! To ja go znowu: rrryms!

- Oj, ten Otter, ten Otter - jęknął w duchu dyrektor. - Demilitaryzacja też ma przed sobą jeszcze bardzo długą drogę.

A Vera pomyślała: To już koniec. Straciłam Martina.

To ni wystarczyło jedno spojrzenie na obcą kobietę, żeby się domyślić, kim jest. Podobieństwo do Martina było bezsporne. A więc stało się. I co teraz? Po raz pierwszy w życiu nie przyszedł jej żaden fortel do głowy, podała więc herbatę. Z prawdziwym cukrem i konfiturami z malin, na najlepszej porcelanie ciotki Friedy. Ciotka Frieda fuknęła ze złością i wyniosła się z pokoju. Miała swoją godność i nie zamierzała siadać do stołu z Polakami. Naród był pobity, naród był stłamszony, ale zawsze jeszcze był to naród panów, chociaż już nie można było powiedzieć tego głośno. Ale karta się jeszcze odwróci, Anglicy się opamiętają i ludy Europy ramię w ramię ruszą na bolszewików. Do tej pory trzeba zachować honor i wiarę. Bóg nas nie opuści, bo my jesteśmy orężem w jego ręku w walce ze złem: *Cott mit uns*.

- Proszę mi wierzyć, nikt pani tak dobrze nie rozumie jak ja - zwróciła się do Very matka Martina i głos jej brzmiał teraz pojednawczo. - Chciałam umrzeć, kiedy mi go odebrano. Wiem, co pani czuje.

Vera patrzyła na nią tępo. Cóż jej z tego zrozumienia? Gdyby ta intruzka z oczami Martina zechciała nagle rozwiać się w powietrzu jak senny koszmar, to by dopiero było coś.

- Widzę przecież, jak bardzo Marcin jest do pani przywiązany. Jestem pani głęboko wdzięczna, że stworzyła mi pani dom, otoczyła miłością i troską. Serce mi pęka, że moje dziecko mnie nie poznaje, że się mnie boi.

Wielka szkoda, że nie pękło naprawdę. Ale nie, ani nie znikwała, ani padała trupem i wcale nie była taka krucha, na jaką wyglądała.

- Więc gdyby pani zechciała Marcinowi wytłumaczyć... wyjaśnić...

Wytłumaczyć niepojęte? Wyjaśnić coś, co wyłoniło się z mroku szaleńczych mitów i skąpało w krwi pół świata? Dziecku? Czy ta kobieta oszalała?



Vera przytuliła do siebie Martina i ucałowała ze smutkiem jego oczy, które patrzyły na nią z niepokojem. Takie same świetliste oczy, jak u tej obcej kobiety i ten sam czający się w nich strach.

- Spróbuję.

Bo wina była biblijnie wielka i biblijnie wielka musiała być kara. Wszystko się w głowie Very już pomieszało: dziecko Maxa, które pozwoliła z siebie wyrwać, i te dzieci, wydarte z ramion matek w dalekim kraju długich zim i krwawych bitew, żeby wyrastały na niebieskookich, płowowłosych chłopców, którzy przeorają ziemię okopami, zasieją w niej kości i zbiorą śmierć. Jakież znaczenie mógł mieć jej własny ból w tym oceanie ludzkich nieszczęść?

- Niech pani pojedzie ze mną do Polski. Zostanie, aż Marcin się przyzwyczai, nauczy języka, okrzepnie. Jak długo pani zechce.

Do Polski! Vera zeszywniała z przerażenia. Ruiny poprzerastrane grobami, największe cmentarzysko Europy. Zabijają ją, jak tyko otworzy usta. Toni pewnie pomyślała to samo, bo objęła jej ramiona obronnym gestem i zaczęła szybko mówić:

- Byłoby dla Martina lepiej, żeby zżył się z panią tutaj, w otoczeniu, które jest mu znane. Jakoś się pomieścimy. Vera odda pani swój pokój, przeniesie się do mnie. Oczywiście, warunki są skromne, ale nie głodujemy.

Pani Witkowska przyjrzała się jej spokojnie.

- Nie, proszę pani. Ja tu byłam dwa lata na robotach, to wystarczy. Czekałam sześć lat, żeby móc mówić na ulicy po polsku. Teraz znowu jest Polska - może inna niż ją sobie wymarzyliśmy, ale zawsze Polska.

Mężczyzna z Misji Wojskowej chrząknął znacząco. Toni przypomniało się, że alianci zapłacili Sowiecom za krwawą daninę wianuszkami wasalskich państewek, które jak bufor broniły teraz ich granic. Zepchnięta na zachód Polska też do nich należała i człowiek z Misji tę nową Polskę reprezentował. Za nic na świecie nie można było dopuścić do tego, żeby Vera tam pojechała: jeżeli Polacy jej nie zaślukają, zabijają Sowietów.

Ale Vera już wstała i szła w stronę Polki.

- Dobrze. Przywiozę pani Martina, jak tylko skończy się rok

szkolny, jeżeli załatwicie państwo dla nas konieczne papiery i jakiś transport. Tu jeżdżą tylko otwarte węglarki. Wszystko będzie dobrze, Martin, będziesz miał teraz po prostu dwie mamy. Przynajmniej przez jakiś czas.

Goście pozostali jeszcze przez trzy dni. Ciotka Frieda manifestowała najwyższe niezadowolenie, trzaskając garnkami i furkocząc gniewnie spódnicami, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Kiedy odjeżdżali z miasteczka, mali Hartmannowie ciskali za samochodem końskimi jabłkami i wyrażali pięściami, bo wypatrywanie go dostarczało im emocji i przynosiło skromny zarobek: parę jajek i od czasu do czasu amerykańską czekoladę od Very. Teraz te dochody się skończyły.

- Czyś ty na głowę upadła? - rzuciła się na Verę po ich wyjeździe Toni. - Polacy powieszą cię na pierwszej lepszej latarni, powiedzą, że byłaś hitlerówką i obedną ze skóry. Pamiętasz, jak Amerykanie spędzili nas do kina, na ten okropny film o kacetach? To było tam, w Generalnej Guberni. Rozszarpią cię na strzępy. Trzeba było sprawę odwlec, przeczekać, żądać dowodów, odwoływać się do sądów - trwałoby to latami. Kto ma dziś dokumenty w porządku? Wszystko się spaliło, rozwiało po świecie. A ty, jak ta głupia: „Będziesz miał dwie mamy!” Boże, jaka ty jesteś durna!

Vera milczała. Co miała powiedzieć? Że nie miała prawa zatrzymać cudzego dziecka, choć było wszystkim, co jej pozostało do kochania? Toni by tego nie rozumiała. Wzruszyłaby ramionami i powiedziała: „Jesteś beznadziejnie sentymentalna. Tyle nieszczęść się przez nas przewaliło, tyle krzywd, a ty sobie na luksus sumienia pozwalasz. No i co z tego, że to ona Martina urodziła? Ty go wychowałaś. Mojego syna nikt mi nie zwróci. Skąd mogłaś wiedzieć, że bierzesz dziecko jakiejś Polki? Nie ma w tym żadnej twojej winy. Wszyscy zostaliśmy oszukani”.

O tak, zostaliśmy oszukani, bo skąd mogliśmy wiedzieć, że Fiihrer nie jest nieomylny i z dóbr rycerskich na Wschodzie nic nie wyjdzie? Ale gdyby wyszło? Gdyby spełnił się sen o mocarnym imperium od Pirenejów do Uralu, rządzone przez Niemców dla Niemców,

gdyby Christian zdążył zbudować Germanię, stolicę świata - kto mówiłby wtedy o oszustwie?

Opłakujemy naszych zmarłych, nasze utracone ziemie, nasze obrócone w pył domy, naszą nędzę i upokorzenie, wszystkie nasze zawiedzione nadzieje, które już były na wyciągnięcie ręki, a teraz prysnęły jak bańki mydlane. Żałujemy - ale żałujemy przede wszystkim siebie.

Takie myśli nieustannie zaprzętały głowę Very i właśnie dlatego postanowiła pojechać do Polski.

O czym jeszcze myślała Vera w ostatnich dniach przed wyjazdem? O muzyce. Nie o tej, którą huczały amerykańskie bary, tylko o słodkich, falujących akordach, drżących tremolach i wibrujących pasażach, o skrzypcach i basach, wiolonczelach i harfach. O muzyce, która by ją uniosła w minione czasy, ukoїła i pocieszyła.

Meininger Theater w pobliskim Bayreuth był jednym z pierwszych teatrów w kraju, które znowu otworzono dla publiczności, ale Verze wciąż brakowało pieniędzy. Podzelowanie butów, worek węgla, ciepłe kurtki dla dzieci zawsze miały absolutne pierwszeństwo. Teraz jednak wybierała się do kraju, w którym filharmonie leżały w gruzach i rozpaczliwie pragnęła chociaż raz jeszcze zachłusnąć się deszczem dźwięków, lśnieniem luster, blaskiem żyrandoli - swoim dawnym życiem. Przystawała przy latarniach, na których rozlepione były ogłoszenia o koncertach, i myślała tęsknie, jakim szczęściem byłoby usłyszeć „Libiamo” z „Traviaty”. Szukała wzrokiem ceny wstępu i odchodziła z westchnieniem. Trudno jej było uwierzyć, że kiedyś to ona śpiewała partię Violetty.

Koncert Maxa zapowiadał prawdziwy, duży plakat rozpięty na drewnianym płocie przed amerykańską komendanturą. Płot był niechlujnie pobielony, przez białą farbę wciąż jeszcze przebijał optymistyczny slogan: *Mit unseren Fahnen ist der Sieg*. Na plakacie Max zakładał ręce na piersi, gestem tak dobrze Verze znanym i patrzył w zamyśleniu spod ściągniętych brwi. Ukośny napis krzyczał: *Znowu w kraju: Max Finn!*

Max! Verze zakręciło się w głowie i musiała uchwycić się płotu, żeby nie upaść. Na twarzy poczuła znowu wilgotną bryzę od morza, na piersi dotknięcie jego rąk, na ustach smak pocałunków. Przez świat przewalił się ognisty huragan, zmiotł z niego na zawsze miliony, miliony rzucił w rozpacz i nędzę, a Max żył i śpiewał pośrodku wypalonej pustyni arie z „Figara”.

Przez wiele lat przechowywała wspomnienie ich miłości w głębi duszy jak relikwię, umierała z troski o niego i tęsknoty, za jedną

spędzoną z nim chwilę skłonna była oddać resztę życia. Nieskończoną ilość razy wyobrażała sobie ich spotkanie i była to wizja pełna nieopisanej słodyczy. Teraz jednak, stojąc przed, zapowiadającym jego przybycie, plakatem, nie odczuła żadnej radości. Żył! Jej waliły się bomby na głowę, a Max gdzieś tam sobie żył, był syty, nosił garnitury na miarę i jedwabne szaliki. Nie pisał. Nie szukał. Nie pamiętał. Przez te wszystkie lata, kiedy ona opłakiwała ich dziecko i wojenne groby - Max śpiewał. Ryła w ziemi, żeby wydłubać parę kartofli, przerabiała kapelusze na podeszwy do butów, szyła suknie z worków na cukier - a on śpiewał! O tak, musiała go zobaczyć, chociażby po to, żeby cały swój ból wykrzyczeć mu w twarz.

W domu ciotki Friedy nie było portier, z których Vera wzorem Scarlett O'Hary mogłaby skroić sobie suknię - już dawno uszyto z nich ubranka dla dzieci. Vera zwęziła więc w pasie przedwojenny, tylko trochę wytarty na łokciach, kostium Toni i pożyczyła od niej kapelusz. Przez chwilę poczuła się bardzo elegancka, ale krytyczne spojrzenie w lustro nappełniło ją rozterką: Czy Max w ogóle ją pozna? Była stara, zniszczona, włosy jej wypłowiwały na słońcu, przy uchu całe pasmo posiwiało, miała połamane paznokcie i popękane usta. Może lepiej nie rozgrzebywać popiołów? Max na pewno do tej pory się ożenił.

Nie pojedzie.

Do Bayreuth było tylko dziesięć kilometrów, rowerem niecała godzina. W połowie drogi Vera złapała gumę, zaraz potem spadł deszcz, ale uparcie pchała rower dalej. Krótco przed Bayreuth obryzgała ją błotem amerykańska ciężarówka. Czarnemu kierowcy zrobiło się Very widocznie żal, bo się cofnął, błysnął zębami i zawołał:

- Hallo, Fraulein, podwieźć?

Wrzucił rower na stos jakichś worków, wsadził Verę do szoferki i ruszył z fasonem. Gawędząc wesoło i bezustannie żując gumę, dowiózł ją pod sam teatr.

Kasy były zamknięte, koncert już się kończył. Bileterka z włosami tak ciasno splecionymi, że prawie nie mogła mrugać oczami, zastąpiła Verze drogę i surowo pokręciła głową: porządek musiał być.

Za zamkniętymi drzwiami dyszała podniecona widownia, pewnie pachnąca, pewnie syta, pewnie rozbawiona. Co jakiś czas wybuchały burzliwe oklaski. Po drugiej stronie drzwi stała oklejona błotem Vera, w podartych pończochach, z mokrymi włosami zlepionymi w strąki. Złożyła błagalnie ręce.

- Bardzo proszę, niech mnie pani wpuści. Znam pana Finna.

- Wszyscy go znają - odparła wyniośle bileterka.

- Ale nie tak dobrze jak ja - syknęła z wściekłością Vera. - Nie wstyd pani? Świat może się walić, może się palić, dla takich jak pani najważniejsze jest, żeby walił się według przepisów i palił programowo. Ze moje życie się wali, nic panią nie obchodzi.

Gwałtowny aplauz, który wstrząsnął teatrem, oznaczał koniec koncertu. Vera odepchnęła bileterkę i rzuciła się w kierunku, w którym podejrzewała garderoby. Chciała do nich dotrzeć, zanim publiczność zacznie wylewać się z sali.

Nagle wszystkie drzwi się otworzyły, chłopczy w fantazyjnie szamerowanych złotem kurtkach wynieśli kosze kwiatów, a za nimi ruszył ławą tłum, który natychmiast uniósł ze sobą Verę i przyduśił ją do ściany. Gdzieś pośrodku tej ludzkiej fali płynął Max, nie mogła się jednak do niego przedrzeć przez mur ciał, który ją od niego odgradzał. Widziała, jak się od niej powoli oddalał, a z nim cała jej przeszłość, jej młodość, jej niefrasobliwość, jej niewinność.

- Max! - zawołała. - Jestem tutaj, ja, Vera!

Max zatrzymał się i odwrócił. Na twarzy miał jeszcze uśmiech, przeznaczony dla kogoś innego, ale jego oczy już jej szukały. Tłum rozstał się, tworząc korytarz, na końcu którego stała zabłocona Vera jak brudna, brzydka plama na tle złocień, stuków i kryształów.

- Boże wszechmogący - powiedział Max i zaczął ku niej iść, odsuwając bezceremonialnie na boki wyciągnięte po autograf ręce z programami. Z daleka wydawało się, że czas był dla niego łaskawy, ale kiedy podszedł bliżej, Vera zobaczyła, że i on się postarzał. Zmieniły go nie tyle głębokie bruzdy przy nosie i przesypane siwizną włosy, co utrata tego zwyczajnego blasku, który go kiedyś rozświetlał. Miał zmęczone ruchy i przypominał postacie męczenników z obrazów El Greca.

- Dziesięć lat, a każdy rok był z ołowiu - pomyślała ze ściśniętym sercem. - Nic już nie będzie takie, jakie było.

Ludzie zaglądali im z zaciekawieniem w twarze, szeptali sobie coś do ucha, pokazywali sobie palcami Verę i bezceremonialnie taksowali ją wzrokiem. Wydawało jej się, że za chwilę rozlegną się gwizdy.

- Chodźmy stąd - poprosiła. Max wziął ją pod ramię i pociągnął za sobą.

- Mistrzu! - wrzasnął jakiś jegomość w niedopinającym się na brzuchu smokingu. Kto mógł sobie w tych czasach pozwolić na brzuch? Szabrownik, cinkciarz, złodziej? - Mistrzu, nie zdążymy na samolot!

- A c h tak, samolot. Vero, muszę zdążyć na ten samolot. Odlatuję jutro rano z Berlina do Nowego Jorku. Wracam do Ameryki.

- Jutro - powtórzyła Vera. - Ile mamy czasu?

- W ogóle żadnego - oświadczył kategorycznie jegomość. - Już jesteśmy spóźnieni.

- Zamknij się, Keller. Parę minut wykroi się na pewno.

Parę minut, żeby opowiedzieć dziesięć lat życia, wyjaśnić, zrozumieć, wytłumaczyć? Żeby zadać te wszystkie pytania, które nosiło się w sobie przez cały ten czas jak zadrę w sercu? Niemożliwe.

- Postuchaj, Vero, ja wrócę, może nawet na zawsze. Jeszcze nie wiem, jeszcze mi się wydaje, że tu wszystko się tylko przyczaiło, przywarowało i czeka, żeby wypełznąć znowu, silniejsze niż kiedykolwiek. Patrzę ludziom w twarze i nie znajduję w nich niczego, co by wskazywało, że coś ciąży na ich sumieniu. Patrzę i myślę: a ty gdzie byłeś? Co robiłeś? Trułeś w komorach gazowych, wieszasteś, paliłeś? A oni spoglądają mi prosto w oczy i mówią w duchu: zdrajca, ale tylko w duchu, bo tu nic nie jest wypowiedane głośno. Nad tym całym krajem wisi milczenie jak brudna mgła. Daj mi swój adres, Vero, napiszę.

- Nie mam adresu. Wyjeżdżam do Polski.

- Do Polski? Dlaczego do Polski? Polska to jeden wielki cmentarz. Moja rodzina też na nim leży. Nie przyjmą cię tam przychylnie, Vero.

- To długa historia. Za długa, żebym ci ją mogła teraz opowiedzieć.

Mały grubas tupał z wściekłości nogami. Ten zabłocony upiór z przeszłości psuł mu cały harmonogram. Marzył o tym, żeby już siedzieć w samolocie, który go uniesie do cywilizowanego świata, jak najdalej od tego gigantycznego grobowca. Ale Max uparł się, żeby śpiewać na ruinach Trzeciej Rzeszy, więc krążyli od jednej kupy gruzów do drugiej. Ale teraz koniec, teraz ma tej trupiarni po dziurki w nosie i chce wrócić do domu, zobaczyć wreszcie porządnie wystrzyżone trawniki, sklepy z neonami i dobrze odżywione dziwki.

- Samolot! - krzyknął. - Max, na rany Chrystusa, pospiesz się!

- Odszukam cię w Polsce, Vero. Napisz do mnie, koniecznie - powiedział Max i szybko zanotował swój adres na programie. Już biegnąc za grubasem, coś do niej zawołał, ale jego słowa utonęły w gwarze rozchodzącej się publiczności. Być może miało to wielkie znaczenie, nie rozumiała jednak, co chciał jej przekazać. Ludzie ją potrącali, a ona stała oparta o złocone ściany i patrzyła tępo na program z fotografią Maxa na okładce. Pomyślała, że pewnie nigdy się tego nie dowie.